

PRZE KROJ

Nr 35 / 3036 • 31 sierpnia 2003 •

• cena 4 zł • /w tym 7% VAT/

wakacje od telewizji

Monika
Olejniki
zabrała
kropkę
znad „i”

s. 56.

• NAJSZTUB:

- TO MOŻE PRZESUNĄĆ POLITYKÓW
POLSKICH W SFERĘ ROZRYWKI?

STANISZKIS:

- MAM NADZIEJĘ, ŻE
(...) TAK SIĘ STANIE.

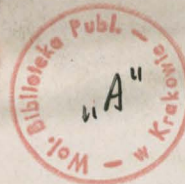
• ALE NA RAZIE RZĄDZI NAMI,
PRZYNAJMNIEJ POZORNIE,
PREMIER LESZEK MILLER.
PRZEWIDYWAŁA PANI JEGO
UPADEK, A ON TRWA I TRWA.

- JEDNAK ZOSTANIE
RZUCONY NA POŻARCIE.
(...) MILLERA

JUŻ NIE MA. PREMIER
NIE PRZESZEDŁ
ODPOWIEDNICH SZKÓŁ,
NIE PRZECZYTAŁ PEWNYCH
KSIĄŻEK I NIE MIAŁ NAWET

TROCHĘ CZASU
NA KONIECZNY
NAMYSŁ. NIE
POMOŻE NAM.

s. 28.





Ma oczy szeroko otwarte



NOKIA
7250i

Ma na oku
każdy szczegół.
Ma na oku kolor.
Ma na oku piękno.

Nowy telefon Nokia
7250i z wbudowanym
aparatem cyfrowym.

Oko w oko.

Club
NOKIA

Wstąp i korzystaj
z atrakcji!
Na stronie
www.nokia.com.pl

Informacje o produktach Nokia
tel. (022) 654 76 86
fax (022) 654 45 36
info@nokia.com.pl

NOKIA
CONNECTING PEOPLE

RACZKOWSKI na Czwartek

PRZE
KROJ



WYMYSLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o liście do premiera Leszka Millera przygotowywanym przez Samoobronę, w którym znajdzie się wezwanie, by premier podał się do dymisji, a Sojusz Lewicy Demokratycznej wystąpił z inicjatywą uchwały o samorozwiązaniu Sejmu – o czym poinformował media szef partii Andrzej Lepper, dodając: „Sami nie będziemy składać projektu, bo nie ma to sensu, jeżeli nie będzie poparcia Sojuszu. Uchwały składać tylko po to, by pokazać się w mediach, nie chcemy”. Bo my też nie chcemy przedwcześnie informować mediów.

...o trwającej (tak mówią) weryfikacji członków SLD.

Bo z czystej zawiści nie potrafimy się zdobyć na pochwałę. A przecież jakże słuszną linię ma ta partia! Dzięki dobrze przeprowadzonej weryfikacji wyeliminuje się wszystkich głupich cwaniaków, a zostaną tylko ci inteligentni.

...o okupacji Sądu Rejonowego w Starachowicach, którą rozpoczęła grupa członków Konfederacji Polski Niepodległej – Obóz Patriotyczny. Bo jak tu w katolickim kraju wyjaśnić sędziom, że odwiedziły ich duchy?

...o Chrześcijańskim Ruchu Samorządowym, którego powołanie zapowiada

prezydent Łodzi i prezes Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego Jerzy Kropiwnicki. „Chciałbym, żeby była to organizacja, która oprócz opcji rynkowej cechowałaby się wyraźną wrażliwością społeczną. Organizacja, która naprawdę słuchałaby tego, co mówi Jan Paweł II”. Bo nie wiadomo, co jeszcze oprócz „słuchania” będzie ta organizacja robiła, ale kongres już jest w planach.

...o wysłaniu do Iraku przez TVN ekipy dziennikarzy z Tomaszem Lisem na czele. Bo tu nam prezes Walter zabił ćwieka – chce zwiększyć czy zmniejszyć oglądalność „Faktów”?

MYŚL TYGODNIA

Będę na klęczkach namawiał Pendereckiego, by się przeprowadził do Poznania.

Sławomir Pietras, dyrektor Teatru Wielkiego w Poznaniu



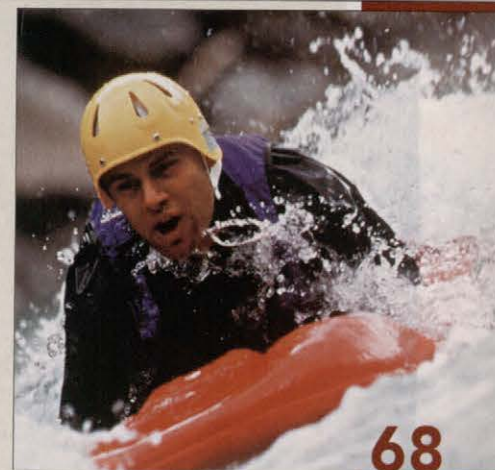
Fot. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

60



Fot. ENRIQUE METINIDES/AGENCE FRANCE PRES

68



Fot. BONGARTS/MEDIUM

50

Inspektor
Gadżet

Fot. SERWIS FIRMOWY

42

Pułapki
na mężczyzn

- 6 POWIĘKSZENIE
Pat i Izy
- 12 POWIĘKSZENIE
Limuzyny di mare
- 18 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe
i zagraniczne
- 24 PYTAMY pułkownika Stanisława
Lesiaka o życie pederastów
w polskich więzieniach
- 25 PRZEKRÓJ TYGODNIA – ludzie
- 26 KOMENTARZ
- 27 RAPORT MNIEJSZOŚCI
Ewa Lipska „Moja siostra”

NAJSZTUB PYTA

- 28 POŻEGNANIE Z POLSKĄ
Politycy już nie rządzą, rządzi
kapitał, ale w Polsce brakuje
nawet jego – mówi profesor
Jadwiga Staniszkis

GORĄCY DOKUMENT

- 32 PRZEJDZIEM NYSE,
PRZEJDZIEM ODRĘ
Z powodu suszy przez Nysę
można przejść niemal suchą
nogą. W ciągu trzech dni nasza
reporterka dobiła targu
z czterema przemytnikami,
którzy podjęli się przeprowadzić
z Polski do Niemiec Wietnamkę
z dzieckiem
- 36 WROGA TRZEBA ZJEŚĆ
W ciągu ośmiu lat rządów Idi
Amin wymordował około
300 tysięcy Ugandyjczyków
- 40 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

GENETYKA

- 42 MĘSKA PUŁAPKA
Mężczyźni to prawdziwi
ryzykanci. Gdy coś się zepsuje
na ich chromosomach pęci
– nie mają zapasowej kopii.

Dlatego panowie to płeć
niezwykle delikatna

TECHNIKA

- 46 MASZYNA DOSKONAŁA
Rower to jedna z najbardziej
niezwykłych maszyn,
jakie stworzył człowiek

ZDROWIE

- 48 POSKROMIENIE ŁAKOMCZUCHA
Nowy lek na otyłość (kiedys)
- 50 INSPEKTOR GADŻET

LUDZIE!!!

- 52 LUDOWA REPUBLIKA TELEWIZJI
Michael Moore – satyryk,
dokumentalista i pisarz.
W absurdalnie śmieszny
sposób opowiada o rzeczach
śmiertelnie poważnych
- 56 MONIKA FIKA,
WIĘC Z EKRANU ZNIKA
Nie będzie już „Kropki nad i”!
Monika Olejnik zrezygnowała
z pracy w TVN

PATRZĄC I CZYTAJĄC

- 60 KREW MNIE NIE INTERESUJE
Enrique Metinides przez 50 lat
fotografował ludzkie tragedie.
Robił to dla żadnej krwi
meksykańskiej prasy brukowej.
Ale zamiast taniej sensacji
dostarczał tłumom dzieła sztuki

W CO SIĘ BAWIĆ?

- 68 WSZYSTKO JEST MUZYKĄ
Zbieranie dźwięków
= zapisywanie wspomnień
- 72 I JESZCZE... dla narwańców
i wapniaków, z malowanej
skrzyni i guzik nożny
- 74 LISTY

75 TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY

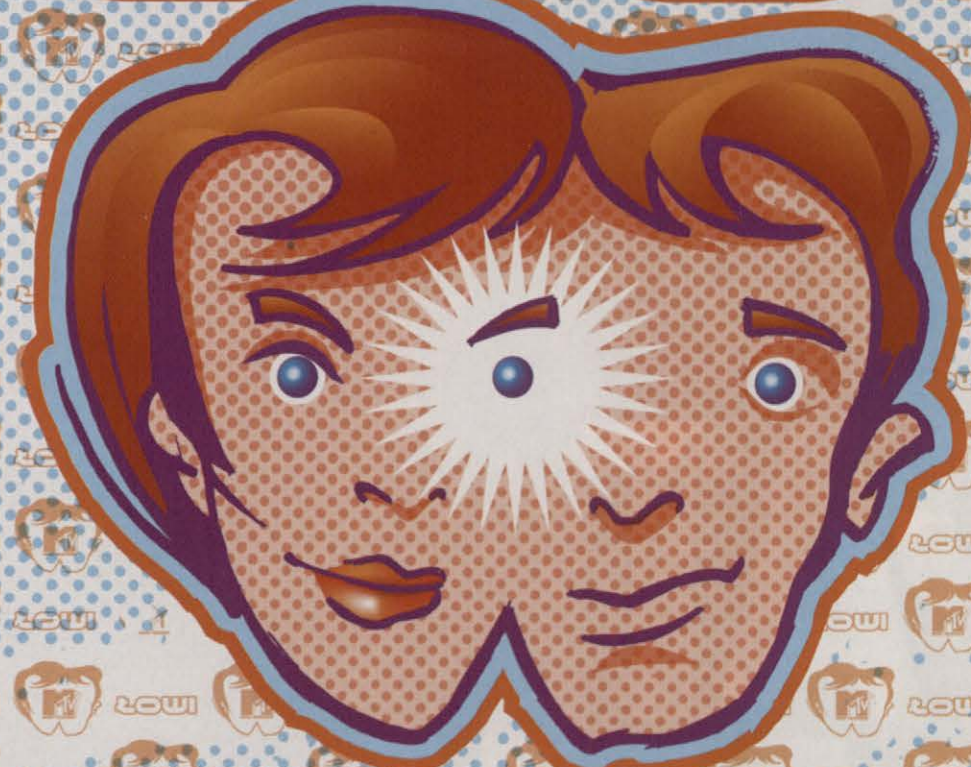
- 76 WYDARZENIE – „Wrzesień.
Wojna narysowana”
- 78 MUZYKA – Georg Friedrich
Haendel „Juliusz Cezar”
- 80 KSIĄŻKI – „Życie Pi”
- 82 FILM – „Lara Croft Tomb
Raider: Kolebka życia”
- 84 TELEWIZJA – najlepsze
programy

ROZMAITOŚCI

- 86 DZIENNIKI OSOBISTE
MAŚKOWSKA i MENTZEL;
BRALCZYK; jolka
- 88 WINNY BIEŃCZYK
i KULINARNE PIÓRO POLSKI;
krzyżówka
- 90 RACZEJ RACZKOWSKI

Splyw
górkim
potokiem
na desce

LOWI



Czy jesteś MTV?

WYTNIJ FORMULARZ Z SIERPNIOWEGO LUB WRZESNIOWEGO
GLAMOUR

i przyjdź na casting!

start godz. 10.00 – koniec godz. 20.00

3.IX Rzeszów●Akademia●Al. Piłsudskiego 34
5.IX Gdańsk●Parlament●Św. Ducha 2
6.IX Olsztyn●Come In●Knośaty 7c
10.IX Wrocław●Radio Bar●Rynek 48
12.IX Sosnowiec●Galeria●1 Maja 21-23

16.IX Warszawa●Qult●Pańska 97
18.IX Łódź●Fanaberya●Moniuszki 4a
21.IX Poznań●Eskulap●Przybyszewskiego 39
25.IX Lublin●Piąty Element●Radziszewskiego 16
27.IX Białystok●Metro●Białówny 9a

zostań nową twarzą MTV!

więcej info na

www.mtv.pl / mtvlowi



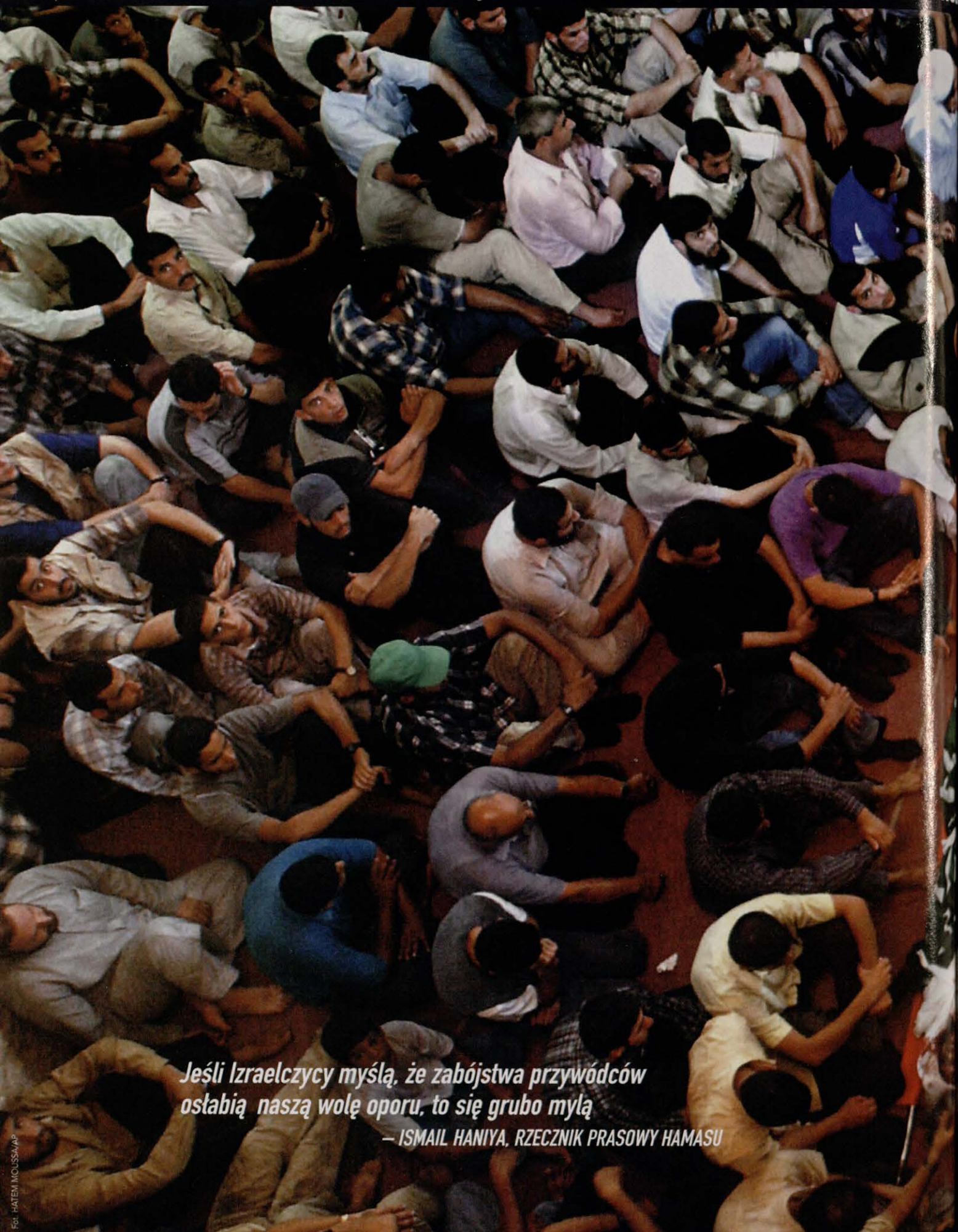
POGRZEBY OFIAR ZAMACHU NA AUTOBUS W JEROZOLIMIE PRZEBIEGAŁY W SPOKOJU. PALESTYŃCY GRZEBIĄC ZABITEGO W ODWECIE LIDERA HAMASU, POPRZYSIĘGLI IZRAELOWI ŚMIERĆ

JAKUB MIELNIK

PAT I ŁŻY

Przemoc powraca na Bliski Wschód.
Po kilku tygodniach rozejmu,
który rozbudził nadzieje na trwały pokój,
znów wybuchła wojna między Izraelem
a Palestyńczykami

Ortodoksyjni Żydzi niosą ciało
Iliezera Weissfisha, jednej z ofiar
poniedziałkowego zamachu
w Jerozolimie



*Jeśli Izraelczycy myślą, że zabójstwa przywódców
osłabią naszą wolę oporu, to się grubo mylą*

— ISMAIL HANIYA, RZECZNIK PRASOWY HAMASU



Palestyńscy żałobnicy w czasie modłów
nad ciałem Ismaila Abu Shanaba i jego
dwóch ochroniarzy zabitych przez armię
izraelską. Atak na umiarkowanego lidera
politycznego skrzydła organizacji Hamas
był odwetem za zamach w Jerozolimie



Izraelskie dzieci oglądają z okien autobusu miejsce zamachu w Jerozolimie

PALESTYŃCZYCY GROŻĄ ZEMSTĄ I WZNOWIENIEM ATAKÓW TERRORYSTYCZNYCH NA IZRAEL

We wtorkowe południe nie dałoby się wcisnąć szpilki do autobusu jadącego ze starej Jerozolimy do żydowskiej dzielnicy Shmuel Hanavi. W środku tłoczyły się wielodzietne rodziny żydowskich ortodoksów wracających spod Ściany Płaczu. Bomba wybuchła, gdy autobus minął granicę zamieszkaną przez Arabów wschodniej Jerozolimy zajętej przez armię izraelską w czasie wojny 1967 roku. W eksplozji, która zniszczyła też sąsiednie pojazdy, zginęło ponad 20 osób, około stu zostało rannych, wśród nich 40 dzieci.

SHMUEL NIE ŻYJE

Lekarze pogotowia, którzy są w Jerozolimie przyzwyczajeni do drastycznych sytuacji, byli wstrząśnięci. – Mamy tu miesięczne dziecko, którego rodzice najprawdopodobniej zginęli albo są ciężko ranni. W każdym razie nikt się po nie nie zgłasza, nikt poza pielęgniarzami się nim nie opiekuje – mówił jeden z lekarzy. Miesięczny Elachanon Cohen został w końcu zidentyfikowany na podstawie tego, że urodził się z jedną nerką. Na innym oddziale tego samego szpitala lekarze opatrywali jego niespełna dwuletnią siostrę Shirę, której odłamek zmasakrował twarz. Shira dzieliła pokój na oddziale intensywnej terapii z siedmioletnią Ester Zargari,

która oddychała przez respirator. Nikt jej jeszcze nie powiedział, że jej brat Shmuel nie żyje. – Palestyńczycy ogłosili rozejm, ale kryminalista Szaron go nie przestrzega i dalej zabija ludzi w Palestynie – taką wiadomość nagrał na wideo Raed Abdul Hamid Misk, zanim przebrany w strój ortodoksyjnego Żyda wszedł do autobusu pełnego pielgrzymów wracających z centrum Jerozolimy na zamieszkaną przez Żydów przedmieście. 29-letni Misk był nauczycielem angielskiego i przykładnym ojcem dwojga dzieci. Właśnie kończył studia na uniwersytecie w Nablusie na Zachodnim Brzegu. Jego żona była w szóstym miesiącu ciąży, gdy Raed postanowił

PRZEKROJ

SPECJALNIE DLA „PRZEKROJU”

Chris Toensing, ekspert od spraw bliskowschodnich, redaktor naczelny wydawanego w Waszyngtonie kwartalnika „Middle East Report”

Władze palestyńskie chcą za wszelką cenę powrócić do realizacji planu pokojowego wyznaczonego przez „mapę drogową”. Nie jestem jednak pewien, czy Izrael chce tego samego. Ostatni krwawy zamach w Jerozolimie i bezlitosne odwety Izraela ostatecznie pogrzebały kruchy rozejm. To jasne, że władze palestyńskie nie panują nad ekstremistami, ale wyręczanie władz Autonomii przez izraelską armię tylko zaognia sytuację. Są jeszcze szanse na realizację „mapy drogowej”. Wszystko zależy od tego, czy administracja Busha zaangażuje się mocniej i zmusi obie strony do powrotu do rozmów. Waszyngton przez lata ignorował konflikt palestyńsko-izraelski. Teraz popełnia podstawowy błąd, przyjmując izraelski punkt widzenia. Żaden proponowany przez USA plan pokojowy nie zyska akceptacji, jeśli Białe Dom będzie traktować surowo tylko jedną stronę konfliktu.

(not. QBA)

Jeszcze w czerwcu wydawało się, że przygotowany przez Amerykanów plan pokojowy znany pod nazwą „mapy drogowej” ma szansę na realizację. Pod koniec czerwca obie strony zaakceptowały szczegóły porozumienia. Przewidywało ono stopniowe wycofywanie się armii izraelskiej z okupowanych ziem arabskich i utworzenie niepodległej Palestyny w zamian za zaprzestanie ataków terrorystycznych na Izrael.

29 czerwca Dżihad i Hamas ogłosiły rozejm. Wkrótce potem rząd Izraela w geście dobrej woli wypuścił z więzień kilkuset przetrzymywanych bez sądu Palestyńczyków. Sceptycy w Izraelu ostrzegali, że terroryści chcą tylko zyskać czas na przegrupowanie sił przed kolejną falą terroru.

Spirala przemocy, która pogrzebała wiele poprzednich planów pokojowych dla Palestyny, znów zaczęła się nakręcać już pięć dni po ogłoszeniu rozejmu. W Gazie od kul izraelskich żołnierzy zginął bojownik Hamasu. Miesiąc później izraelscy żołnierze wpadli do obozu dla uchodźców w Nablusie. Dwaj Palestyńczycy próbujący stawiać opór zostali zastrzeleni, dwaj inni zginęli w czasie antyizraelskiej demonstracji, która wybuchła tuż po ataku.

Oskarżany o złamanie rozejmu Ariel Szaron zastrzegł, że armia izraelska jest upoważniona do ścigania ekstremistów, z którymi nie radzą sobie władze palestyńskie. W odpowiedzi dwóch nastoletnich zamachowców-samobójców wysadziło się w Izraelu i w osiedlu żydowskim na Zachodnim Brzegu, dając Szaronowi pretekst do kolejnego ataku. Tym razem w izraelskiej akcji zginął Mohammed Seder, dowódca Islamskiego Dżihadu w Hebronie.

Po tej wymianie ciosów, która toczyła się w cieniu bezowocnych negocjacji pokojowych, stało się jasne, że „mapa drogową”, z którą Amerykanie łączyli nadzieje na zaprowadzenie pokoju na Bliskim Wschodzie, wskazuje drogę donikąd. 19 sierpnia Raed Abdul Hamid Misk wszedł do autobusu miejskiego w Jerozolimie.

OKO ZA OKO

– Zemsta, zemsta! – skandował tłum arabskich demonstrantów w Gazie. W miniony piątek tysiące ludzi przyszło na pogrzeb jednego z liderów politycznego skrzydła Hamasu, którego armia izraelska zabiła w odwecie za zamach w Jerozolimie. Dzień wcześniej na samochód, którym jechał Abu Shanab, spadło pięć izraelskich rakiet.

Shanab był powszechnie szanowanym i – co najważniejsze – umiarkowanym politykiem palestyńskim. Po jego śmierci palestyńskie ugrupowania zbrojne oficjalnie odwołały obowiązyujący od końca czerwca rozejm, który i tak okazał się fikcją. Pogrzeb Abu Shanaba, którego pochowano jako męczennika, przerosł w wielką antyizraelską demonstrację. Nad tłumem powiewały zielone flagi Hamasu.

Na spełnienie gróźb nie trzeba było długo czekać. Najpierw Hamas ostrzelał rakietami terytorium Izraela, potem izraelska armia zabiła w Gazie czterech bojowników tej organizacji. Wśród zabitych był 24-letni Ahmed Shtewe, który według izraelskiego wywiadu organizował zamachy samobójcze Hamasu.

– Nasza krew nie jest na sprzedaż! – krzyczały setki Palestyńczyków zgromadzonych pod szpitalem Shifa w Gazie, dokąd przywieziono cywilów rannych w ataku. Demonstracja była wymierzona przeciwko palestyńskiemu premierowi Mahmudowi Abbasowi i szefowi palestyńskiej służby bezpieczeństwa Mohammadowi Dahlanowi, którzy podjęli akcję przeciwko Hamasowi.

KONIEC ŻŁUDZEŃ

– Czas Abbasa dobiega końca, jeśli on nie zrobi porządku z terrorystami, my zrobimy to za niego – mówił Gideon Meir z izraelskiego MSZ tuż po tym, jak izraelskie rakiety zabiły Abu Shanaba.

W rzeczywistości jego czas już się skończył, o czym świadczą kolejne ataki izraelskie. Złazcza że bez zgody oblężonego w ruinach swojej siedziby Jasira Arafata Abbas nie ma szans na powstrzymanie ekstremistów.

Po serii zamachów palestyńska bezpieka dokonała co prawda kilku rajdów na hamasowskie magazyny broni, likwidując między innymi tunele, którymi bojownicy szmuglowali broń do Gazy z terytorium Egiptu, ale to nie przekonało Tel Awiwu. – To krok w dobrym kierunku, ale oni powinni wysadzać te tunele w powietrze, zamiast wysypywać trochę piasku do wejścia na oczach kamer telewizyjnych – mówił Dore Gold, doradca premiera Ariela Szarona.

Władze palestyńskie zapowiadają dalsze akcje przeciwko Hamasowi, ale z ich rozpoczęciem czekają do momentu zakończenia żałoby po Abu Shanabie, którego śmierć z pewnością nie ułatwi premierowi Abbasowi zadania.

Problem w tym, że Abbas kontroluje tylko trzy z kilkunastu różnych służb bezpieczeństwa działających na okupowanych przez Izrael terytoriach palestyńskich. Pozostałe grupy są pod kontrolą Jasira Arafata, który niechętnie zgadza się na oddanie ostatniej strefy wpływów w Palestynie będącej jeszcze w jego rękach. Złazcza że Izrael pokazuje, że nie traktuje poważnie ogłoszonego przez Palestyńczyków rozejmu.

Dwa miesiące po ogłoszeniu „mapy drogowej” dla Palestyny amerykański sekretarz stanu nie ma złudzeń co do powodzenia swoich wysiłków. – Na końcu drogi, której dotyczyła nasza mapa, jest przepaść, w którą stoczą się obie strony konfliktu – powiedział Colin Powell na wieść o zamachu na autobus z pielgrzymami w Jerozolimie.

JAKUB MIELNIK



powiększenie

„TRICOLOR” OKAZAŁ SIĘ ZA DUŻY I ZA CIĘŻKI DLA NAJWIĘKSZYCH PŁYWAJĄCYCH DZWIGÓW. KADŁUB TRZEBA BYŁO POCIĄC NA MNIEJSZE KAWAŁKI

LIMUZYNY DI MARE

W kanale La Manche trwa spektakularna operacja usuwania zatopionego promu „Tricolor” z 2862 luksusowymi samochodami na pokładzie. Akcja pochłonie 40 milionów dolarów

MAX SUSKI

Dwa wydobyte z dna „plasterki” promu lądują na nabrzeżu portu w Zeebrugge. Zostaną rozebrane, a samochody w całości trafią na złom

Potężny dźwig chybcze się lekko na falach. Stalowe ramię sunie powoli nad lustro wody. Z dźwigu zwisają liny, które specjalnie przeszkoleni nurkowie mocują do widocznego kilka metrów pod wodą czerwonego kadłuba. Kilka godzin później dźwig, skrzypiąc i trzeszcząc niczym średniowieczna machina, majestatycznie wyciąga plaster zatopionego promu.

Część statku niczym gigantyczny eksponat przygotowany na wykład o przekroju poprzecznym, gubiąc po drodze kawałki luksusowych samochodów, ląduje na pokładzie barki. Dwie platformy, dwa dźwigi pływające, gigantyczna piła, sto osób i 40 milionów dolarów – tyle trzeba, by wydobyć prom transportowy „Tricolor” osiadły 10 miesięcy temu na dnie kanału La Manche, 35 kilometrów na północ od Dunkierki.

50 MILIONÓW NA DNIĘ

W kanale La Manche panuje ruch jak na autostradzie. Przez wąskie gardło między Morzem Północnym a Atlantykiem, mierzące w najwęż-

**Choć ładownie
zapełniono jedynie
w połowie, auta były
i tak warte ponad
dwa razy więcej niż prom**

szym miejscu ledwie 35 kilometrów szerokości, w ciągu doby przepływa aż pół tysiąca mniejszych i większych jednostek pływających.

14 grudnia 2002 r. nad ranem w bardzo gęstej mgle płynący do Hawru kontenerowiec „Kariba” wpadł nagle na zmierzający do Southampton norweski prom transportowy „Tricolor”. Nie pomogły nowoczesne radary ani ścisła kontrola ruchu na kanale. Uszkodzony prom, którego ładownie nie były przedzielone grodziami, przewrócił się na bok i półtorej godziny później spoczął na dnie.

24-osobową załogę zabrano na pokład zdolnej do dalszej żeglugi „Kariby”. Nie udało się natomiast uratować cennego ładunku „Tricolora” – w przepastnym brzuchu promu na dno poszły 2862 luksusowe auta, głównie volvo, saaby i bmw zamówione przez dealerów w Anglii i USA. Limuzyny, warte w sumie 95 milionów dolarów, były ubezpieczone jedynie na 40 milionów, czyli tyle, ile kosztował sam statek.

KARAMBOL NA MORZU

„Tricolor” nie mógł znaleźć sobie gorszego miejsca na wieczny spoczynek. Tam gdzie

Większość przewożonych na „Tricolorze” samochodów to luksusowe wersje Volvo, których cena często przekraczała 200 tysięcy złotych. Po wielomiesięcznym „leżakowaniu” w słonej wodzie do niczego się już nie nadają





Oprócz samochodów „Tricolor” przewoził traktory oraz części do montażu dźwigów i wind. Wszystko zamieniło się w masę zardzewiałego żelastwa



Wrak jest cięty za pomocą liny rozpiętej między dwiema zakotwiczonymi w dnie platformami

doszło do katastrofy, kanał ma około 35 metrów głębokości, a leżący na boku prom jest zaledwie dwa metry węższy. W porze odpływu czerwone cielsko kadłuba wystawało ponad lustro wody niczym sztuczna stalowa wyspa na środku morza.

Marna pogoda zaraz po tragedii uniemożliwiła dostateczne oznakowanie wraku. Na rezultat nie trzeba było długo czekać. Już dwa dni po zatonięciu „Tricolora” na wrak wpadł frachtowiec „Nicola”. Do ściągnięcia go trzeba było aż trzech holowników. Następnego dnia mimo lepszego oznakowania i obecnej

w pobliżu łodzi straży przybrzeżnej dwie kolejne jednostki prawie zderżyły się z wrakiem. 1 stycznia w „Tricolora” wbił się kolejny statek. Ale wrak stanowił zagrożenie nie tylko dla innych okrętów – od katastrofy z jego zbiorników wyciekło do morza dwa tysiące litrów oleju. Konieczność usunięcia ważącego 20 tysięcy ton zawalidrogi była oczywista.

KADŁUB W PLASTERKACH

Ambitnego zadania podjęło się złożone z holenderskich i belgijskich firm konsorcjum Combinatie Salvage „Tricolor”. Lars Walder, rzecznik należącej do konsorcjum firmy Smit Salvage, nie krył obaw o rezultat operacji. – Zadanie nie będzie proste. To jeden z największych statków, jakie dotąd wyciągano na powierzchnię – powiedział w wywiadzie dla BBC na początku sierpnia.

190-metrowy prom okazał się zbyt wielki, by mógł go podnieść choćby największy pływak dźwig. Nie było więc mowy o wyciągnięciu wraku w jednym kawałku. Dlatego inżynierowie użyli techniki zastosowanej wcześniej do wydobywania części dwukrotnie lżejszego „Kurska”. Polega ona na pocięciu kadłuba w plasterki i wyłowieniu go kawałek po kawałku wraz z ładunkiem. Producenci aut zażądali, by z morza wydobyto wszystkie

samochody, aby mieć pewność, że żaden „topielec” po osuszeniu nie trafi do sprzedaży. Popsułyby im to opinie i naraziło na ewentualne pozwy w razie wypadków z udziałem „wodowanych” samochodów. Dlatego auta razem z promem pojadą na złom.

Po obu stronach wraku stanęły platformy wsparte na morskim dnie. Przekopując się tuż pod dnem, przeciągnięto między nimi linę z nanizanymi cylinderkami z materiału ściernego. Ten specyficzny „naszyjnik” szarpnięty przez umieszczone na platformach wyciągarki działa jak ostrze gigantycznej piły. – Tym drutem potniemy statek na dziewięć części, od dołu do góry – tłumaczy Lars Walder. – Drut przetnie stalowy kadłub, samochody, wszystko jak leci.

Jedno cięcie trwa zaledwie dwa dni, jednak przesuwanie platform i podkładanie liny tnącej zajmują o wiele więcej czasu. Wiele też zależy od pogody – o ile ciąć można nawet podczas sztormu, o tyle z wyciąganiem kawałków „Tricolora” na powierzchnię trzeba czekać na spokojne morze. Jak dotąd udało się wyciągnąć trzy kawałki, czyli jedną trzecią wraku. Akcja powinna się skończyć w październiku.

MAX SUSKI

SOPOT 2003

Coraz mniej żywej imprezy, coraz więcej telewizyjnego widowiska – tak można pokrótce opisać jubileuszowy, bo 40. już festiwal w Sopocie. Skaldowie przetestowali w Operze Leśnej show, który w styczniu pokażą amerykańskiej Polonii w Carnegie Hall. Kayah sprawdziła bolesną prawdę – że festiwalowa publiczność oczekuje od niej piosenek Bregovicia, a nie własnych, choć te ostatnie są nierzadko lepsze. A Ricky Martin przekonał Polaków, że jest chwytliwą, ale przewidywalną gwiazdą. Odkryciem i niespodzianką był tylko koncert Gotan Project, choć to z kolei skomentowano słowami: „Artyści z innej imprezy”.



CYFRO-MAT

1 milion dolarów kosztował minutowy spot telewizyjny promujący Arnolda Schwarzeneggera na gubernatora Kalifornii

13 600 osób zmarło we Francji w sierpniu w następstwie upałów (według szacunków domów pogrzebowych)

115 ton pyłu solnego przenika co sekunda z parujących oceanów do atmosfery

420 papużek próbowała przeszmuglować do Turcji pewna Rumunka

54 procent amerykańskich małżeństw nie ma dzieci

© Harpers Magazine – Tribune Media Services International 2003

WESTERN W POŚPIESZNYM

78-LETNI MĘŻCZYNA Z ŁODZI POKONAŁ DWÓCH NASTOLATKÓW, KTÓRZY CHcieli GO OKRAŚĆ W POCIĄGU. ZAMIAST PORTFELA WYCIĄGNĄŁ REWOLWER ROSSI 38 KALIBER 9 MILIMETRÓW

To nie była scena z westernu – akcja rozegrała się w okolicach Żyrardowa, w pociągu pośpiesznym relacji Łódź Fabryczna – Warszawa Wschodnia. 78-letni łodzianin siedział w drugim wagonie pierwszej klasy, gdy do przedziału wpadło dwóch nastoletnich złodziejaszków. Emerytowany major Wojska Polskiego sięgnął po rewolwer Rossi 38. Bandyty nie dali się jednak spłoszyć – ruszyli na emeryta,

chcąc odebrać mu broń. Padły strzały. Dwie kule trafiły jednego z napastników. Ranny w kciuk i brzuch 17-latek trafił do szpitala.

– Kula przeszła bokiem, nie naruszyła narządów wewnętrznych – powiedział lekarz Cezary Rykała. Major sam zgłosił się na policję. Zdaniem świadków mężczyzna chciał tylko odstraszyć złodziei, strzelał w obronie własnej. Miał pozwolenie na broń,

więc po przesłuchaniu zwolniono go do domu.

Zatrzymani napastnicy są mieszkańcami Żyrardowa. – Nie mają jeszcze 18 lat, ale mają za to długie kartoteki – powiedział podinspektor Janusz Wódcz, naczelnik sekcji prewencyjnej w Żyrardowie. Jego zdaniem takich przestępców trudno spłoszyć. Major z Łodzi na pewno ich zaskoczył.

(Joga)

ZAPŁACILI OKUP?

RZĄD NIEMIEC PRZYPUSZCZALNIE ZAPŁACIŁ OKUP ZA DZIEWIĘCIORO NIEMCÓW UPROWADZONYCH PÓŁTORA ROKU TEMU NA SAHARZE. TERAZ PORWAŃ BĘDZIE WIĘCEJ

Wydzień po powrocie do Europy 14 tysięcy porwanych pół roku temu na Saharze okoliczności ich uwolnienia wciąż pozostają niewyjaśnione. Władze Mali, gdzie Salafistyczna Grupa Kazania i Walki ostatecznie wypuściła zakładników, świętują swój sukces mediacyjny. W Europie mnożą się tymczasem doniesienia, że do zwolnienia zakładników doszło tylko dlatego, że rząd Niemiec zapłacił astronomiczny okup.

Według agencji AFP Berlin wyłożył za swoich dziesięciu obywateli aż 15 milionów euro. Według innych źródeł Niemcy zapłacili „tylko” pięć milionów euro. Niemiecki wiceminister obrony miał osobiście wpłacić pieniądze na konto rządu Mali, który następnie przekazał je porywaczom. Kanclerz Gerhard Schröder zaprzecza i mówi, że ma „wystarczające powody”, by nie komentować doniesień o okupie. Z kolei rzecznik koalicyjnej

partii Zielonych powiedział, że „Niemcy nigdy nie płać okupów, a gdyby to zrobiły, nigdy by się do tego nie przyznały” (w roku 2000 Berlin zapłacił za uwolnienie Niemki porwanej na Filipinach).

Według ekspertów od porwań wypłata okupu to jedyne racjonalne wyjaśnienie nagłego uwolnienia. Chęć odzyskania pieniędzy jest zapewne główną przyczyną, dla której Niemcy organizują teraz grupę pościgową za porywaczami.

Precedens w Mali to sygnał dla porywaczy, że Niemcy są gotowe płacić za swoich obywateli. Porwania mogą się teraz nasilić. Salafistyczna Grupa Kazania i Walki już zapowiedziała, że „może uderzyć znowu, gdzie i kiedy zechce”. Tymczasem niemiecki minister obrony Peter Struck zażądał, by w razie osiągnięcia zysków z upublicznienia swoich perypetii uwolnienia Niemcy zwrócili rządowi koszty półrocznych poszukiwań. (A)



Czworo uwolnionych Szwajcarów powitała w Zurychu minister spraw zagranicznych. Szwajcaria zaprzecza, jakoby dołożyła się do okupu

krótko

SOMOSAD NA PEDOFILU

John Geoghan, były bostoński ksiądz, który w ciągu 30 lat posługi kapłańskiej napastował ponad 150 nieletnich, został uduszony przez współwięźnia w więzieniu Souza-Baranowski w stanie Massachusetts. 41-letni Geoghan od roku odsiadywał wyrok sześciu lat więzienia za seksualne wykorzystywanie 10-letniego chłopca i oczekiwał na kolejne procesy. Oskarżenie Geoghana zapoczątkowało rok temu skandal pedofilski w archidiecezji bostońskiej. Od tego czasu w Bostonie ujawniono tysiąc wypadków molestowania seksualnego przez duchownych, które latami były tuszowane przez miejscowych hierarchów. By ograniczyć skandal, archidiecezja dąży do zawarcia ugody ze wszystkimi ofiarami, ale już teraz odszkodowania, które zgodziła się wypłacić, grożą jej upadłością.

O bezpieczeństwie pedofilów w polskich więzieniach – czytaj na s. 24.

BEZLITOSNY WOBEC GEJÓW

SŁAWNY HAMBURSKI SĘDZIA PRÓBOWAŁ SZANTAŻOWAĆ BURMISTRZA UJAWNNIENIEM JEGO HOMOSEKSUALNYCH SKŁONNOŚCI



Schill (z prawej) groził von Beustowi (z lewej), że ujawni jego romans z urzędnikiem

Burmistrz Hamburga Ole von Beust zdymisjonował blandowego ministra spraw wewnętrznych po tym, jak ten zagroził mu upublicznieniem jego romansu z ministrem sprawiedliwości. Zdymisjonowany Ronald Schill był popularnym hamburskim sędzią. Jego surowość wobec przestępców, dzięki której zyskał przydomek „Bezlitosny”, utorowała mu drogę do kariery politycznej. Dwa lata temu założył populistyczną Partię Ofensywy Praworządności, która zdobyła 20 procent głosów w parlamencie Hamburga. Schill został wiceburmistrzem.

Ostatnio przeholował jednak, próbując szantażem wymóc na burmistrzu zmianę decyzji w sprawie odwo-

łania swojego współpracownika. Burmistrz von Beust nie ugiął się przed szantażem i zdymisjonował ministra, który na specjalnie zwołanej konferencji prasowej ujawnił, że ma świadków na to, że burmistrz von Beust uprawiał seks z ministrem sprawiedliwości landu Hamburg. Ole von Beust stanowczo temu zaprzecza i utrzymuje, że z ministrem łączy go tylko kontakty służbowe. Afera nie zaszkodziła reputacji burmistrza, którego homoseksualizm jest w Hamburgu powszechnie znany. Oznacza ona jednak koniec kariery politycznej „Bezlitosnego” sędziego Schilla, przeciwko któremu po skandalu zwróciły się hamburskie elity. (QBA)

Z BUTAMI DO SZUKI

Warszawskie Centrum Sztuki Współczesnej ogłosiło zbiórkę butów na potrzeby obiecującej japońskiej artystki Chiharu Shiota. Do instalacji, którą artystka chce wystawić w CSW w grudniu, Japonce będzie potrzebnych 300 par butów, które zamierza powiązać czerwoną włóczką. Shiota nie stawia butom szczególnych wymagań – muszą mieć jedynie swój charakter. Właściciele obuwia oddawanego sztuce uprasza się o napisanie wewnątrz lub na podeszwie butów ich krótkiej historii. Kosz na dary już stoi w CSW. W 2000 roku artysta Mirosław Balka zbierał używane kostki mydła. Nanizal je potem na stalową linkę i też wyszła z tego sztuka.

krótko

Fot. M. HANSEN/ACTION PRESS/FREE

ZNOWU SNAJPER NA STACJACH BENZYNOWYCH



Policjanci szukają łusek po próbie zabójstwa na stacji pod Charleston

Fot. GETTY IMAGES/EAST NEWS

MIESZKAŃCÓW WIRGINII ZACHODNIEJ SPARALIŻOWAŁ STRACH. NAŚLADOWCA WASZYNGTONSKICH SNAJPERÓW ZASTRZELIŁ JUŻ TRZY OSOBY

Pierwsza ofiara zginęła 10 sierpnia. 44-letni Gary Carrier Jr. został postrzelony w głowę w budce telefonicznej przy sklepie Go-Mart w Charleston. Cztery dni później, 14 sierpnia, snajper zastrzelił w sąsiednich miejscowościach kolejne dwie osoby – 31-letnią Jeanie Patton i 26-letniego Okeya Meadowsa. Morderstwa nastąpiły w odstępie półtorej godziny. 20 sierpnia na przedmieściach Charleston snajper próbował zastrzelić kolejną osobę, ale chybił. Wszystkie ofiary zginęły na stacjach benzynowych. Badania balistyczne dowodzą, że morderstw dokonano z tej samej strzelby kalibru 22. Policja poszukuje ciemnej furgonetki, a na podstawie zeznań świadków śledczy opracowali rysopis podejrzanego – jest nim przysadziasty biały mężczyzna o ciemnych włosach, z długimi baczkami i bródką. Władze sugerują mieszkańcom Charleston, by nie wychodzili w nocy z domów i nie odwiedzali stacji benzynowych po zmroku.

We wrześniu ubiegłego roku para snajperów sterroryzowała okolice Waszyngtonu. John Allen Muhammad i John Lee Malvo zastrzelili 10 osób, większość na stacjach benzynowych. Obaj będą sądzeni tej jesieni. (AK)

krótko

BOMBOWIEC KU PAMIĘCI

Odrestaurowany bombowiec „Enola Gay”, z którego zrzucono na Hiroszimę pierwszą w historii bombę atomową, będzie można oglądać w grudniu na wystawie w Waszyngtonie. Władze Narodowego Muzeum Przestrzeni Powietrznej postawiły nawet dla „Enoli” specjalny hangar. – Ten samolot jest częścią historii i wiedzy o nas samych – twierdzi kurator wystawy. Bomba zrzucona z „Enoli” zabiła ponad 140 tysięcy osób. W wyniku radioaktywnego promieniowania liczba ofiar wzrosła z czasem do 220 tysięcy. Wystawa nie budzi sprzeciwu weteranów.

– Sądzymy, że to dobry moment historyczny na taką wystawę, i gratulujemy muzeum decyzji – powiedział Napoleon Byars ze Stowarzyszenia Sił Powietrznych.



Fot. GETTY IMAGES/EAST NEWS



Gerhard Schröder i Silvio Berlusconi u zarania, na początku i w trakcie uścisku

PIESZCZOTY W WERONIE

Po dwóch miesiącach wyzywania się od „kapo” i demonstracyjnego odwoływania wakacji kanclerz Niemiec Gerhard Schröder i premier Włoch Silvio Berlusconi umówili się w mieście kochanków Weronie, by na zgodę obejrzeć razem operę o nieszczęśliwej miłości. Pech chciał, że „Carmen” Georges’a Bizeta wystawiano na starożytnej arenie dla gladiatorów. Ilość historycznych i emocjonalnych odniesień okazała się zbyt duża – premier Berlusconi w ostatniej chwili odwołał swój przyjazd. Służby specjalne ostrzegły go podobno, że na widownię przeniknęły grupy lewaków, które zamierzały go wygwizdać. Mimo tych przeciwności zwaśnionym przywódcom udało się w końcu pogodzić podczas wspólnego uroczystego śniadania. (AŁ)

krótko

PRZELEW PRZESZŁOŚCI

Mieszkaniec rosyjskiej miejscowości otwino przy granicy z Łotwą połączył oba kraje prywatnym rurociągiem alkoholowym. Pod osłoną nocy położył w pasie granicznym 700 metrów plastikowej rurki o średnicy trzech centymetrów, przez którą na żądanie pompował sąsiadom spirytus domowej roboty. Przedsięwzięcie nie było przesadnie ryzykowne, bo stodoła stojąca bimbrownię stoi zaledwie 50 metrów od granicy. Linia kończyła się po stronie łotewskiej małym, samoobsługowym kranikiem. Sprzedaż spirytusu odbywała się sprawdzoną metodą „na telefon”. Spragnieni łotewscy klienci podjeżdżali samochodami pod kranik, po czym dzwonili z komórki do eksportera, a ten otwierał w stodole drugi zawór. Interes rozwijał się zapewne doskonale, gdyby doświadczeni rosyjscy pogranicznicy podczas patrolu nie natknęli się na odcinek słabo zamaskowanego rurociągu. Po nitce, a raczej po rurce, dotarli do gorzelni, gdzie znaleźli sprzęt do destylacji oraz dwa i pół tysiąca litrów czystego spirytusu. Tajemnicą pozostaje, w jaki sposób placili za alkohol, ale raczej nie był to przelew.

GĘSI NA WIRAŻU

Czwierć miliona osób oglądało wyścigi zwierząt na festynie rolniczym w Gaitersbrugu, największej takiej imprezie w stanie Maryland, USA. Dotychczas ścigały się tu prosięta, cielaki i owce, w tym roku do zawodów dołączyły gęsi, dla których zbudowano specjalny tor (na zdję-

ciu). Gęsi nie trzeba było zmuszać do biegu. – One myślały, że to zabawa, i same biegły – uspokajał obrońców zwierząt jeden z farmerów. Za cichym przyzwoleniem organizatorów bukmacherzy przyjmowali nawet zakłady. Podczas festynu, który tym razem odbywał się pod hasłem „Odkryj przyjemność”, miejscowi farmerzy wystawili 871 zwierząt. Dochód z imprezy zasilił budżet stanowego zoo. (AŁ)



Fot. GETTY IMAGES/EAST NEWS

W starym

czy w nowym?



Kredyt mieszkaniowy w Nordea Bank Polska.

Już od **5,49%** w PLN.

Marzysz o własnym kącie? W starym czy nowym budownictwie? Klasyczny czy nowoczesny styl? My dajemy kredyt, a Ty zajmij się wymarzonym zakupem. Po połączeniu z LG Petro Bankiem tworzymy nowoczesny i silny finansowo bank. Nasi doradcy finansowi proponują Tobie odpowiedni kredyt mieszkaniowy. Zadzwoń do nas, a my zadamy o resztę.

Oprocentowanie na 25.08.2003, promocja do 31.10.2003.

infolinia: 0 801 667 332

produkt: www.dobrykredyt.pl

Nordea

www.nordeabank.pl



SZTUKA TWORZENIA SAMOCHODÓW

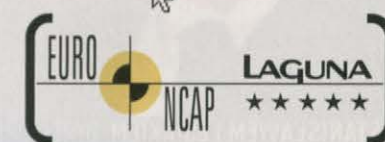
Laguna GALILEO



RENAULT LAGUNA

Wielkie odkrycia zdarzają się bardzo rzadko, ale teraz właśnie Ty masz szansę ich dokonać. Automatyczna klimatyzacja, odbłaskowa przednia szyba, felgi aluminiowe, radio CD, regulator i ogranicznik prędkości czekają, abyś je odkrył w samochodzie, o jakim inni mogli kiedyś tylko śnić. Renault Laguna w wersji Hatchback i Grandtour z limitowanej serii Galileo już za 72 500 zł.

www.renault.com.pl



Obracaj się w wyższych sferach



REPRODUKUCJA Z ARCHIWUM DOMOWEGO KRZYSZTOF LOKAL REPORTER

ROZMOWA Z PUŁKOWNIKIEM STANISŁAWEM LESIAKIEM, DYREKTOREM OKRĘGOWYM SŁUŻBY WIEZIENNEJ

SEGREGACJA I LECZENIE

W RZESZOWSKIM
ZAKŁADZIE
KARNYM
POWSTANIE
PIERWSZY
W POLSCE
ODDZIAŁ
DLA SKAZANYCH
ZA PRZESTĘPSTWA
SEKSUALNE.
KARY BĘDĄ TAM
ODBYWAĆ
PEDOFILE

MICHAŁ WÓJCİK: Jak traktowani są pedofile w polskich więzieniach?
STANISŁAW LESIAK: Mamy specjalne przepisy, na ich podstawie segreguje się osadzonych. Bardziej zdemoralizowani więźniowie nie odbywają kary z tymi, których do zdemoralizowanych zaliczyć nie można. Na przykład młodociani nie siedzą ze starymi, a recydywiści z karanymi po raz pierwszy. I tu pojawia się problem pedofilów. Zamierzamy ich objąć systemem wzmożonego oddziaływania. Pedofile są bowiem najniżej w hierarchii więziennej. Inni osadzeni traktują ich z pogardą. Złodziej czy włamywacz może zareagować tak, jak pan zareaguje na pedofila na wolności. Poczucie obrzydzenia i nie zechce się z nim kontaktować. Skazani w zasadzie nie mogą się znęcać nad pedofilami czy ich bić – izolacja jest na ogół skuteczna. Proszę również pamiętać, że nikt nie ma wypisanego na czole, że siedzi za molestowanie nieletnich. Więźniowie coś tam czasem o sobie wiedzą, ale nie zawsze to się ujawnia. Jeśli tak, obowiązkiem administracji jest zapewnić należytą ochronę.

Co to znaczy?

– Gość może siedzieć za kradzież bułki, ale jeśli jest niepełnosprawny umy-

słowo czy ruchowo, musimy mu zapewnić takie warunki odsiadki, by czuł się bezpiecznie. To samo dotyczy pedofilów. Przed agresją współwięźniów możemy ich chronić w konwencjonalny sposób, czyli separować. Jeśli pedofil jest silny fizycznie, to obroni się sam, gdyby ktoś chciał mu zrobić krzywdę. Ale specjalny oddział dla skazanych za przestępstwa seksualne powstaje nie po to, żeby ich chronić, ale przede wszystkim po to, by spróbować ich leczyć, jeśli istnieje taka szansa. Dlaczego? Bo pedofile bardziej niż inni przestępcy łamią psychikę ofiar. Obcuje z małoletnimi, którzy są bardziej bezbronni. Gwałt na dorosłej osobie nie pozostawia takiego piętna jak gwałt na nieletnim. Nie stać nas na objęcie podobnym systemem wszystkich przestępców seksualnych, ale wobec pedofilów zamierzamy to robić. Trafia tu ci, którzy roją nadzieje na wyleczenie.

Ale zanim tutaj trafią, mogą „przez przypadek” zlecieć ze schodów?

– Na terenie mojego okręgu jeszcze nie było takiego przypadku. A w kraju? Gdybym powiedział, że zawsze da się upilnować takiego skazanego, skłamałbym. Ale czy da się upilnować wszystkich? Nie. Są nieliczne przypadki znę-

cania się. Czasem dochodzi do zsekswowania posług seksualnych, innym razem do przypalenia papierosa. W skali kraju na ponad 80 tysięcy osadzonych odnotowuje się kilka takich przypadków w miesiącu.

W tym wypadku jednak trzeba włączyć pod uwagę grypsę.

– Skazani, szczególnie grypsujący, nie znoszą pedofilów. Trudno też ze strony pozostałych skazanych oczekiwać wobec nich objawów sympatii. W Irlandii na przykład powstał jeden zakład karny, do którego trafiają skazani za przestępstwa na tle seksualnym. W Rzeszowie będzie istniał wydzielony pododdział dla pedofilów.

Jak będzie wyglądał?

– To eksperyment. Leczenie będą nadzorować specjaliści. Pacjenci nie będą się stykać z innymi skazanymi, bo trudno wyobrazić sobie, aby zabójca czy narkoman był świadkiem czy uczestnikiem „psychodramy”, której poddawani będą w ramach procesu leczenia pedofile. W wydzielonej dla nich części pewnie też będzie dochodzić do konfliktów. Zapewne i tam powstanie nieformalna hierarchia. Jeden będzie ważniejszy, bo być może ktoś okrutniej zgwałcił, a drugi, bo jest silny fizycznie i do tego ma pieniądze, za które może sobie załatwić „wypiskę”. Zobaczymy. Generalnie jednak pedofile będą poddawani intensywnemu oddziaływaniu personelu specjalistycznego: terapeutów, psychologów, psychiatrów, seksuologów pod nadzorem między innymi takich autorytetów w tej dziedzinie, jak profesorowie Zbigniew Lew-Starowicz, Zbigniew Izdebski czy Kazimierz Imieliński.

W ubiegłym tygodniu w najsilniej strzeżonej części więzienia niedaleko Bostonu w USA współwięzień udusił księdza pedofila.

– Nie wiem, czy pan wie, na czym polega amerykański system penitencjarny. W wielu więzieniach skazani znaczną część dnia spędzają razem, na otwartej przestrzeni. Grają, ćwiczą, rozmawiają. U nas jest inaczej. Istnieją inne zasady udzielania spacerów i spędzania czasu na wolnym powietrzu. Jest po prostu ściślejsza segregacja. A poza tym u nas, w Rzeszowie, jest siedem spacerniaków.

ROZMAWIĄŁ MICHAŁ WÓJCİK

MARLI



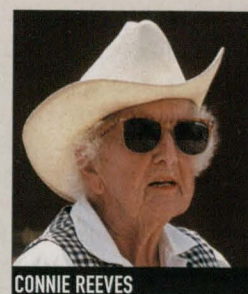
UBOŻKO

Lew Ubożko, 71, dysydent radziecki i polityk rosyjski. W ZSRR dwukrotnie wyrzucony z pracy, półtora roku był bezrobotny. W 1968 roku związał się radzieckim ruchem demokratycznym i już dwa lata później został aresztowany. Jako więzień zwieziony do ZSRR: łagry pod Odeską, szpitala psychiatryczne w Czelabińsku, Taszkencie i Mohylewie. Za waranta uznano go, ponieważ odmagał się wprowadzenia systemu wielopartyjnego. W 1975 roku uciekł z kolejnego łagru i rozpoczął działalność nielegalną. Złapany, wysiedlony dopiero w 1987 roku. Nigdy nie zdobył dużego poparcia. Zmarł w zapomnieniu.



SERGIO VIEIRA DE MELLO

Sergio Vieira de Mello, 55, Brazylijczyk, wysoki komisarz ONZ do spraw praw człowieka i specjalny wysłannik sekretarza generalnego ONZ do Iraku, filozof. Przez 33 lata pracował na rzecz ONZ w wielu zapalnych punktach – od Peru, przez Cypr, Sudan, Liban, Ruandę, po Bangladesz i Timor Wschodni. W timorskim biurze Vieiry była osobna szatnia na broń, ale rozmawiał ze wszystkimi, niezależnie od poglądów i narodowości. Na miesiąc przed mianowaniem na stanowisko w Bagdadzie pisał: „Militarna przewaga Amerykanów i Brytyjczyków nie może przesłaniać nam faktu, że stabilizacji w tym regionie nie da się zaprowadzić siłą”. Zginął w zamachu na siedzibę ONZ w Bagdadzie.



CONNIE REEVES

Connie Reeves, 101, legendarna kowbojka z Teksasu. Pierwszy raz dosiadła konia, zanim jeszcze nauczyła się chodzić. Własnego wierzchowca dostała jako pięcioletnia i szybko została mistrzynią jazdy w stylu zachodnim i angielskim. Była najstarszą działaczką jedyne-go na świecie muzeum poświęconego dzielnym kobietom Dzikiego Zachodu – National Cowgirl Museum w Fort Worth. Mistrzyni, której życiowe motto brzmiało: „Zawsze dosiadaj własnego konia”, przez 70 lat pracy na ranchu Waldemar Camp nauczyła jeździć konno 30 tysięcy dziewczyn. W wieku stu lat wzięła udział w paradzie na cześć nowego budynku muzeum. Oczywiście konno.



ROXIE C. LAYBOURNE

Roxie C. Laybourne, 92, pionierka ornitologii sądowej. Rolą ptaków w katastrofach lotniczych zainteresowała się w roku 1960, po katastrofie amerykańskiego samolotu pasażerskiego, który startując z lotniska w Bostonie, wleciał w chmurę szpaków. Zginęli wszyscy pasażerowie. Jako pracownica Muzeum Historii Naturalnej Laybourne zajmowała się badaniami nad identyfikacją ptaków biorących udział w kolizjach. Rozpoznała gatunki na podstawie rodzaju pierza. Współpracowała między innymi z FBI – w przypadku pewnego zabójstwa wykazała, że ślady pierza na kuli wyciągniętej z klatki piersiowej zmarłego mężczyzny pochodzą z użytej jako tłumik poduszki żony ofiary.



Jacek Kalas – ofiara prowokacji czy przestępca?

ZEMSTA NA PRYMUSIE

JACEK KALAS SPĘDZA DWA MIESIĄCE ZA KRATAMI. ŚLEDZTWO W JEGO SPRAWIE ZOSTAJE UMORZONE PO DWÓCH LATACH. TAK – ZDANIEM JANA ROKITY – MIAŁ WYGLĄDAĆ SCENARIUSZ PROWOKACJI PRZYGOTOWANEJ PRZEZ AGENCJĘ BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO. SĄD NIE ZGODZIŁ SIĘ JEDNAK NA PRZEDŁUŻENIE ARESZTU BYŁEMU FUNKCJONARIUSZOWI UOP

Ekipa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego zamknęła Jacka Kalasa w „dołku” na Żytnej, w tej samej celi, do której trafił 20 lat temu. – Niewiele się zmieniło, brakowało tylko wiadra, które wtedy udawało sedes – wspomina Kalas. Dwudniowy pobyt w areszcie miał go złamać i przestraszyć, jak podejrzewa Jan Rokita, który uważa akcję ABW za prowokację wymierzoną w byłych funkcjonariuszy wyrzuconych z UOP po zmianie rządu w roku 2001.

Jacek Kalas w latach 80. był członkiem Niezależnego Zrzeszenia Studentów, potem działał w nielegalnym Komitecie Obrony Więzionych za Przekonania. W stanie wojennym został internowany. Zaraz po zwolnieniu zaczął działać w podziemiu. – W czasach komunizmu był wielokrotnie zatrzymywany – mówi jego żona. – Zdążył się przyzwyczaić.

W roku 1984 funkcjonariusze SB wywieźli go na znane w Toruniu miejsce straceń z okresu II wojny światowej. Straszili go bronią i próbowali zmusić do współpracy. Nie udało się. Kilka miesięcy potem esbecy grozili, że wyrzucą go z siódmego piętra Wojewódzkiej Komendy Milicji.

Pracę w UOP Kalas podjął w roku 1991. Zajmował się przygotowaniem systemu kontroli pracy tajnej policji. – Chodziło o wprowadzenie policji do samej policji – tłumaczy. Osiem lat później za

ochronę niejawnych informacji i udaremnienie wycieku kilku tysięcy dokumentów byłej SB i UOP otrzymał z rąk prezydenta Srebrny Krzyż Zasługi. W roku 2001 premier Jerzy Buzek nagrodił go za wybitne osiągnięcia w pracy.

Po zmianie rządu Kalasa wydano jednak ze służby. Dwa razy odwoływał się od tej decyzji i dwa razy NSA nakazywał przywrócić go do pracy. Nie udało się. Podjął pracę w NIK, w zespole zajmującym się „raportem otwarcia” rządu Leszka Millera. Zespół wykrył między innymi, że przy tworzeniu raportu wykorzystywano sfałszowane dane.

Andrzej Barcikowski, szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, twierdzi, że zatrzymanie Kalasa nie ma z raportem nic wspólnego. – Chodzi o wyciąganie z ABW informacji, które mogły narazić konkretne osoby na niebezpieczeństwo – tłumaczy. O co rzeczywiście chodzi, nie wiadomo. Wiadomo jednak, że Kalas był jednym z najlepszych oficerów UOP (dosłużył się stopnia majora). – To skrupulatny pracocholik, oddany krajowi i powołaniu – mówi o nim posłanka Anna Sobecka z LPR.

Sam Kalas raczej nie przypomina groźnego agenta. Ojciec piątki dzieci, lekko się jękać, całą sprawę nazywa żenującą i śmieszną. Nie komentuje jednak zarzutów szefa ABW, bo chce respektować przepisy, które sam przed laty wprowadzał. (MW)

32-letni **GUILLAUME DEPARDIEU**, syn znanego francuskiego aktora, został aresztowany

za groźenie bronią pewnemu mężczyźnie w barze w mieście Trouville.

20 OSÓB zostało rannych w czasie sobotniego Leeds Festival w Wielkiej Brytanii na koncercie grupy System

Of A Down. Wypadek nastąpił, gdy tłum pod sceną naparł i uszkodził barierki. Festiwalu nie przerwano.

a właściwie to...

PAWEŁ ŚPIEWAK



Żelazna mietła

Decyzję rządu Millera o opodatkowaniu szkół społecznych tak jak zwykłych przedsiębiorstw można by uznać za kolejny absurd, gdyby nie pewna konsekwencja resortu edukacji. Otóż minister Łybacka podejmuje już kolejną próbę zniszczenia szkolnictwa niepublicznego. Najpierw chciała ograniczyć jego swobodę w tworzeniu własnych, autorskich programów, narzucając urzędową siatkę godzin, przedmiotów i listę obowiązujących lektur. Cały sens oświaty społecznej na poziomie podstawowym i średnim uległby w ten sposób kompletnemu wykoślawieniu. Wszak powstała ona właśnie po to, by złamać monopol oświatowy państwa i stworzyć nowe, alternatywne, być może zaraźliwe, wzorce nauczania. Pomysł ten szczęśliwie został storpedowany, ale – jak powiadają – jak nie pałąk go, to nożem. Teraz chcą wykończyć niepodległe szkolnictwo za pomocą narzędzi ekonomicznych. Prosta to i skuteczna metoda. Tak samo rzecz się ma z niepublicznym szkolnictwem wyższym. Rozumiem, że można na wiele z tych szkół utyskiwać, ale bez nich nie byłoby niesłychanego boomu edukacyjnego. Na koniec socjalizmu wychodziliśmy z najgorszym w Europie (poza Albanią) poziomem wykształcenia. Po kilkunastu

latach sytuacja nieco się poprawiła. Jeśli się poprawiła, to trzeba wszystko zepsuć. Łybacka ze swoją ekipą postanowiła wymusić od szkół podatki dochodowe oraz nie tyle podwyższenie ich poziomu, ile podporządkowanie się ogólnym dyrektywom. Urzędnicy z alei Szucha produkują sylabusy do każdego przedmiotu i tylko te wydziały dostają akredytację, które przepiszą do swoich dokumentów gotowe sztamperki. Nie ma miejsca na nowe przedmioty, nie wolno odejść od gotowców. Jak jest napisane „socjologia etyki”, to nie ma już miejsca na „socjologię moralności”, choćby tę wykładano już dziesiątki lat. Jak ma być „wstęp do nauki polityki”, to nie ma miejsca na przedmiot „wprowadzenie do teorii polityki”. Wszystko z góry jest już ustalone. Jak ktoś się nie podporządkuje, nie otrzyma akredytacji. Urzędnicy też wiedzą, kto jest kim w nauce.

Mają akademików podzielonych na rubryczki. Jak ktoś został u nich zarejestrowany jako anglista, to nie ma prawa, nawet jeśli zmienił specjalizację, wykładać językoznawstwa, a gdy występuje w rubryczce jako politolog, to wara mu od socjologii polityki lub filozofii polityki. Urzędnicy wiedzą lepiej, komu i czego wolno nauczać. Tak się odradza wszechwładne państwo kierujące się leninowskim wskazaniem: kontrolować, kontrolować. Łybacka ceni sobie porządek, ale tylko ten, który sama zaprowadza. Nie znosi odmienności, bo burzy to ład moralny wprowadzany przez jej resort. Wraca model socjalizmu, tyle że bez obowiązującej ideologii, jeśli nie brać pod uwagę lekcji z frazeologii demokratycznej i katolickiego wychowania. Nie dopuszcza się odmienności. Obowiązywać ma równość, czyli wszyscy znów muszą być wychowywani i uczeni tego samego i tak samo. O reformie szkolnictwa nawet wspominać nie wolno. Niech trwa stworzony w epoce rozwiniętego socjalizmu model edukacji: wkuwanie, dyscyplina i porządek. Żeby dzieła dopełnić i uczynić z nas społeczeństwo na swoją miarę, rząd Millera przeznaczył na naukę 0,3 procent budżetu kraju. Wielekroć mniej niż na Łotwie czy w Czechach, nie wspominając już o Finlandii albo Hiszpanii. Nie starczy nawet na dofinansowanie grantów z Unii Europejskiej. Trzeba mu przyznać jedno – resort edukacji działa systematycznie i konsekwentnie. Chce ukatrupić wszystkie oddolne inicjatywy. Nie znosi niezależności i odmienności, a wolność, jak za socjalizmu, kojarzy mu się tylko z anarchią. ■

Fot. MACIEJ ZIENKIEWICZ/AG

ŻNIWA, ŻNIWA
I PO ŻNIWACH.



WILHELM SASNAL

Ewa Lipska

Moja siostra

Moja siostra jeszcze nie wie
że świat skazany jest na atlas.
A atlas to ogromny talerz wiecznie głodny.
To żurnal państw skrojonych. Czasami niemodnych.
Że wszystko nagle jest jasne kiedy wychodzi się z kina.
Że idee najlepiej leżą na manekinach.
Że nie ma śmierci dla przykładu.
Że śmierć jest tylko dla natury.
Że chcąc oglądać niebo trzeba
zanieść je przedtem do cenzury.
Że największa wiedza jest w bibliotece przestrzeni.
Że miłość to jest miłość. A miłość to ogród.
Że trzeba w tym ogrodzie unikać jesieni.
Że nie da się w ogrodzie uniknąć jesieni.
Że podziału komórek nikt już nie powstrzyma.
Że życie jest skończone kiedy się zaczyna.
Że Izolda jest stara. Cierpi na reumatyzm.
Że historia to taki wielki koszt na śmieci.
Służę do przepadania dat i straszenia dzieci.
Że kiedy noc oczy na chwilę ocienia
to budzą się w nas ptaki z krzykiem: Ziemia! Ziemia!
I wtedy odkrywamy nowy ląd: Człowieka
który nam ciepłą rękę kładzie na powiekach...

Ale moja siostra już wie
że Ala ma kota.



raport mniejszości

Dla „Przekroju” ANDRZEJ DUDZIŃSKI



**Politycy niepotrzebnie wrócili z wakacji,
bo i tak od dawna już nie rządzą.
A my wszyscy zacznijmy myśleć,
jeśli nie chcemy wylądować na śmietniku
– ostrzega profesor JADWIGA STANISZKIS
w rozmowie z Piotrem Najsztabem**

W „Władza w Polsce kończy się wraz z jej objęciem, wydobywa z ludzi poczucie bezradności, strach, przekonanie, że wszystko jest polityką pastiszu, że rządzi się w sytuacji, w której nie kontroluje się procesów, za które się odpowiada. Jeśli do tego dochodzi półinteligencja, to ci ludzie nie umieją tego nawet wyrazić. Są to wówczas lumpenpolitycy, niedouczeni rzemieślnicy działający w sytuacji, gdzie potrzebni są artyści” – powiedziała pani o obecnym rządzie.

– Problemem postkomunizmu jest to, że władza jest sprawowana w imię innego celu niż prawdziwe rządzenie. W imię logiki globalnej, w której ruchliwy kapitał chce obniżyć swoje koszty i sam decyduje o tym, jakie instytucje mu się podobają, a jakie nie. I zarządzanie re-

alizuje to, co chce ta władza bez podmiotu, a rządzący odpowiadają za skutki całej tej sytuacji. A te skutki to: niesterowność systemu, niekompletny kapitalizm, bo żeby się bronić i jakoś stworzyć ten krajowy kapitał, wraca się do redystrybucji, renty władzy, a podmioty hybrydowe, zawieszone między państwem i rynkiem, dominują nad przedsiębiorczością (pojawia się tu fenomen klasy politycznej, która równocześnie traci, bo odpowiada za tę niesterowność, ale zarazem jest głównym beneficjentem tych resztek), i coś, co nazywam desubstancjalizacją tkanki społecznej, bo dalej są instytucje demokracji i kapitalizmu, ale nie mają prawdziwych treści, są tylko fasadami.

W jakim więc żyjemy systemie?

– Funkcjonalnej patologii. Korupcja czy szara strefa między państwem i rynkiem jest naszym systemem, normą. I to jest po prostu taka figura tragedii greckiej, że kolejny błąd systemowy jest właściwie sposobem, który może temu wszystkiemu nadać sens.

Jak?

– Balcerowicz rozumie tę logikę i przyspieszył demontaż tego, co było, uważając, że w tym stadium globalizacji nie ma sensu w ogóle myśleć w kategoriach czegoś, co się nazywa gospodarką narodową. Jestem zwolenniczką takiego neobismarckiego projektu integracji Europy, to znaczy tak, jak to robił Bismarck – zintegrować administrację,

POŻEGNANIE Z POLSKĄ

JADWIGA STANISZKIS
URODZIŁA SIĘ W 1942 R.
JEST SOCJOLOGIEM
I POLITOLOGIEM,
OD ROKU 1992
– PROFESOREM
UNIwersytetu
WARSAWskiego.
W MARCU 1968 BYŁA
ASYSTENTKĄ
NA WYDZIALE
SOCJOLOGII UW
I SAMOTNĄ MATKĄ.
ARESztOWANO JĄ,
GDY WRAZ Z DELEGACJĄ
STUDENTÓW POSZŁA
DO REKTORA.
W SIERNIU 1980 SAMA
ZREZYGNOWAŁA
Z DORADZANIA
STOCZNIOWCOM.
– STRAJKUJĄCY MOGLI
WALCZYĆ O WIĘCEJ,
GDYBY NIE DORADCY,
KTÓRZY ICH HAMOWALI
– WSPOMINAŁA PÓŹNIEJ.
WYMYŚLIŁA NAZWĘ
UGRUPOWANIA, KTÓRE
W ROKU 1997 ODNIOŚŁO
SUKCES W WYBORACH
PARLAMENTARNYCH
– AKCJA WYBORCZA
SOLIDARNOŚĆ – JEDNAK
JUŻ PO ROKU OTWARCIE
ZACZĘŁA KRYTYKOWAĆ
AWS.
NA ZARZUT, ŻE UPRAWIA
„SPISKOWĄ TEORIĘ
DZIEJÓW”, ODPOWIADA,
ŻE NAPISAŁA
TRZY KSIĄŻKI
O WYCHODZENIU
Z KOMUNIZMU,
A KWESTIA SPISKÓW
NIE ZNALAZŁA SIĘ
W NICH NAWET
W PRZYPISACH.

stworzyć Europę jako jednolity organizm administracyjny, tak jak to chce kanclerz Niemiec czy szef MSZ tego kraju Joschka Fischer.

Czyli trzeba szybciej się poddać? A czy my w Unii Europejskiej nie spowodujemy chaosu, czy ta struktura jest na tyle silna, żeby nas przelknąć?

– Dziś jesteśmy łatwiejsi do strawienia, bo nie jesteśmy już systemem, poszczególne elementy działają jak gdyby w różnych skalach i nie ma praktycznie pomiędzy nimi sprzężeń. Mamy taki kapitalizm państwowy bez państwa.

Bismarck miał jednak oręż w postaci germanizacji.

– On zaczynał od połączenia administracji poszczególnych landów. Dołączył do tego korporacjonizmy, a dopiero na samym końcu dodał politykę. Korporacjonizm nie jest już możliwy w dobie globalizacji, polityka też jest zmarginalizowana, tym bardziej ważne jest umiejętnie, zupełnie nowatorskie stworzenie systemów administracyjnych. To mogłyby być na przykład takie struktury Net Centrix. Jeszcze przed wojną w Iraku stworzono w ramach Pentagonu taką siatkę. Uznano, że należy złamać pewien kanon, w jakim dotychczas funkcjonował Zachód, że mając sytuację, którą się chce kontrolować, wystarczy stworzyć jakąś formalną reprezentację władzy i już się da egzekwować własne cele. A chodziło o walkę z terroryzmem. Uznano, że żeby rzeczywiście być skutecznym, to, co kontroluje, powinno przybrać postać tego, co ma być kontrolowane. Stworzono siatki Net Centrix, samosterujące się pajęczyny złożone z rozsianych po świecie agentów antyterrorystycznych, wzorowane na najnowszej generacji graczy komputerowych. W Azji, na Tajwanie czy w Japonii gra jest wypuszczana na rynek w kilkudziesięciu wersjach i kupuje ją kilkaset tysięcy ludzi. Żeby rozwiązać problem, wygrać, należy te kilkadziesiąt wersji znaleźć. Ci, którzy je mają, muszą się odnaleźć, wymienić się informacjami. Robią to przez Internet, nigdy się nie poznają. Nie ma żadnego ośrodka, który to koordynuje, nie ma w związku z tym żadnej hierarchii.

Gdzie efektywność takiego systemu?

– W tym, że wszystkie informacje są do końca wykorzystane. Amerykanie przenieśli to na tropienie terrorystów.

Znikają nieuchronne błędy tradycyjnej administracji. Nie ma żadnego centrum, agenci wymieniają się informacjami, których znaczenie nie do końca rozumieją. I sieć dopiero tworzy z tego system. Prezydent Bush z góry autoryzował ich działania, do zabicia włącznie. Nie ma nikogo nad nimi, bo istotą tego systemu jest zniesienie hierarchii i zniesienie centrum. I to jest też model przyszłej administracji.

To nie może być pomysł polityków, bo ich ten system marginalizuje.

– To stworzyła, wymusiła „władza” globalizacji. Polityka jest oczywiście coraz bardziej anachroniczna, bo dyskurs polityczny ma bardzo krótki horyzont czasowy. Zgiełk polityczny wytwarza niesłychany, niepotrzebny nadmiar znaczeń, który odwraca uwagę od najważniejszych problemów. A te wykraczają poza dotychczasowe, znane nam z XX wieku.

Klasyczna polityka, klasyczna, hierarchiczna administracja muszą, pani zdaniem, odejść do lamusa. Co ma je zastąpić?

– Inne systemy, figury rozumowania. Na przykład figura paradoksu, którego się nie rozwiąże, jeśli się nie zmieni punktu widzenia w toku myślenia. W kulturze Chin paradoks i antynomia są ciągle obecne w nauczaniu, tam pewność, jednoznaczna różnica nie istnieją, wszystko zależy od skali i czasu. To jest myślenie, które im pozwala zmierzyć się ze współczesnością. Tak samo jest w Japonii. Byłam w tamtejszym ministerstwie handlu i przemysłu. Rządzą w nim młodzi ludzie, 30-letni dyrektorzy, w strukturze, w której nie ma zasady starszeństwa. Z naszej perspektywy w Japonii jest kryzys finansowy, a ich to w ogóle nie zajmuje, uznają to za sferę wirtualną. Dla nich ten wymiar nie istnieje. Ich interesuje to, co się dzieje w sferze realnej. A w sferze realnej nie ma kryzysu – mają wciąż największy przyrost innowacji, cały czas myśl jest żywa. Japonia rozumie, co to znaczy władza, kontrola, czasem aż za dobrze. Przez lata prowadzono dyskusję o tym, jak dalece należy stłumić w sobie żądzę władzy. Oni wiedząc, że są zbyt sprawni, odczuwają strach przed samymi sobą.

My nie musimy się siebie bać?

– Polska jest takim turlającym się kłębkem puchu z mleczka. Przedmiotem, a nie podmiotem. Potyczki prawicy z lewicą są śmieszne w swoim niedostrzeganiu mechanizmu naszego chaosu. Polityka w tym sensie jest jałowa i denerwująca, bo jej język już nie pasuje. Naszym atutem jest żywotność, natomiast nie istniejemy jako intelektualna część Europy, świata. W naszym państwie nie ma miejsca, w którym się myśli. W większości państw są takie miejsca. Ameryka ma niesłychanie sprawne centrum zarządzania kryzysowego, gdy kryzysem jest po prostu zahamowanie ekspansji – ale nie terytorialnej, tylko ekspansji myśli. A ilość pieniędzy, która jest kierowana na badania publiczne, skoncentrowana w kilkunastu dobrych miejscach, najlepszych uniwersytetach? Ameryka jest liderem i dlatego w tej chwili największe korporacje europejskie dyscyplinują swoje rządy, żeby nie powiększały konfliktu ze Stanami, bo tam leży źródło wspólnej dynamiki, w tych „miejscach do myślenia”. Coś podobnego, w mniejszym zakresie, istnieje w Europie Zachodniej, a u nas jest pustynia.

Polska jest turlającym się kłębkem puchu z mleczka. Przedmiotem, a nie podmiotem



My mamy chłopską żywotność i umiejętność przetrwania. I to że nie pchamy się do myślenia?

– Dlatego dajmy się wchłonąć, bo i tak już nas, w jakimś sensie, jako systemu, nie ma. Podporządkujmy się, zanim nas wyrzucą na margines, zanim zostaniemy strefą niczyją, bo to ciągle jest możliwe. Cały czas jednak wierzę, że możemy jeszcze potraktować państwo i rządzenie jako wyzwanie intelektualne i stworzyć z tego jakieś wyzwanie dla tej marnującej się inteligencji, zgromadzić lepiej wykształconych młodych ludzi.

Jednak za chwilę zaczyna się nowy sezon polityczny. Politycy wrócą z urlopów i – biorąc pod uwagę to, co pani powiedziała – nie należy mieć wielkich nadziei, że będą potrafili jakoś odpowiedzieć na te problemy. To dosyć beznadziejna sytuacja.

– Trudno jest politykowi uznać własną nieadekwatność. A poza tym pamiętajmy, że to politycy ponoszą główną odpowiedzialność za to, że kiedy było jeszcze można, w '90, '91 roku, nie dyskutowano podstawowych kwestii, te dramatyczne zmiany odbywały się w absolutnym milczeniu, nie było żadnej debaty. I stracili w połowie lat 90. prawdziwą władzę.

Na przykład?

– Chociażby podjęli decyzję o dokapitalizowaniu sektora finansowego, banków, a nie sfery produkcji. Tej ostatniej nałożyli wielkie ciężary, które miały przyspieszyć prywatyzację

Millera już nie ma, a wymieniany jako jego następca minister Hausner to człowiek XIX wieku

przez bankructwo. W porządku, to był pewien wybór. Ale czemu potem sprzedali te banki, zamiast poczekać, aż powstanie kapitał krajowy? Potem skomercjalizowali na wielką skalę zadania państwa. W porządku, były w świecie takie przykłady kolonizacji państwa, ale tego się nie robi w dwóch sytuacjach: kiedy banki nie są własnością państwa, bo one najbardziej na tym zarabiają, i kiedy stopy procentowe są wysokie, bo wtedy pokusa klientelizmu jest za silna.

A jednak tak zrobiono. I władza przestała mieć wpływ na prawdziwe procesy gospodarcze. Nawet ci, którzy mieli pewne doświadczenie z poprzednich rządów SLD-PSL, teraz, przychodząc do władzy, szybko dostrzegli, że między ich pierwszym rządzeniem a tym ta rzeczywista władza zniknęła. W tej chwili rządzenie jest jałowym, administracyjnym borykaniem się. Na przykład rząd, który już nie jest ośrodkiem władzy, napotyka problem fabryki wagonów w Ostrowie. A premier musi realizować już te reguły, które są związane z integracją europejską. A to oznacza, że musimy w konkretnym zakresie zrobić miejsce dla „tamtej” produkcji, unieru-

chomić swoje zasoby. I właśnie ten Ostrów, te wagony mają być unieruchomione. To nie jest racjonalność ekonomiczna, to nie jest rynek. To nie jest też polityka, bo też zwiększa problem dla polityków, to jest po prostu brak realnej władzy. A oni nawet nie są w stanie przyznać się do tego, a takie przyznanie mogłoby być odświeżające, pozwoliłoby skupić się na tym, co można zrobić. Odpowiedzią na to jest polityka pastiszu, robienie czegoś, żeby pokazać, że się w ogóle coś robi.

To może przesunąć polityków polskich w ogóle w sferę rozrywkę?

– Mam nadzieję, że gdy dojdzie do neobismarckowskiej integracji Europy, to tak się stanie.

Ale na razie rządzi nami, przynajmniej pozornie, premier Leszek Miller. Przewidywała pani jego upadek, a on trwa i trwa.

– Jednak zostanie rzucony na pożarcie jako kozioł ofiarny po to, żeby ten układ przetrwał, i prawa, i lewa strona. To jest już tylko kwestia „kiedy”, ale to nie może zbyt długo trwać, bo jednak jego osoba w zbyt wielu złych sprawach jest zaangażowana. Borowski, Janik, Ordynacka zorientowali się, że jeżeli nie dogadają się między sobą – poświęcając Millera – to będą sobie nawzajem niszczyli znaczące pozycje swoich układów.

Ale może trzeba uznać, że Miller właśnie udowodnił swoją niezatapialność?

– Millera już nie ma, a wymieniany jako jego następca minister Hausner to człowiek XIX wieku, człowiek mediacji, negocjacji itd. On ma nadzieję, że się uda tymi operacjami zwiększania deficytu wygrać kolejne wybory, i dopiero potem chce zmierzyć się z najważniejszymi problemami. Iluzoryczne nadzieje, potem na wszystko będzie za późno.

A może się pani myli, mówiąc, że Millera nie ma? Gdybyśmy uznali, że skoro tyle przetrwał, to jest silny i mógłby pokusić się o stworzenie nowej administracji wzorowanej na przykład na przytaczanym przez panią systemie Net Centrix?

– Ja go osobiście nie znam, ale nie wygląda na człowieka, który coś widzi. A poza tym ci ludzie, którymi on się otacza... Na przykład ten Tadeusz Iwiński... W Krakowie, w dworcowym przejściu podziemnym, sprzedawana jest taka makulatura, różne książki z PRL-u. Zobaczyłam tam książkę Iwińskiego i Lamentowicza o neokapitalizmie, taka broszura z końca lat 80. Pewien poziom oportunistu coś w mózgu powoduje, racjonalizuje się podświadomie rzeczy niemożliwe i potem klapki się zapadają. Jeżeli premier ma takich doradców jak Iwiński, to nie możemy z nim wiązać wielkich nadziei... Poza tym premier nie przeszedł jednak odpowiednich szkół, nie przeczytał pewnych książek i nie miał nawet trochę czasu na namysł. Żyje w pędzie. I ma bardzo niski próg odporności na stres, a przybrał pozę silnego faceta, więc się po prostu łatwo spala. I dlatego też już go nie ma.

Z pani wizji przyszłości wynika, że jeśli świat ma dobrze funkcjonować, to musi mieć silny i sztywny podział na garstkę tych, którzy rozumieją go i nim kierują, oraz całą resztę, która ma nie przeszkadzać.

– Ta garstka nie do końca będzie kierowała, bo nasila się zjawisko władzy bez głównego podmiotu. Stworzą się pewne struktury, których racjonalność odnosić się będzie do nich samych, do ich wewnętrznej logiki. Trudno będzie o osąd moralny.

I to zastąpi dzisiejszą hierarchię.

– Zastąpią ją ludzie zdolni do funkcjonowania w tym systemie. Reszta będzie po prostu gdzieś tam wepchnięta, żeby nie zauważyła swojej zbędności. Poniżej będą ludzie w ogóle niepotrzebni, których trzeba będzie czymś zająć. Ja, pracując, słucham radia, Programu I. No i słyszę: tutaj pielgrzymka, tam marsz bezrobotnych, tu „wielkie gotowanie” – masy ludzi z jakimiś kubłami po tę zupkę. I wyobraziłam sobie te przewalające się z miejsca na miejsce masy. W Chinach, gdzie przy takim zagęszczeniu „przewalanie się” mas byłoby dewastujące, wymyślono w religii, że trzeba być blisko swoich przodków, a przodków trzeba pochować na środku swojego pola. I to unieruchomiło masy. Unieruchomienie mas będzie jednym z wielkich problemów świata. Dlatego tak ważna jest edukacja, bo jednak uczestniczenie w kulturze, w wiedzy, tworzenie czegoś daje poczucie sensu. I to jest jedyna droga, żeby ludzi utrzymać w poczuciu szczęścia.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB

WARSZAWA, 22 SIERPIENIA 2003 R.

ZDJĘCIA ROBERTLASKA.COM

Artykuł opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

PRZEJDZIEM NYSE, PRZEJDZIEM ODRĘ

DOROTA SAJNUG

Tego lata z powodu suszy przez Nysę można przejść niemal suchą nogą. W ciągu trzech dni nasza reporterka dobiła targu z czterema przemytnikami obcokrajowców

Po lewej: Wnętrze niedokończonego hotelu w Gubinie, gdzie Straż Graniczna już kilkakrotnie znajdowała oczekujących na przerzut nielegalnych imigrantów z Rosji

Poniżej: Imigranci przekraczają zieloną granicę z Niemcami (zdjęcie z kamery termowizyjnej patrolu Straży Granicznej)

Na dole: Areszt w Krośnie Odrzańskim, do którego trafiają obcokrajowcy złapani na nielegalnym przekraczaniu granicy

Gubin, 14-tysięczne miasteczko nad Nysą. Ponad 40 agencji towarzyskich (dla Niemców zza granicy), 80 zakładów fryzjerskich (dla Niemców zza granicy), sporo knajp i restauracji. Szukamy kontaktu. Już w pierwszym barze właściciel bez skrępowania sypie informacjami.

WYJAZD DO NIEMIEC

– Ja się tym biznesem nie zajmuję. Raz już siedziałem – wyjaśnia ze szczerością. – Ale idźcie do taksówkarzy albo do restauracji Zenek.

Na postoju taksówek narada. – Chcemy przerzucić do Niemiec Wietnamkę z dwuletnią córeczką – mówimy. – Oczywiście nie mają żadnych dokumentów.

– Podpadowa sprawa – stwierdza taksówkarz w czerwonym podkoszulku i obwisłych szortach. – Znam takie jedno miejsce – wtrąca właściciel białego mercedesa. – Ale to będzie kosztowało pięć stówek za kurs. Poczekajcie tu. Będę za 15 minut.

Wraca bez taksówkowego koguta. – W razie czego ja o niczym nie wiem i w ogóle się nie znamy – uprzedza. – Mam spokojną pracę, nie piję, nie palę i nie zamierzam w nic się łądować.

Zawozi nas do małego hotelu w Zgorzelcu. – Teraz wszystko zależy już tylko od was – mówi. – Albo tutaj kogoś spotkacie, albo pytajcie taksówkarzy. Najlepiej przenocujcie jedną noc.

W hotelu pusto, za to na postoju stoi z pięć samochodów. Podchodzimy do pierwszego z brzegu. – Znam kogoś, kto się tym zajmuje – stwierdza taksówkarz. – Za dwie Wietnamki to będzie gdzieś koło tysiąca euro. A co? To sprawa na dziś?

Wyjaśniamy, że Wietnamki czekają na przerzut w Warszawie. Taksówkarz daje nam numer swojego telefonu komórkowego. – Jestem Genek. Zadzwońcie jutro, to się dogadamy.

Kontakt jednak nie wypala. Następnego dnia Genek mówi, że faceta od przerzutów chwilowo nie ma. Za dwa tygodnie coś się zorganizuje, chyba że wcześniej sami znajdziemy jakiś inny kanał.

Kilkaset metrów dalej kolejny postój taksówek. Nasz rozmówca bez zbędnych pytań podaje numer: – 607... Mówcie, że to ja was przysyłam. Ten facet się tym zajmuje.

W słuchawce odzywa się lekko schrypnięty głos: – Wyjazd do Niemiec? Ja nie organizuję żadnych wyjazdów do Niemiec. Dekarzem jestem. Na dachu siedzę. Do widzenia.

Następnego dnia dzwoniemy jeszcze raz. Tym razem „dekarz” jest bardziej przychylny. – Człowiek musi się teraz pilnować – mówi. – Pełno tu się kręci różnych konfidentów. Podaj swój numer telefonu, to ktoś może zadzwoni.

NIEMCY NAS ZŁAPALI

W areszcie Straży Granicznej w Krośnie Odrzańskim siedzi dwóch Białorusinów i sześciu Ukraińców, którzy wpadli po niemiec-

kiej stronie zaraz po przekroczeniu Nysy. 30-letnia Tatiana mówi, że chciała jechać ze znajomymi do pracy do Włoch, ale na Ukrainie nie chcieli im dać włoskiej wizy. Legalnie wjechali więc do Polski, by przedostać się do Niemiec przez zieloną granicę.

– Na bazarze spotkaliśmy naszych, z Ukrainy – opowiada Tatiana. – Dali nam kontakt na Polaków, którzy przeprowadzają przez Nysę. Zapłaciliśmy po 200 euro. Poszedł z nami przewodnik. Zostawił nas zaraz po niemieckiej stronie i uciekł. Przeszliśmy kilkaset metrów i złapali nas Niemcy.

Sergij razem z kolegą sami próbowali nocą przekroczyć rzekę. Nie widzieli patroli. Złapano ich, zanim jeszcze weszli do Nysy.

– Oni nie zdradzą, kto ich przeprowadzał – mówi podporucznik Mariusz Skrzyński, rzecznik lubuskiego oddziału Straży Granicznej. – Przerzutami zajmuje się dobrze zorganizowana „firma”. Ci, którzy raz zapłacili, mogą być pewni, że jak ich wypuścimy, bez dopłaty zostaną przerzuceni jeszcze raz, aż do skutku. Na swój sposób pracownicy „firmy” uczciwie wykonują swój fach.

MAFIA NIE KRADNIE

Straż Graniczna doskonale wie, kto w przygranicznych miasteczkach zajmuje się przemytem ludzi i towarów. Teoretycznie grozi za to do pięciu lat więzienia. Przemytnicy złapani na gorącym uczynku są przesłuchiwani, a potem wypuszczani.

Zanim sprawa trafi do sądu, mija kilka miesięcy, czasem rok. Jeśli przemytnik jest karany po raz pierwszy, dostaje wyrok z zawieszeniem i dalej robi swoje. W okolicy bezrobocie wynosi ponad 40 procent. Dla większości przemyt jest więc jedynym źródłem zarobku.

– Nie chodzi nam o łapanie szeregowych pracowników „firmy” – objaśnia podporucznik Mariusz Skrzyński. – Od pewnego czasu mamy możliwość stosowania prowokacji i powoli docieramy do „prezesów”. To oni kierują wszystkim i zgarniają wielkie pieniądze. Ale tu ich nie ma. Siedzą w Warszawie, Zielonej Górze. Niedawno wpadła cała szajka przemytników ze Szczecina. Grupą kierowali Rosjanie – kobieta i mężczyzna.

Po pewnym czasie złapani na nielegalnym przekraczaniu Nysy zostaną wypuszczeni z nakazem opuszczenia Polski w ciągu 10 dni. – Na pewno tego nie robią. Zapłacili za przerzut, więc będą próbowali kolejny raz – mówi Mariusz Skrzyński.

Zdaniem Straży Granicznej nieuczciwi przemytnicy, którzy okradają swoich klientów, już się raczej nie zdarzają. Takie wypadki działy się jeszcze kilka lat temu, ale mafia „oczyściła” interes. – „Firma” cieszy się dobrą renomą – mówią nasi funkcjonariusze.

Nysa jest bezpieczną rzeką. W najgłębszym miejscu woda sięga powyżej pasa,

Fot. KONRAD KONSTANTYNOWICZ/ZEROJEDEN.COM (2)

Fot. EAST NEWS



Po prawej: Aresztowani Wietnamczycy złapani przy przekraczaniu zielonej granicy

Obok: Jeden z przemytników na bazarze w Łęknicy



Fot. ROBERT KRZANOWSKI/AG

Po lewej: Bar w Zgorzelcu odwiedzany przez przemytników

Poniżej: Wyspa na Nysie w Gubinie, z której najłatwiej przedostać się do Niemiec



Przerzucenie Wietnamki z dzieckiem z Gubina do Berlina kosztuje od 350 do 1000 euro

a tego lata jest tak płytka, że można ją przejść niemal suchą nogą. Granica z Niemcami przebiega na środku rzeki. Ale jeśli jakiś uciekinier już do niej wejdzie, Straż Graniczna rezygnuje z pościgu i powiadamia stronę niemiecką.

Tylko od początku tego roku polscy pogranicznicy zatrzymali ponad 1400 nielegalnych imigrantów. Niemcy odesłali nam ponad 700 osób. Sami pracownicy Straży przyznają, że drugie tyle prawdopodobnie nielegalnie przedostało się na Zachód.

Najczęściej przechodzą przez rzekę w centrum Gubina – twierdzą strażnicy. – Pośrodku miasta jest wyspa, gdzie odbywają się koncerty. Kiedy bawi się kilka tysięcy ludzi, trudno upilnować. Wtedy często zdarza się, że ktoś przebiega na niemiecką stronę. Drugie popularne miejsce przerzutów znajduje się około 200 metrów od naszej strażnicy.

Okoliczni mieszkańcy siedzą w oknach i patrzą, w którą stronę idą nasze patrole. Potem wszystko nadają przemytnikom przez komórki. Nic nie możemy na to poradzić. W końcu każdemu wolno wyglądać przez okno – mówi jeden z pracowników Straży.

W tym roku odkryto trzy wypadki współpracy funkcjonariuszy Straży Granicznej z przemytnikami. Od tego czasu na patrolach nie wolno zabierać telefonów komórkowych.

CZUJKI IDĄ PRZODEM

Większość przerzutów za zachodnią granicę organizowana jest z Warszawy. Stąd kilku-, a nawet kilkunastoosobowe grupy rozwożone są po „dziuplach” we wsiach nad Nysą. Uciekinierzy koczują tam kilka dni lub godzin. Za dobę pobytu w „dziupli” płaci się 15 złotych od osoby. Jeszcze niedawno bardzo popularne były ruiny niedokończonego hotelu pod Gubinem. Dorobiły się nawet nazwy – Ruski Staw, bo Straży Granicznej parę razy udało się wygnać z nich czekające na przerzut grupy Rosjan.

Kilka godzin przed planowaną akcją nad Nysę wychodzą czujki i sprawdzają, gdzie znajdują się w danej chwili patrole Straży. Na czujkę chodzą najczęściej dzieci przemytników. Przyłapanie przez strażników tłumaczy, że się zgubiły. Popularna jest też forma „na pijanego”. Podpity obywatel na czujce objaśnia, że po prostu przysnął w pasie granicznym. Za to nie można mu

2562 OSOBY
ZATRZYMANO W UBIEGŁYM
ROKU PRZY PRÓBIE
NIELEGALNEGO
PRZEKROCZENIA
ZACHODNIEJ GRANICY.
WŚRÓD OBCOKRAJOWCÓW
NAJWIĘCEJ BYŁO
CZECZENÓW,
AFGAŃCZYKÓW
I UKRAIŃCÓW. NIEMCY
ODEŚLALI DO POLSKI
1429 OBCOKRAJOWCÓW
I **61 POLAKÓW**,
KTÓRZY NIELEGALNIE
PRZEKROCZYLI GRANICĘ

nic zrobić, najwyżej wlepić mandat, którego i tak z reguły nie zapłaci, bo jest bezrobotny.

W Gubinie znaną postacią jest też starsza pani z pieskiem. Podczas spacerów w strefie granicznej ma zawsze ten sam problem: piesek jej ucieka, a ona goni go wzdłuż rzeki. Przemytnicy wystają też czujki na niemiecką stronę. Do Niemiec przechodzą legalnie.

Gdy teren jest już zbadany, najczęściej o zmroku albo tuż przed świtem, grupa uciekinierów z przewodnikiem przechodzi przez rzekę. Tam czeka na nią samochód, który odwozi ludzi do najbliższego niemieckiego miasta. Niektórzy przemytnicy – oczywiście za podwyższoną opłatę – zobowiązują się dostarczyć imigrantów w dowolne miejsce w Niemczech. Dają gwarancję – jeśli akcja się nie powiedzie, powtarzają ją jeszcze raz.

WILLA Z PRZEMYTU

Jedziemy do Lubuska, miasteczka oddalonego o 30 kilometrów od Nysy. Od razu wpada nam w oko pan Henio, leniwie oparty o mur kamienicy przy rynku. – Znam tu takiego jednego. On z tego żyje. Irek się nazywa. Tyle zarobił na tym interesie, że willę sobie pobudował. Ale wy nie jacyś lewi? – pyta dla porządku. Odpowiedź przecząca całkowicie go zadowala. – No, to idziemy do Irka – mówi.

Na drodze pan Henio przedstawia nam osiągnięcia swojego przyjaciela. – Z tego parku kiedyś Irek wywoził czarnuchów busami. Młodość narodu przerzucił. I Ruskich, i Ukraińców, i czarnych. Kiedyś to był biznes. Teraz coraz gorzej. Pilnują, cholery.

Gdy przyjeżdżamy na miejsce, nasz pośrednik wchodzi za metalową bramę. Słychać jakąś rozmowę. Po chwili wychodzi z mężczyzną ze złym zębem i tatuażami na rękach. – Zbychu jezdem – przedstawia się facet. – Wietnamka z dzieckiem z dostawą do Berlina będzie kosztowała tysiąc euro – mówi krótko.

Jaka gwarancja? – pytamy. Zbychu najwyraźniej jest fachowcem: – Za trzy dni bądźcie ze mną u mnie o szóstej rano. Ja przez ten czas zorientuję się w sytuacji. Przepchnięmy je koło Łęknicy. Wy będziecie czekać tutaj. Kiedy zadzwonią, że są w Berlinie, płaciecie kasę.

A jak wpadną?

Nie wpadną. Przecież po to się to robi, żeby nie wpadły – twierdzi przemytnik. – Ja tam czyste interesy prowadzę.

Z EUROPY DO NIEMIEC

Pod sklepem w Tuplicach zagadujemy młodzieńca popijającego piwo z puszkki. – Dobra. Wiadamy w brykę i jedziemy do Łysego – zaradza po dwóch minutach rozmowy.

Łysy mieszka w sąsiedniej wsi. – Nie, stary, ja się w to nie bawię – mówi. – Na wyrok czekam. Wdrzwia chałupy pojawia się starsza kobieta. – Czego tu, matka, czego – denerwuje się Łysy na jej widok. – Myk do domciu, i to szybko.

Kobieta znika. Syn drapie się po wygolonej głowie. – A może by tak Szary? – zastanawia się Szary mieszka przecnicę dalej. Śpi, choć dochodzi już 14. – Całą noc spędził na „obcójce” [czatach – przyp. red.]. Fajki rzucali [przemycali papierosy – przyp. red.] – tłumaczy niedyspozycję kolegi Łysy. Po paru minutach Szary pojawia się na podwórku w nieczystej, rozchełstanej koszuli. – Tylko dwie szuki? A więcej towaru nie macie? – pyta.

W końcu rzuca cenę: 600 euro do Cottbus. Płatne, kiedy tam dojadą i zadzwonią. Mamy dostarczyć Wietnamki do jego domu. Przerzut tego samego dnia. – Stąd do rzeki jest ze 30 metrów – objaśnia. – Wszystko będzie gotowe. Dziewczynkę sam przez rzekę przeniosę.

Dwie godziny później jesteśmy na bazarze w Łęknicy. Miejsce słynie z przemytników różnego autoramentu. Tu można kupić najtańsze papierosy w całej okolicy. Dostarczają je Ukraińcy. Chwilę targują się ze sprzedawcą. Kupuję karton LM z ukraińską akcyzą. – Ale mam taki problem... – zaczynam.

– To nie do mnie. Władek, chodź no tutaj – sprzedawca woła kolegę ze stoiska z cukierkami. Kilka minut później rozmawiamy z właściwym człowiekiem, 30-letnim mężczyzną w zielonym podkoszulku. – Da radę, ale tylko przez granicę – mówi. – Będzie kosztowało 500 euro.

– To drogo – próbuję się targować. – Niektórzy biorą i po 350, ale ja to ryzyko oceniam na 500 – ucina dyskusję. Umówiliśmy się, że dostarczymy Wietnamki za dwa dni do hotelu Europa. Stamtąd zostaną od razu przerzucone. Oczywiście zapłacimy, gdy bezpiecznie wylądują w Niemczech.

TROLLE NA AMBONIE

Lubuska Straż Graniczna niecałe dwa miesiące temu dostała nowoczesny samochód wyposażony w kamery termowizyjne. Sprzęt kosztował prawie pół miliona dolarów. Teraz szkoli się na nim kilku funkcjonariuszy. Wybieramy się z nimi na nocny patrol.

Przez pierwsze dwie godziny obserwujemy skaczące w trawie króliki i spacerujące samy. Nagle w zasięgu kamery pojawia się jakiś samochód. – To nasz – uspokaja dowódca. Ale po minucie na ekranie zaczyna się coś dziać. Na ambonie, która służy myśliwym do wypatrywania zwierzyny, pojawiają się ludzkie sylwetki.

– Trolle! – krzyczy dowódca. Zaczynamy głośno liczyć: – Jeden, dwa, trzy, cztery. Schodzą. Operator zbyt nerwowo poruszył kamerą. Zgubiliśmy ich. – Jedziemy – zarządza dowódca.

Szybko wskakujemy do samochodu i mkniemy połą drogą. Pod amboną trawa jest wydeptana. Ślady prowadzą do głównej drogi. Jeszcze przez godzinę siedzimy w krzakach. Nic. Nad ranem wracamy do strażnicy. – Dziś już na pewno nie spróbują przejść – stwierdza sierżant. – Spłoszyliśmy ich.

W ciągu dwóch najbliższych lat Straż na zachodniej granicy ma zostać odchudzona. Część funkcjonariuszy trafi na wschód. – Taką mamy teraz politykę: uszczelniać wschodnią granicę – mówi sierżant. – Problem w tym, że większość ludzi, którzy chcą przedostać się na Zachód, wjeżdża do Polski legalnie.

DOROTA SAJNUG

Artykuł opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

PROMOCJA KART KREDYTOWYCH VISA PKO BANKU POLSKIEGO

Zobacz, co w karcie



- 50 osób wygra zestawy kina domowego renomowanej firmy DENON.
- 100 osób nagrodzimy najwyższej jakości odtwarzaczami DVD DENON.
- Wszyscy, którzy wezmą udział w promocji otrzymają 7% rabatu przy zakupie sprzętu firmy DENON*.

Złóż wniosek o kartę kredytową VISA w okresie od 17 lipca do 30 września br. Na kuponie, który otrzymasz, napisz hasło reklamujące karty kredytowe. Wypełniony kupon wrzuć do urny w najbliższej placówce PKO Banku Polskiego. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 31 października 2003r.

*rabat ważny tylko podczas trwania promocji



Kartolinia: 0-801 1 24 365*
Internet: www.pkbpp.pl

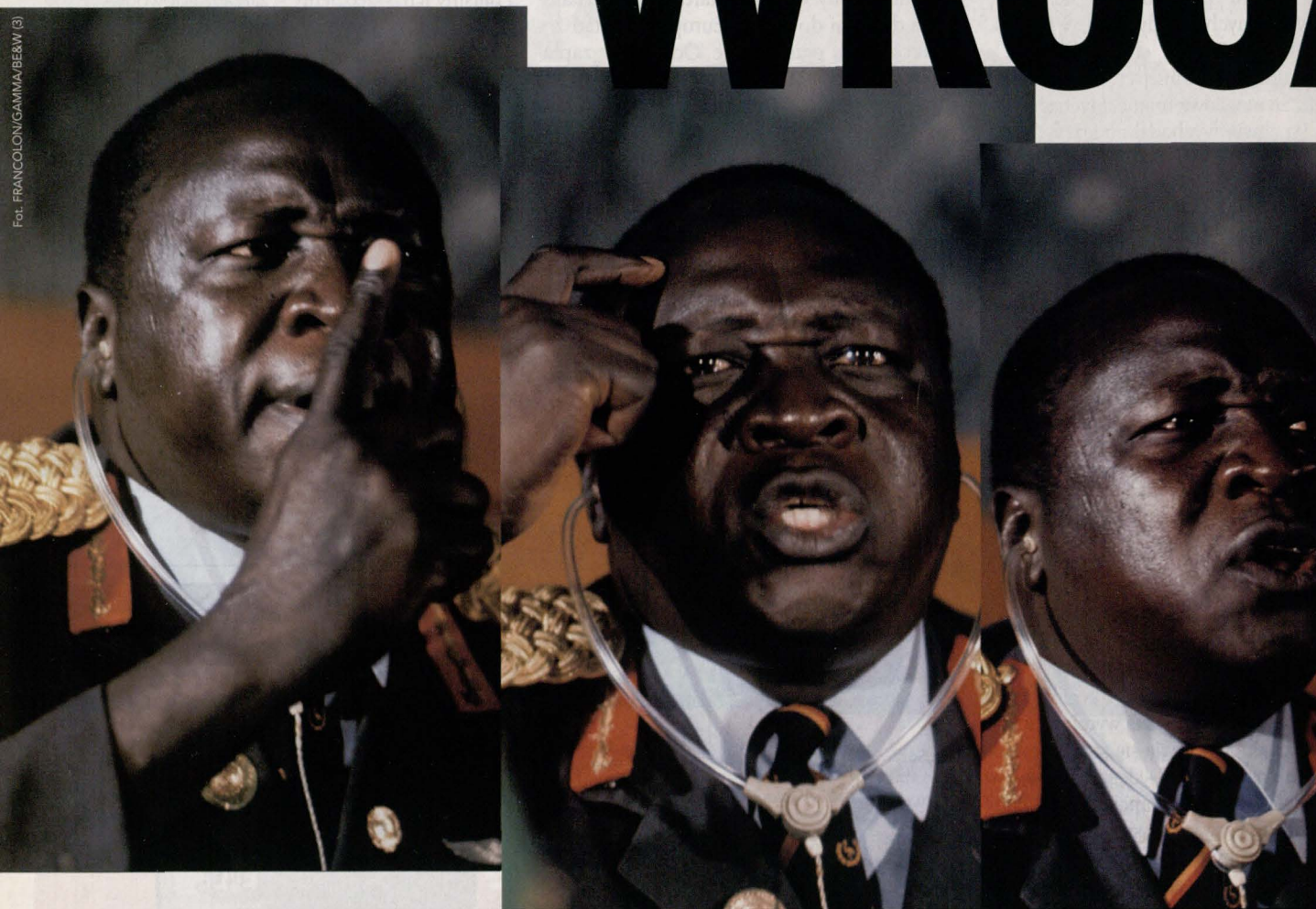
*koszt rozmowy jest równy cenie jednego impulsu za połączenie lokalne



PKO BANK POLSKI
Blisko Ciebie

WROGA TRZEBA ZJEŚĆ

ANNA STAWO, FILIP ŁOBODZIŃSKI



W ciągu ośmiu lat rządów Idi Amin wymordował około 300 tysięcy Ugandyjczyków.

Niektóre ofiary w bestialski sposób zabijał sam, a następnie zjadał ich szczątki. Świat beczynnie się temu przyglądał

Reporterzy „The Washington Post”, którzy po upadku Amina jako pierwsi weszli do specjalnego więzienia tuż obok pałacu prezydenckiego w Kampali, znaleźli więźniów przetrzymywanych w celach po kilka tygodni bez jedzenia. W tym czasie żywili się mięsem zmarłych kolegów. Zwłoki, w różnym stadium rozkładu, wały się po całym budynku. Było wśród nich ciało 12-letniego chłopca. Większość ofiar torturowano. Ciała były na ogół obnażone od pasa w dół i miały roztrzaskane genitalia.

Krwiożerczy dyktator, szaleniec, psychopata, syfilityk – tak najczęściej mówi się o zmarłym niedawno byłym prezydencie

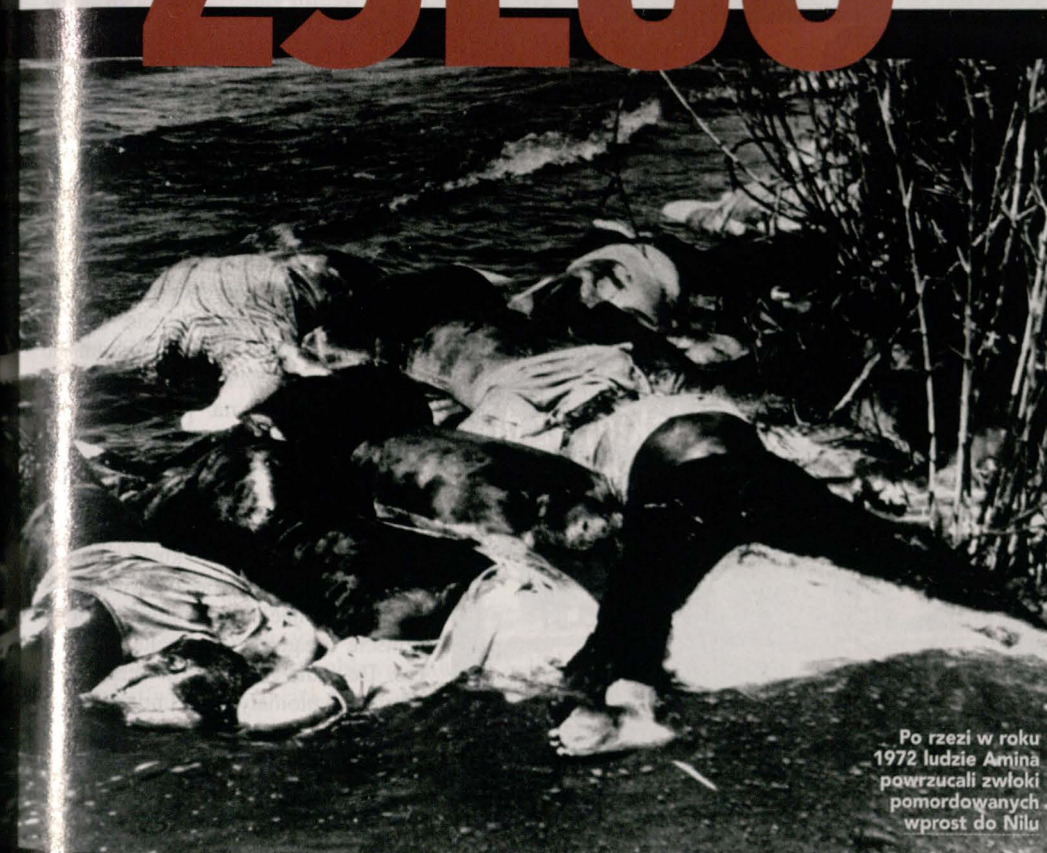
Ugandy Idi Aminie Dada. O jego okrucieństwie krążą legendy. Mimo że o jego wyczynach niemal od początku rządów wiedział cały świat, nikt nie zareagował. A Wielka Brytania i Izrael początkowo wręcz sprzyjały dyktaturze, widząc w niej przeciwwagę dla ekspansji komunizmu w Afryce.

KRAJ NA TRUPACH

Po obaleniu premiera Miliona Obote w roku 1971 Idi Amin kazał wymordować trzy tysiące przedstawicieli plemion Achola i Langa. Podejrzewał, że sprzyjają one poprzedniemu reżimowi. Generałowi armii lojalnej wobec Obote Idi Amin kazał obciąć głowę, a następnie położyć ją na swoim stole. Potem przez kilka miesięcy trzymał ją

jeszcze w lodówce, by od czasu do czasu upajać się jej widokiem. Oficerów ćwiartowano i duszono. Kiedy oprawcom znudziła się ta zabawa, pozostałych, których mieli zlikwidować, zamknęli w pokoju i wysadzili w powietrze. Wielu ścięto – jak niesie wieść, ich korpusy Amin usadził wokół stołu i natrząsał się z nich, co chwila przegryzając kawałkami ich ciał.

Jak twierdzi Henry Kyemba, były minister i przyjaciel dyktatora, który uciekł do Anglii w 1977 roku, nawet sam Amin nie wiedział, ilu ludzi skazał. – Kraj dosłownie leży na trupach – mówi Kyemba. Z braku czasu na kopanie grobów zwłoki topiono w Nilu, co kilkakrotnie spowodowało zatęchnięcie rzeki.



Po rzezi w roku 1972 ludzie Amina powrzucaли zwłoki pomordowanych wprost do Nilu

Zachodnie agencje informacyjne i dziennikarze pisali o zbrodniach Amina od początku jego rządów, choć za złe wyrażanie się o prezydencie groziła w Ugandzie śmierć. Raz prezydent przestraszył się, że w jakimś programie telewizyjnym ściska arabskiego przywódcę lewą dłonią. Na wieść o tym, że to może zwykła pomyłka montażysty, zlecił jego zabójstwo. Wcześniej kazał zabić też operatora.

Podobny los spotkał dwóch dziennikarzy niemieckich, a dwaj szwedzcy zaginęli w tajemniczych okolicznościach. Nicholas Moore, dziennikarz agencji Reuters, wspomina, jak w 1972 roku trafił do kazamat w Kampali. Po wielu latach pracy w sąsiedniej Kenii znał suahili, więc poważnie ścierpła mu skóra, gdy usłyszał, jak jeden ze stra-

ników, waląc go w głowę, mówi do drugiego: – A ten będzie jutro bardzo pragnął wody. Ma mieć podpalone włosy!

STWORZYLI GO BRYTYJCZYCY

Ugandyjski dyktator przyszedł na świat w małej wiosce w buszu na pograniczu Sudanu, Ugandy i Konga. Pochodził z plemienia Kakwa. Jego matka, uważana we wsi za czarownicę, zaraz po urodzeniu syna przeniosła się do Jinji, drugiego co do wielkości miasta w Ugandzie po Kampali. Tam na rogu ulicy gotowała przechodniom proso. Z marnych groszy, które zarabiała, musiała wyżywić siebie i dziecko.

Mimo to Idi Amin wyrósł na potężnego młodzieńca. Jako dorosły chłopak ważył 140 kilo-

gramów i miał 193 centymetry wzrostu. Lubił boksować, przez dziewięć lat był mistrzem Ugandy w wadze ciężkiej. To wtedy dostrzegli go brytyjscy oficerowie, których garnizon mieścił się w Jinji. Stwierdzili, że w wojsku przyda się wielki, krewki Murzyn. Amin szybko awansował. Zaczął jako pomocnik kucharza, skończył jako generał.

Dzięki walecznej postawie podczas wojen w Birmie, Somalii i Kenii oraz schlebaniu przełożonym szybko awansował, choć często dostawał reprimendy za okrucieństwo podczas walk, a zwłaszcza przesłuchań. Białym podobało się, że olbrzym stara się ich we wszystkim naśladować i bez mrugnięcia okiem karnie wykonuje polecenia.

Pod koniec służby w armii osiągnął stopień effendi (po turcku: pan), czyli coś na kształt podoficera. Była to najwyższa ranga, jaką Murzyn mógł osiągnąć w brytyjskim wojsku, i na tym kariera Amina miała się zakończyć. Generałem i szefem sztabu został już za Miliona Obote, pierwszego premiera niepodległej Ugandy.

W kraju pod rządami Obote nikt z plemienia Kakwa nie miał szans, by dojść do władzy. W dodatku Amin zaczął mieć kłopoty. Od kongijskich partyzantów wziął na przechowanie złoto i kość słoniową, które miały sfinansować walkę z dyktatorem Mobutu Sese Seko. Gdy Kongijczycy upomnieli się o depozyt, okazało się, że generał nie ma ani złota, ani kości słoniowej, ani pieniędzy. Ale okoliczności mu sprzyjały. Premier Obote akurat wyjechał na międzynarodową konferencję do

Singapuru. Amin skrzyknął oddanych mu oficerów i w ciągu jednej nocy 1971 roku dokonał zamachu stanu. Mianował się dożywotnim marszałkiem polnym i prezydentem.

Jego pełny tytuł brzmiał: Jego Ekscelencja Dożywotni Prezydent, Marszałek Polny, al-Hadzi (Pielgrzym) Doktor Idi Amin, Kawaler Krzyża Związstwa, Orderu Zasługi na Służbie i Krzyża Wojskowego, Pan Wszystkich Zwierząt na Ziemi i Ryb w Wodzie, Pogromca Imperium Brytyjskiego w Całej Afryce, a Szczególnie w Ugandzie.

HITLER BYŁ WIELKI

Na Zachodzie przewrót spotkał się z przychylnym przyjęciem. Anglicy cieszyli się z takiego obrotu sprawy, bo Milton Obote zbyt mocno zacieśniał więzy przyjaźni ugandyjsko-radzieckiej. Poza tym Amin obiecał, że nie będzie protestował, gdy Anglicy dostarczą broń do „białego” RPA.

Jeszcze przed obaleniem Obote Amin w towarzystwie izraelskich instruktorów wojskowych dwukrotnie odwiedził bazy białych najemników w południowym Sudanie, gdzie szkoleni byli rebelianci walczący z rządem w Chartumie. Nic więc dziwnego, że Izrael był pierwszym krajem, który uznał nowy reżim w Ugandzie. Z tej okazji rząd w Tel Awiwie подарował nawet Aminowi odrzutowiec. Podobno latając nim za granicę, generał zawsze robił sobie przerwę na międzylądowanie w Jerozolimie. Ale przyjaźń z Izraelem szybko się skończyła. Amin liczył, że dostanie kredyt na zakup broni. Gdy Izrael odmówił, nowy prezydent Ugandy pokazał swoją prawdziwą twarz.

W jednym z publicznych wystąpień stwierdził, że właściwym rozwiązaniem kwestii bliskowschodniej byłoby przesiedlenie Żydów do Wielkiej Brytanii oraz że „Niemcy postąpili słusznie, wysyłając do komór gazowych kilka milionów Żydów”. Oświadczył także, że bardzo wysoko ceni Hitlera i dlatego miasto, w którym w czasie I wojny światowej toczyły się niemiecko-brytyjskie walki, nazwie jego imieniem. „Chociaż wielu ludzi uważa Hitlera za złego człowieka, był wielką postacią, prawdziwym zdobywcą, którego imię nigdy nie powinno zostać zapomniane” – powiedział w roku 1972. Potem wyrzucił z Ugandy wszystkich Żydów.

Obraził Wielką Brytanię, proponując jej pomoc w postaci transportów bananów dla biednych, głodujących Brytyjczyków. Gdy nieszczęśliwie zakochał się w pięknej Hindusce, a ta odrzuciła jego zaloty, wypędził z Ugandy Hindusów. Dał im 90 dni na opuszczenie kraju z najwyżej dwoma tysiącami ugandyjskich szylingów (równowartość 300 dolarów). Ale nawet te pieniądze często tracili na kolejnych punktach kontrolnych podczas drogi na lotnisko w Entebbe. Hindusi zajmowali się w Ugandzie przede wszystkim handlem. Amin rozdał ich sklepy i majątki żołdakom, którzy wraz z rodzinami rozkradali, co się tylko dało.

ŚWIAT BYŁ ROZBAWIONY

Wiernych sobie żołdaków Amin sownie wynagradzał. Jego ludzie jeździli po splądrowanej przez wojsko Kampali mercedesami i alfa romeo. Mieli przyzwolenie wodza na kradzież traktowaną jako stała część ich wynagrodzenia. Drugim przywilejem była sprowadzana z Wiel-



Na górze: Czterech brytyjskich biznesmenów niesie Amina podczas przyjęcia dla dyplomatów w Kampali w lipcu 1975 roku

Pośrodku: Amin wita Jasera Arafata po jego przyjeździe do Kampali w 1976 roku

Na dole: Szczątki pomordowanych Ugandyjczyków odnalezione w 1980 roku

kiej Brytanii szkocka whisky. Bogaty niegdyś kraj, który brytyjski premier Winston Churchill nazwał „perłą Afryki”, pograżał się pod rządami Amina w coraz większej ruinie.

Tymczasem w więzieniu tuż koło pałacu prezydenckiego ludzie Amina dokonywali masowych mordów. Oprawcy w kolorowych koszulach i przeciwłonecznych okularach zabijali nie tylko zdeklarowanych przeciwników politycznych dyktatora, lecz także ludzi, którzy według prezydenta mogli się nim stać w przyszłości.

W ciągu dziewięciu lat krwawych rządów Amina jego ludzie z tak zwanego urzędu badań państwowych w brutalny sposób pozbawili życia około 300 tysięcy Ugandyjczyków. W podpalacowym więzieniu ofiarom nakazywano kłaść się nad rynną ściekową, by krew nie rolała się po izbie tortur. Więźniów najczęściej rąbano maczetą na kawałki. Rozstrzeliwania zdarzały się rzadko. Więźniowie byli także zmuszani do torturowania innych więźniów, musieli na przykład walić ich w głowy kłakiem logogramowymmiotkiem.

W 1976 roku arcybiskup Ugandy Lwum zaapelował do prezydenta, by przestał zabijać. Amin natychmiast się zemścił, urządzając mu pokazowy proces. Do jednego z hoteli wezwał cały korpus dyplomatyczny. Ludzie Amina przeczytali Lwumowi akt oskarżenia, według świadków pozbawiony jakiegokolwiek sensu. Następnego dnia arcybiskup zniknął. Został zamordowany, a do publicznej wiadomości podano, że zginął w wypadku samochodowym.

JESTEM CZŁOWIEKIEM CZYNU

Wielkie światowe mocarstwa wiedziały, kim jest i co robi ugandyjski prezydent. Nikt jednak nie zareagował. Głowy europejskich państw nie zdobyły się na potępienie Amina. Na świecie zapanowała powszechna opinia, że to wariat. Gdy w roku 1974 na ekranie francuskich kin wszedł prześmiewczy film dokumentalny o ugandyjskim prezydencie, pokazywano go na sześciu seansach dziennie. Sale były wypełnione do ostatniego miejsca. Widownia reagowała salwami śmiechu niemal przy każdej scenie. Szczególne rozbawienie wzbudzała sekwencja pozorowanego zdobywania wzgórz Golan przy użyciu jednego czołgu. Publiczność wprost konała ze śmiechu, widząc prezydenta biorącego udział w zawodach pływackich. 140-kilogramowy Amin



Prezydent Amin je kurczaka podczas parady z okazji siódmej rocznicy obalenia rządów Milтона Obote (31 stycznia 1978 r.)

wychał po kolei konkurentów pod wodę. Po czym oświadczał: – Wygrałem.

Gdyby nie przerażające okrucieństwo, „rzeźnika Ugandy” można by uznać za postać groteskową. Bo jak inaczej określić człowieka, który ledwie czyta i pisze (angielskiego wyuczył się dopiero, będąc u władzy), za to przechwala się: – Umiem więcej od doktora filozofii, bo my, wojskowi, wiemy, jak zabić. Jestem człowiekiem czynu.

Po aferze Watergate wysłał Richardowi Nixonowi zaproszenie na wakacje do Ugandy, by wypoczął tam po traumatycznych przeżyciach. Zaoferował też Szkotom, że może zostać ich królem. Wystarczy, że poproszą. Mówił, że decyzje podejmuje za podstępem Boga, który objawia mu się we śnach. Twierdził, że zna nawet datę swojej śmierci, ale jej nie poda. Pod koniec rządowania nosił tak dużo medali i orderów, że koszula mu się pręła. Uwielbiał szkocką muzykę, nadawał dzieciom imiona od nazw szkockich klanów. Twierdził, że kiedyś widział UFO.

POMARAŃCZE NA POTENCJĘ

Pierwszą klęskę prezydent Idi Amin poniósł przypadkowo z rąk izraelskich komandosów. W lipcu 1976 roku palestyńscy terroryści porwali samolot Air France z Izraelczykami na pokładzie i wylądowali w Ugandzie na lotnisku w Entebbe. Amin zacierał ręce: nareszcie dokończyli Żydom. Jego żołnierze nie ruszyli na ratunek zakładnikom. Izraelczycy przystali tam za to swoich komandosów. Porwanych uwolniono, a komandosi „w podzięce” wysadzili w powietrze kilka ugandyjskich samolotów, które stały na lotnisku. Wściekły Amin stwierdził, że całemu zajściu winni są żołnierze z plemienia Achola i Langa. Miał powód do kolejnej okrutnej rzezi.

Kiedy stracił już wszystkich sojuszników, jesienią 1978 roku jednocześnie tłumił bunt w armii i wysłał swoje (częściowo pijane) siły przeciwko Tanzanii, twierdząc, że Ugandzie na-

leży się tanzańska prowincja Kagera. Prezydent Nyerere odpowiedział zdecydowanym kontratarem i w kwietniu 1979 roku Amin musiał uciekać.

Człowiek okrzyknięty „rzeźnikiem Ugandy”, jeden z najbardziej krwawych dyktatorów Czarnej Afryki, od 1980 roku korzystał w Arabii Saudyjskiej z azylu i renty królewskiej w wysokości 1400 dolarów miesięcznie. Mieszkał w willi z widokiem na Morze

Czerwone w eleganckiej dzielnicy Džiddy, Al-Hamra. Pełna ochrona, wyżywienie dla czterech żon i ponad 30 dzieci. Zjadał 40 pomarańczy dziennie, by podtrzymać potencję.

Potężnego, zwalistego Afrykanina często widywano na przechadzkach lub na jachtach, którym wybierał się na połów morskich ryb. Co piątek pojawiał się w pobliskim meczecie. W jednym z niewielu wywiadów, jakich udzielił w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, mówił, że jest pogodzony z życiem, czyta regulamin Koranu, ogląda programy informacyjne w telewizji i ma nadzieję wrócić kiedyś do Ugandy. – Pogłoski o moich rzekomych zbrodniach sfabrykowali moi wrogowie – zapewniał.

Na wieść o śmierci Amina prezydent Ugandy Yoweri Museveni zakomunikował, że to dobra wiadomość. – Jego śmierć i pogrzeb to znak, że naprawdę kończy się zły okres naszej przeszłości – powiedział. Na nic zdały się prośby Mediny, ulubionej z czterech żon Amina – były dyktator nie wrócił do ojczyzny nawet po śmierci. Został pochowany w Džiddzie. Niektórzy Ugandyjczycy zastanawiają się, czy dla pewności nie należałoby przywalić grobu dodatkowym kamieniem.

ANNA STAWO, FILIP ŁOBODZIŃSKI

WEZYR Holiday Service

1490 zł
3* HB - 1 tydzień
Alanya Hotel Bilkay

1990 zł
4* ALL - 1 tydzień
Alanya Hotel Klas

Najlepszy czas na Turcję!

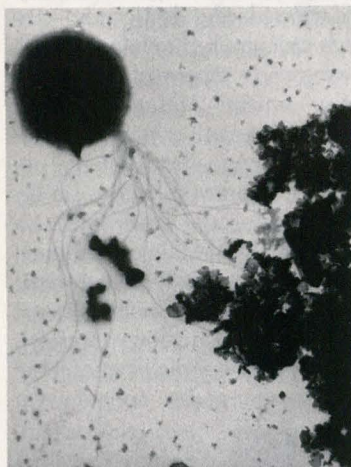
O naszą ofertę pytaj w najbliższym biurze podróży



WEZYR Holiday Service
tel. 022 8281826
00-355 Warszawa, ul. Tamka 38
www.wezyrholidays.pl

Serce nigdy nie ma
zmarszczek.
Ono ma blizny.

SOMERSET WILLIAM MAUGHAM
(1874–1965),
PISARZ, Z WYKSZTAŁCENIA
LEKARZ



Życie we wrzasku

Jak wysoką temperaturę jest w stanie znieść istota żywa? Nawet 121 stopni Celsjusza! – twierdzą uczeni na łamach „Science”. Odkryty przez nich mikroorganizm, zwany na razie roboczo szczepem 121 (na zdjęciu powyżej), żyje w głębinach Oceanu Spokojnego, w okolicy gorących „gejzerów” bijących z jego dna. Ciśnienie jest tam tak wysokie, że woda nie wrze, choć jej temperatura przekracza sto stopni.

Szczep 121 należy do archeonów – jednokomórkowych organizmów podobnych do bakterii. Zamiast tlenu do uzyskiwania energii wykorzystuje żelazo. Dla uczonych jest nie tylko nowym rekordzistą, lecz także poważnym ostrzeżeniem.

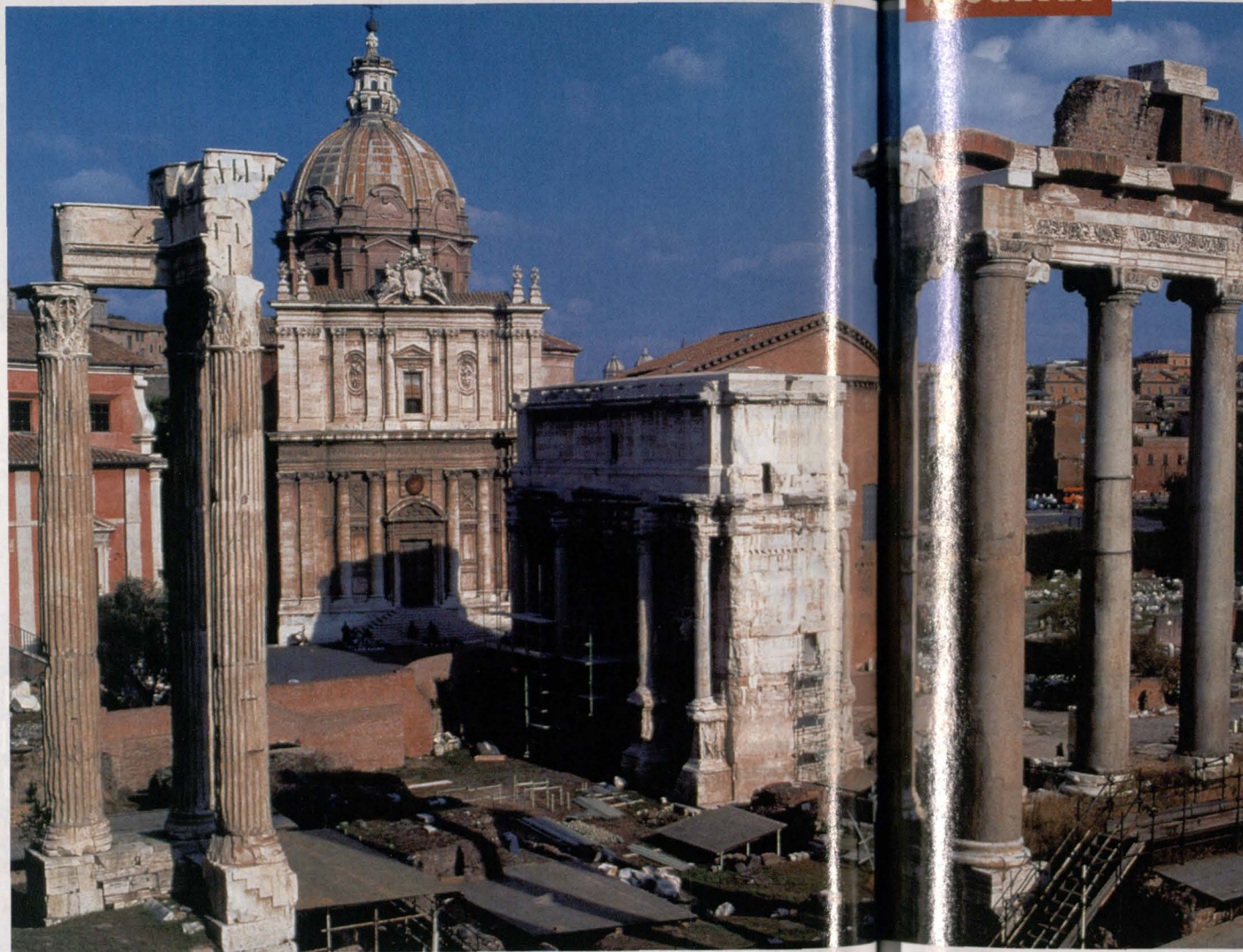
Autoklawy stosowane przy sterylizacji na przykład narzędzi chirurgicznych osiągają właśnie 121 stopni Celsjusza. Tymczasem szczep 121 w tej temperaturze bez problemu się mnoży. Być może sterylizację są w stanie przeżyć także groźniejsze, nieznane jeszcze mikroby.

Główka pracuje

Substancja, której używają kulturysty, może poprawić funkcjonowanie mózgu – pisze „New Scientist”.

Kreatyna znana jest z tego, że zwiększa zapasy energii w mięśniach. Takie same efekty zdaniem badaczy australijskich wywołuje w mózgu – komórki mają więcej „paliwa” do intensywnej pracy. Na razie sprawdzono to na vegetarianach, którzy z reguły spożywają mniej kreatyny, ponieważ jej głównym źródłem jest mięso. Zjadanie pięciu gramów tej substancji dziennie znacząco podniosło sprawność umysłową badanych osób.

Kreatyna jest nieszkodliwa dla zdrowia, ale w większych ilościach może wywoływać nieświeży oddech i wzdęcia.



Kaligula był bogiem

To, co dotychczas znaliśmy jedynie ze źródeł historycznych, zostało potwierdzone przez archeologów. Szalony cesarz Kaligula, żyjący w latach 12–41 naszej ery, naprawdę uważał się za istotę boską – donosi serwis „Discovery”. Jak dowiodły ostatnie wykopaliska w Rzymie, nakazał on połączyć swą siedzibę ze świątynią Kastora i Polluksa, tak aby miejsce kultu było przedsiönkiem pałacu imperatora. Jednak nie wszyscy Rzymianie uwierzyli w boskość znanego z okrucieństw Kaliguli – został zamordowany przez 41 spiskowców z własnej gwardii.



Żebyś czytał

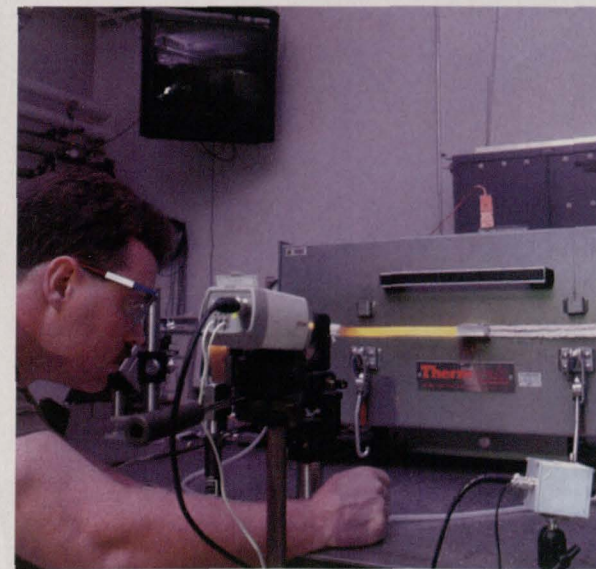
Nie ma tu żadnych rewelacji, nowych odkryć czy pomysłów, lecz po prostu rzetelne i zwięzłe kompendium aktualnej wiedzy na temat powstania i rozwoju Wszechświata. Dla każdego, kto chce liźnąć kosmologii i nie potrzebuje do tego efektownych kolorowych obrazków rodem z książek Hawkinga.

CRAIG J. HOGAN, „MAŁA KSIĘGA WIELKIEGO WYBUCHU ALBO KOSMICZNY ELEMENTARZ”, PRZEL. PIOTR AMSTERDAMSKI, Prószyński i S-ka, Warszawa 2003

Powrót gwiazdnych wojen

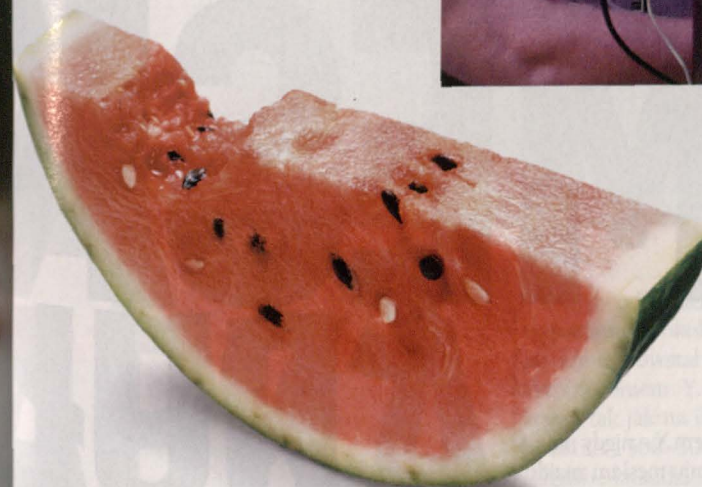
Amerykanie bez większego rozgłosu pracują nad bronią laserową nowej generacji. Konstruowany przez nich laser FEL będzie mógł wyprodukować skoncentrowaną wiązkę promieniowania podczerwonego o energii 10 kilowatów.

To wystarczająco dużo, by wywołać poważne zniszczenia. Lasery tego typu miałyby służyć do obrony okrętów przed atakiem terrorystycznym. Znajdą też bardziej pokojowe zastosowania, na przykład przy syntezie cennych związków chemicznych.



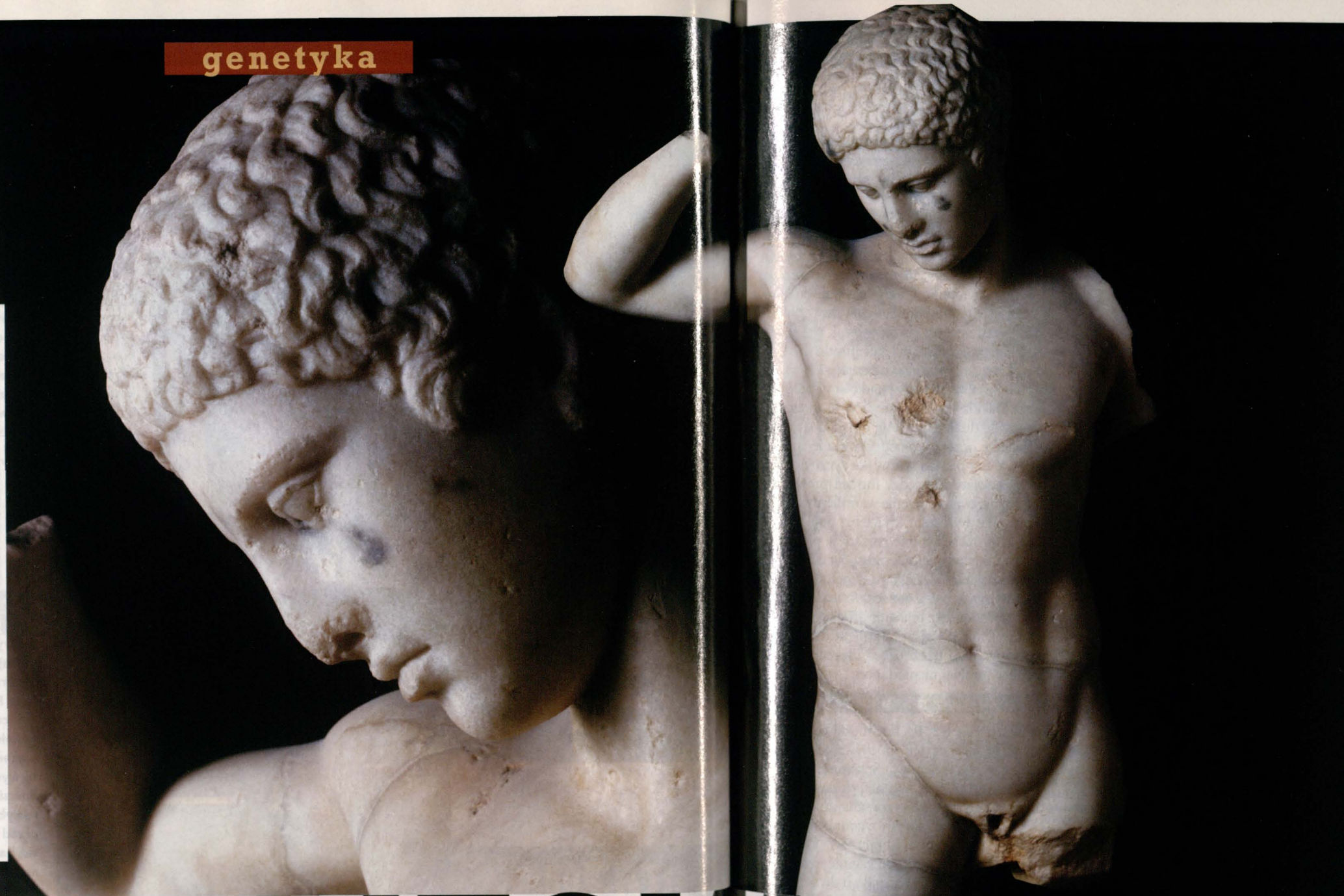
Arbuz odchudzony

Już następnego lata będziemy mogli sprawdzić, jak smakuje wyhodowany przez izraelskich naukowców niskokaloryczny arbuz. Mięsz z zwykłej odmiany zawiera trzy cukry: fruktozę, glukozę i sacharozę (to ten, którego używamy do słodzenia). Każdy z nich inaczej pobudza nasz zmysł smaku, przy czym fruktoza jest zdecydowanie najśłodsza. Arbuz w wersji light zawiera przede wszystkim fruktozę – dzięki temu ogólną zawartość cukru można było w nim zmniejszyć o 40 procent. Ucnen podkreślają, że wyhodowali go w sposób tradycyjny, a nie za pomocą inżynierii genetycznej. Sto gramów takiego arbuza będzie miało około 20 kilokalorii.



OLGA WOŹNIAK

Zachciało ci się być facetem? No to teraz masz. Jeśli ominął cię daltonizm, choroby krwi, niedobory odpornościowe, dystrofia mięśniowa, choroby skóry i wiele nowotworów, to i tak czeka cię krótsze – niż kobiet – życie. Na szczęście najnowsze odkrycia dają szansę na opanowanie przypadłości związanych z męską płcią



Wszystko zaczyna się w piątym tygodniu życia. Jeszcze nie za bardzo widać rączki i nóżki, jeszcze niezbyt to przypomina człowieka, ale oto: pstryk! Włącza się funkcja „mężczyzna”. O ile oczywiście w wyposażeniu tego zbiorowiska komórek mających stać się człowiekiem znajduje się chromosom Y.

Chromosomy to wieszaki, na których wiszą geny. W każdej komórce naszego ciała mieści się 46 takich wieszaków. 23 pary po dwa identyczne egzemplarze – jeden gamitur pochodzący od matki, drugi od ojca. W każdej komórce ten sam zestaw. Ten schemat dotyczy kobiet. W genetycznych wieszakach mężczyzn panuje małe zamieszanie. W 10. parze chromosomów, gdzie u każdej kobiety pyszną się dwa spore,

pełne genów chromosomy X, faceci posiadają X i przykusz, malutki Y.

Igrek z iksa

Igrek możesz dostać jedynie od taty. Wszystkie mamine komórki jajowe to potencjalne dziewczynki. Zaznaczone dziewczęńskim chromosomem X – nigdy nie zawierają Y. Natomiast w nasieniu męskim znajduje się mniej więcej tyle samo plemników z X co z Y. Dostajesz od taty X – jesteś kobietą, Y – stajesz się mężczyzną.

MĘSKA PUŁAPKA

Gdy w odmętach ewolucji, w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach, 300 milionów lat temu powstał Y, był całkiem okazałym chromosomem. Y wyewoluował z X i, początkowo, tak jak na iksie, także na igreku wisiało około 1500–3000 genów. Dziś dynda tam zaledwie kilkadziesiąt.

Igrek przez wieki skrupulatnie pozbywał się wszystkiego, co nie było mu niezbędnie potrzebne, a co łatwo mogło się zepsuć. Nato-

miast geny, których potrzebował, skrzętnie powieliał, skupiając je w tak zwane regiony palindromiczne. Robił to, bo – w przeciwieństwie do reszty naszych chromosomów – nie ma kopii, która w razie czego mogłaby pokryć jego niedoskonałości (w procesie zwanym naprawą rekombinacyjną). Za to dzięki regionom palindromicznym może naprawić się sam.

Dziś nie ma chromosomu bardziej pozbawionego genów, pełnego zaś powtórzonych fragmentów DNA. Niemal wszystkie geny na nim odpowiadają za męską płć. Najważniejszy – ten, który włącza się w piątym tygodniu życia – nazywa się SRY. Bez niego trudno być facetem.

Słaba płć

Być facetem w ogóle nie jest łatwo. Dziewczyny mają łatwiej. Zamiast igreka mają dwa iksy. Można powiedzieć, że lecą z zapasowym spadochronem. Gdy coś nawala w jednym iksie, zawsze może uruchomić się drugi, sprawny. Na pewnym etapie mogą też one między sobą wymieniać geny. Natomiast mężczyźni to prawdziwi ryzykanci. Gdy coś zepsuje się na ich chromosomach płci – nie mają zapasowej kopii. Dlatego panowie to płć niezwykle delikatna. Z powodu braku genetycznego zabezpieczenia narażona na wiele niebezpieczeństw już od chwili poczęcia.

„Na starcie” panowie mają sporą przewagę. Przy zapłodnieniu tworzy się statystycznie 115 męskich embrionów na 100 dziewczynek.

Jednak męskie embriony są wrażliwsze niż żeńskie. Podczas życia płodowego częściej dochodzi do ich poronienia, częściej też pojawiają się u nich wady mózgu i rdzenia kręgowego. Jak wynika z badań Angela Cagnacciego z polikliniki uniwersyteckiej w Modenie, dzieje się tak, mimo że natura stara się wyrównać chłopakom szanse. – Do poczęcia chłopców dochodzi najczęściej w tych porach roku, które są najkorzystniejsze dla przebiegu ciąży – wyjaśnia badacz.

Jak wynika z obserwacji, najkorzystniejsza dla procesu zapłodnienia jest ta pora roku, w której dzień trwa 12 godzin, a średnia dobową temperatura wynosi 12 stopni Celsjusza. Z oczywistych względów jest ona inna dla różnych szerokości geograficznych.

A jednak w chwili porodu stosunek chłopców do dziewczynek wynosi już 105:100. Więcej chłopców jest wcześniakami – co oczywiście wpływa na ich późniejszy stan zdrowia. Jako dzieci są bardziej podatni na różne choroby. A na domiar wszystkiego ich opóźnienie w rozwoju w stosunku do dziewczynek wynosi cztery do sześciu tygodni.

Z czasem najsłabsi faceci się wykruszają i – gdy dobiegają 30. urodzin – jest ich już tyle samo co dziewczyn.

Tu jednak problemy się nie kończą. Jak już wspomniałam, mężczyźni mają chromosomy

For: ARALDO DE LUCA/CORBIS/FREE (2)

Tak wygląda garnitur chromosomów człowieka. 23 pary. Jedna jest różna u kobiet i mężczyzn (powiększenie w kółku)



O byciu mężczyzną decyduje malutki igrek (obok po prawej). XY to męska para. Kobieta ma w tym miejscu dwa duże iksy

BEZPŁODNOŚĆ DLA SYNA

Dziś, na przykład w USA, przy okazji zapłodnienia in vitro można sobie wybrać płeć dziecka. Czasem korzystają z tego kobiety, które po czterech córkach chcą mieć wreszcie syna. Specjaliści ostrzegają – nie manipulujmy płcią. Natura wie, co robi. Być może wybiera za kobietę lepiej, bo wie, że syn byłby obciążony jakąś genetyczną chorobą. Zapłodnienie in vitro może być też niebezpieczne szczególnie tam, gdzie przeprowadza się je ze względu na bezpłodność mężczyzny, której przyczyna jest nieznana. Najczęstszym genetycznym powodem nieprawidłowości w wytwarzaniu plemników są ubytki w chromosomie Y. W regionie, w którym kodowane są geny odpowiedzialne za płodność męską. Skutek – mężczyzna nie ma plemników w nasieniu. Ale może je mieć w tkance jądra. Dziś technika pozwala na pobranie ich stamtąd i wstrzyknięcie bezpośrednio do komórki jajowej. Jeśli w wyniku takiego zapłodnienia urodzi się chłopiec – historia się powtórzy. Może on mieć jeszcze większe problemy z płodnością.

X i Y niezabezpieczone dodatkowymi kopiami. To prawdziwa genetyczna pułapka.

Pułapka męskości

Na igrek są głównie geny odpowiedzialne za rozwój jąder i plemników. Gdy tu coś nawałi, wynikiem jest męska bezpłodność. To oczywiście sprawa niebagatelna, bo 30 procent bezpłodnych par nie może mieć dzieci właśnie z powodu problemów mężczyzny. Jednak to naprawdę nie w porównaniu z tym, co grozi panom, gdy coś zepsuje się w ich chromosomie X.

Na ikcie znajduje się aż 200 miejsc, których defekt powoduje choroby. Chorują na nie mężczyźni, kobiety są „ubezpieczone” drugim iksem i tylko przenoszą chorobę na swoich synów – mówi docent Jadwiga Jaruzelska z Instytutu Genetyki Człowieka w Poznaniu.

Lista chorób, które można dostać w spadku od mamy wraz z iksem, jest imponująca. To nieprawidłowości rozwoju oka, opóźnienie umysłowe, choroby krwi, niedobory odpornościowe, dystrofia mięśniowa, choroby skóry czy nowotwory. Także podatność na choroby układu krążenia i mniejsza odporność na stres.

Prawdopodobnie nawet krótszy czas życia mężczyzny jest związany z brakiem kopii zapasowej chromosomów płci. Wśród 80-latków na jednego pana przypadają już trzy panie. No i co z tym począć? Zapłakać? Chwileczkę – jest nadzieja. Naukowcy z Whitehead Institute w Massachusetts Institute of Technology (Cambridge, USA) dokonali dzieła długo uznawanego za niemożliwe. Poznali, zanalizowali i opisali sekwencję chromosomu Y. Dzięki ich pracy być może uda się niedługo przeciwdziałać męskiemu bolączkom.

Trudny chromosom

Na czym polegał problem z odczytaniem „chromosomu męskości”? Na prawdziwie

męskim bałaganie, który w nim panuje. Technika nie była w stanie sprostać licznym powtórzeniom genów, które przez miliony lat fundował sobie igrek.

Technologia sekwencjonowania DNA stosowana przy opisywaniu genomu ludzkiego polega na czytaniu pociętych wcześniej małych kawałeczków materiału genetycznego, a potem składaniu ich z powrotem do kupy. Nazywa się to metodą shot-gun. Przez dłuższy czas w ten sposób chromosomu Y nijak nie dało się poskładać. Był jak puzzle z tysiącami kawałków, których główną część stanowił nieba albo morza. Naukowcy kierowani przez Davida Page'a włożyli w tę układankę naprawdę dużo trudu. Ale opłaciło się.

Badacze oceniają, że odcyfrowanie chromosomu Y ma bardzo ważny medyczny aspekt. Pomoże wyjaśnić między innymi prowadzące do obojętności zaburzenia warunkowania pici, kierowanie wzrostem szkieletu, powstawanie nowotworów w obrębie narządów płciowych, a nawet odrzucanie przeszczepów od dawców odmiennej płci. Dzięki zdobytej wiedzy będziemy mogli z czasem leczyć takie choroby jak spowodowany brakiem drugiego chromosomu płciowego zespół Turnera (dziewczynki z pojedynczym iksem) oraz rozszyfrujemy tajemnice męskiej niepłodności.

Mężczyźni nie zgina

Okazuje się też, że choć męski chromosom wciąż się degeneruje, pozbywając się kolejnych zbędnych genów, „Seksmissja” na razie nam nie grozi. Przynajmniej dopóki w gametach genów u mężczyzny znajduje się uruchamiający się w piątym tygodniu życia płodowego gen-przełącznik płci SRY.

A może nawet gdy i on zaginie, druga płeć da sobie radę. To się już stało u dwóch gatunków gryzoni. Na przykład u ślepca nie ma w ogóle genu SRY. I nie ma chromosomu Y, a jednak są samczki i samczyki.

Także u ludzi zdarzają się przypadki rodzinne mutacji genu SRY. Mężczyzna ma niefunkcyjny SRY, a jednak jest mężczyzną, i to w dodatku płodnym. A jego córka ma tak zwaną odwróconą płeć, genetycznie jest XY – mówi docent Jadwiga Jaruzelska. Prawdopodobnie u tego mężczyzny inny gen przejął funkcję SRY. Dlatego ja się zupełnie o ten gen nie martwię. O chromosom Y tym bardziej. Niektórzy mówią, że za 10 milionów lat go nie będzie, tak szybko się degeneruje. Być może, ale to nie znaczy, że nie będzie męskiej płci. Genom ludzki jest dość plastyczny. Natura wymyśli wyjście awaryjne. Inny gen przejmie pewnie funkcję „przełącznika”.

OLGA WOŹNIAK

Obierz kurs na sukces!

Teraz 20% taniej!

- samodzielnie wybierasz sobie czas i miejsce nauki
- unikatowa metoda edukacyjna
- wysoka jakość materiałów edukacyjnych w korzystnej cenie

(0 61) 879 32 67
pon.-pt. 7⁰⁰-21⁰⁰, sob. 9⁰⁰-17⁰⁰

www.eskk.pl
eskk@eskk.pl

ESKK
EDUKACJA KORESPONDENCYJNA



Język angielski dla początkujących

Na całym świecie angielskim posługuje się ponad miliard osób, a w niektórych państwach traktowany jest on niemal jak drugi język narodowy. Skorzystaj z unikatowej metody nauczania języków obcych ESKK i już dziś zapisz się na kurs angielskiego i innego języka obcego!

20 mies. x 44 zł → 34,90 zł



Program szkoleniowy średnie wykształcenie**

Teraz masz szansę otrzymania świadectwa maturalnego bez odrywania się od obowiązków zawodowych i domowych. Naukę możesz rozpocząć w każdym miesiącu, nie musisz więc – jak w tradycyjnej szkole – czekać na początek roku szkolnego. Zamów bezpłatny informator.

6 semestrów



Projektowanie wnętrz

Na naszym kursie poznasz historię architektury wnętrz, tajniki współczesnej aranżacji wnętrz, a także nauczysz się, jak tę wiedzę wykorzystać w praktyce. Dzięki temu w pełni profesjonalnie zaprojektujesz i urządzisz dowolne wnętrza mieszkalne, biurowe czy handlowe.

20 mies. x 57 zł → 44,90 zł



Specjalista ds. kadr i płac

Aby sprawdzić się w pracy specjalisty ds. kadr i płac, musisz posiadać wiadomości m.in. z zakresu prawa, psychologii, księgowości. Na naszym kursie zdobędziesz wiedzę potrzebną do wykonywania tego coraz bardziej popularnego zawodu.

20 mies. x 57 zł → 44,90 zł



Windows: Word, Excel... Internet (ECDL)

Zdobądź uznany w całej Europie certyfikat ECDL, a tym samym potwierdź swoje kwalifikacje z zakresu obsługi edytora tekstu, arkusza kalkulacyjnego, baz danych, Internetu czy programów graficznych.

12 mies. x 57 zł → 44,90 zł

Zdobądź cenny CERTYFIKAT

Absolwenci kursów ESKK mogą przystąpić do egzaminów organizowanych przez niezależne instytucje, m.in.: Polskie Towarzystwo Informatyczne • Krajową Korporację Oświatową • Polskie Towarzystwo Ekonomiczne o/Poznań • Policealne Studium Kosmetyczne Anieli Goc • Centrum Kształcenia Ustawicznego w Poznaniu • Studium Psychologii Integracyjnej „Intercollege” w Łodzi • Ośrodek Egzaminacyjny TELC – PROF-LINGUA w Katowicach • Centrum Edukacji Logistycznej Instytutu Logistyki i Magazynowania w Poznaniu

Dla każdego pakietu kursów językowych i muzycznych dołączamy kasety magnetofonowe w cenie 8 zł → 5,90 zł.
** kurs nieobjęty promocją cenową
Teraz zaoszczędzisz na opłacie wpisowej aż 50%: wynosiła ona tylko 50 zł → 25 zł.
Zręczatowaną opłatę za przesłanie materiałów lekcyjnych uiszczasz u uczestnika kursu.
Masz prawo do odstąpienia od umowy w terminie 10 dni od daty jej zawarcia.

NOWOŚCI

Arabski dla początkujących
Chiński dla początkujących
Czeski dla początkujących
Duński dla początkujących
Fiński dla początkujących

20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł

Japoński dla początkujących
Tarot
Fryzjer-stylista
Architektura ogrodów
Wellness & fitness

20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
16 mies. x 50 zł → 39,90 zł
16 mies. x 50 zł → 39,90 zł
16 mies. x 50 zł → 39,90 zł

KURSY JĘZYKOWE

TEL
The European Language Certificate
Communication & Competence

Po ukończeniu kursów umieszczonych w niebieskiej ramce możesz uzyskać uznany w Europie certyfikat językowy TELC.

Angielski dla początkujących
Angielski dla śr. zaawansowanych
Angielski dla zaawansowanych
Intensywny kurs amerykańskiego Angielskiego w biznesie
Niemiecki dla początkujących
Niemiecki dla śr. zaawansowanych
Niemiecki dla zaawansowanych
Niemiecki w biznesie
Włoski dla początkujących
Włoski dla śr. zaawansowanych

20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 46 zł → 36,90 zł
16 mies. x 50 zł → 39,90 zł
12 mies. x 50 zł → 39,90 zł
16 mies. x 57 zł → 44,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 46 zł → 36,90 zł
16 mies. x 50 zł → 39,90 zł
16 mies. x 57 zł → 44,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
16 mies. x 46 zł → 36,90 zł

Angielski dla dzieci – I stopnia
Angielski dla dzieci – II stopnia
Niemiecki dla dzieci
Francuski dla początkujących
Francuski dla śr. zaawansowanych
Francuski dla zaawansowanych
Hiszpański dla początkujących
Hiszpański dla śr. zaawansowanych
Holenderski dla początkujących
Rosyjski dla początkujących
Klasyczna greka
Łacina dla początkujących
Norweski dla początkujących
Szwedzki dla początkujących
Portugalski dla początkujących

18 mies. x 42 zł → 32,90 zł
18 mies. x 42 zł → 32,90 zł
18 mies. x 42 zł → 32,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 46 zł → 36,90 zł
16 mies. x 50 zł → 39,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 46 zł → 36,90 zł
16 mies. x 57 zł → 44,90 zł
16 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł
20 mies. x 44 zł → 34,90 zł

KURSY ZAWODOWE

Samodzielny księgowy
Specjalista ds. księgowości firmy na podatkowej księdze przychodów i rozchodów
Podstawy księgowości dla każdego
Specjalista ds. podatków
Główny księgowy
Księgowość komputerowa
Rachunkowość finansowa
Nowoczesna sekretarka/
Asystentka dyrektora
Jak założyć własną firmę
Zarządzanie logistyczne przedsiębiorstwa
Specjalista ds. marketingu
Przedstawiciel handlowy
Specjalista ds. spedycji
Sztuka efektywnej sprzedaży
Menedżer

14 mies. x 63 zł → 49,90 zł
12 mies. x 63 zł → 49,90 zł
14 mies. x 57 zł → 44,90 zł
16 mies. x 63 zł → 49,90 zł
16 mies. x 63 zł → 49,90 zł
12 mies. x 57 zł → 44,90 zł
14 mies. x 57 zł → 44,90 zł
16 mies. x 57 zł → 44,90 zł
12 mies. x 67 zł → 44,90 zł
13 mies. x 63 zł → 49,90 zł
14 mies. x 57 zł → 44,90 zł
14 mies. x 57 zł → 44,90 zł
18 mies. x 63 zł → 49,90 zł
15 mies. x 57 zł → 44,90 zł
14 mies. x 57 zł → 44,90 zł

Kurs psychologii
Kurs dla pielęgniarzek środowiskowych i opiekunek społecznych
Psychologia dziecka
Kurs wizażu i pielęgnacji urody
Grafika komputerowa
Projektowanie stron WWW
Kurs profesjonalnej fotografii
Agent ochrony
Agent nieruchomości
Agent celny
Kurs dziennikarstwa
Kurs dla pilotów wycieczek
Sztuka negocjacji
Jak skutecznie inwestować na giełdzie
Zarządzanie kadrami
Program szkoleniowy psychotronik** (psychologia, parapsychologia; astrologia lub tarot)

30 mies. x 50 zł → 39,90 zł
16 mies. x 57 zł → 44,90 zł
16 mies. x 57 zł → 44,90 zł
16 mies. x 63 zł → 49,90 zł
16 mies. x 50 zł → 39,90 zł
16 mies. x 57 zł → 44,90 zł
12 mies. x 63 zł → 49,90 zł
16 mies. x 63 zł → 49,90 zł
15 mies. x 63 zł → 49,90 zł
16 mies. x 57 zł → 44,90 zł
12 mies. x 63 zł → 49,90 zł
16 mies. x 57 zł → 44,90 zł
15 mies. x 63 zł → 49,90 zł
16 mies. x 63 zł → 49,90 zł
20 mies. x 99 zł

Pełną ofertę naszych kursów znajdziesz na stronach internetowych www.eskk.pl

Jeśli zapiszesz się w ciągu 21 dni, otrzymasz aparat fotograficzny lub walkmana gratis*!



TWÓJ KUPON ZGŁOSZENIA

- ☐ Tak, chcę otrzymać bezpłatny informator:
☐ o kursach ESKK ☐ o średnim wykształceniu
- ☐ Tak, chcę się zapisać na wymieniony kurs.
- ☐ Tak, chcę kupić cały kurs od razu i otrzymać dodatkowo zniżkę 10%.

Ponieważ zapisuję się na wybrany kurs w ciągu 21 dni, wybieram jeden z poniższych prezentów*:

- ☐ walkmana ☐ aparat fotograficzny

* zgodnie z zasadami promocji

Dobrowolnie wyrażam zgodę na wykorzystanie moich danych w celach marketingowych oraz na umieszczenie ich w bazie danych ESKK. Mam prawo wglądu do zamieszczonych danych oraz do ich poprawiania.

ZGŁOSZENIA POD ADRESEM

ESKK Sp. z o.o., skr. poczt. 200, 60-959 Poznań 2

Siedziba firmy: ul. Forteczna 17A, 61-362 Poznań

1054/W00/P/08

Data urodzenia

Podpis



LANCE ARMSTRONG podczas jazdy indywidualnej na czas w trakcie Tour de France 2003. Rama jego roweru wykonana została z lekkich, wytrzymałych tworzyw sztucznych. Dzięki temu zawodnik podczas 49-kilometrowej jazdy może zaoszczędzić 10 sekund, a tyle wystarczyło Armstrongowi do zwycięstwa

For: JOEL SAGET/APPEAST NEWS

MASZYNA DOSKONAŁA

Rower to jedna z najbardziej niezwykłych maszyn, jakie stworzył człowiek

Powoli zbliża się koniec wakacji. Opalenia wczasowicze wracają do miast, a wraz z nimi ich samochody. Zaczyna się czas korków i kłopotów z parkowaniem. A gdyby tak śmierdzące pojazdy zastąpić jedną z najbardziej niezwykłych maszyn, jakie istnieją na świecie? Nie, nie chodzi tu o skompromitowanego Gingera vel Segwaya, który miał zrewolucjonizować transport. Tę niezwykłą maszynę znamy już od niemal 200 lat. To rower.

Co w nim takiego dziwnego? Choćby to, że jeździ niemal sam. Takie wyniki uzyskali naukowcy z John Hopkins University, gdy wzięli na warsztat zwykły rower. Ustawili go na sterowanym przez komputer urządzeniu, które kontrolowało szybkość obracania się pedałów i symulowało opór stawiany przez nawierzchnię i powietrze. Na łańcuch skierowali kamerę pracującą w podczerwieni. Mierzyła ona ilość ciepła, jakie wydziela się, gdy łańcuch przenosi napęd z pedałów na tylne koło. To ciepło to

energia, która się marnuje. Samochód jest przykładem maszyny, która nie najlepiej wykorzystuje energię – dlatego jego silnik tak bardzo się nagrzewa.

Rowerem do pracy

Okazało się, że rower ma wręcz rewelacyjną efektywność – podczas gdy samochód wykorzystuje tylko 20 procent energii powstającej przy spalaniu paliwa, rower osiągnął wynik 98,6 procent! Tylko 1,4 procent marnowało

się w postaci ciepła. Co prawda łańcuch to nie jedyne miejsce, gdzie energia może uciekać, ale inne straty możemy sami zminimalizować. Najwięcej problemów sprawia opór powietrza. Wystarczy jednak włożyć kask i przylegający strój, by jechało nam się znacznie łatwiej. Zawodnicy dodatkowo pochylają się jeszcze nad kierownicą – stąd jej charakterystyczny kształt w wyścigowych modelach.

Okazało się też, że jazda na rowerze jest znacznie mniej męcząca niż chodzenie! Pokonując w godzinę cztery kilometry, piechur spali około 230 kalorii, tymczasem rowerzysta – zaledwie 120.

Zatem argument: „Nie będę jeździł do pracy na rowerze, bo się okropnie spocę”, nie ma żadnego uzasadnienia. Oczywiście wszystko zależy od tego, gdzie i jak będziemy jechali. Jeżeli w drodze do pracy musimy pokonać liczne góry, piaszczyste doliny, a na dodatek będziemy pędzić na złamanie karku, to faktycznie lepiej sobie darować rower.

Jak to się jednak dzieje, że rower jest tak wydajnym środkiem transportu? Przecież musimy przewieźć nie tylko siebie, lecz także maszynę, na której siedzimy, a dodatkowo pokonać opór toczących się kół i całego mechanizmu napędowego.

Wszystkiemu winny jest nasz chybliwy chód: kiedy idziemy, co chwilę przenosimy ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Aby się nie przewrócić, musimy za każdym razem trochę się unieść – zwykle tego nie zauważamy, ale wystarczy przyjrzeć się piechurowi, by zobaczyć, że jego głowa podnosi się nieco przy każdym kroku.

Te kilka centymetrów kumuluje się – po przejściu tysiąca kroków, czyli około 500–600 metrów, uzbiera się z nich dodatkowe kilkadziesiąt metrów. Tak więc, przechodząc kilometr po płaskiej drodze, dodatkowo wykonujemy taką pracę, jakiej wymaga wejście na stumetrowe wznieśnienie! Rower likwiduje ten problem – siedzimy na siodelku i nie podnosimy co chwilę ciała.

A czemu w ogóle jesteśmy w stanie usiedzieć na rowerze – przecież dotykamy podłoża tylko małutkimi fragmentami kół? Odpowiedzi na to pytanie szukano od dawna.

Według jednej z najpopularniejszych teorii w utrzymywaniu równowagi miał pomagać efekt żyroskopowy. To zjawisko, które sprawia, że trudno jest zmienić płaszczyznę obrotu wirującego koła – również rowerowego. Kto nie wierzy, niech je wymontuje, złapie za ośki i rozkręci. Gdy chcemy pochylić koło, czujemy wyraźny opór. Okazało się jednak, że wyjaśnienia trzeba szukać gdzie indziej.

Wężykiem

Tajemnica stabilności roweru wyjaśniła się dopiero wtedy, gdy zaczęto badać nie tylko sam pojazd, lecz także kierującego nim rowerzystę. Okazało się, że gdy tracimy równowagę i przechylamy się zbyt mocno w jedną stronę, rower sam pod nas podjeżdża. Dzieje się tak dzięki sztywności ramy, która przenosi wahania na kierownicę.

Można to łatwo sprawdzić bez ryzyka bolesnego kontaktu z podłożem. Wystarczy spróbować poprowadzić rower, trzymając go za siodelko. Gdy przechylimy go w prawo, kierownica skłoni się w tę samą stronę. Gdy wrócimy do pionu, rower znowu zacznie jechać prosto. Podobne, choć delikatniejsze, ruchy wykonujemy podczas jazdy. Wystarczy przyjrzeć się śladowi, jaki pozostawiają opony, gdy na przykład przejedziemy przez kałużę. Prawie nigdy tylne i przednie koło nie jadą po tej samej linii – aby utrzymać równowagę, musimy jechać wężykiem! Dzięki temu rower sam dba o to, byśmy z niego nie spadli – nie należy mu tylko w tym przeszkadzać.

Choć raz ludzkości udało się stworzyć coś, co nie hałasuje, nie zaturowa środowiska, jest wygodne, szybkie i tanie. Korzystajmy więc z okazji – przesiadajmy się na rowery.

PIOTR STANISŁAWSKI

DWA WIEKI DWÓCH KÓŁEK

W 1813 roku baron von Drais zbudował dwukółowy pojazd, który miał kierownicę podobną do dzisiejszych. Nie miał jednak pedałów – kierowca odpychał się od ziemi nogami. Maszynę nazwano Draisienne, a ówczesna arystokratyczna młodzież oszalała na punkcie nowej zabawki. Jednak prawdziwą rewolucją było dodanie w 1844 roku pedałów. Powstały wówczas bicykle – rowery o ogromnych przednich kołach. Cyklista siedział nawet dwa metry nad ziemią, a jazda była nie lada sztuką. Wybawienie przyniosł wynalazek łańcucha – w roku 1869 taka forma przenoszenia napędu sprawiła, że oba koła roweru stały się takie same. Od tego czasu zasadnicze elementy konstrukcji nie uległy zmianie. Skupiono się za to na udoskonalaniu materiałów, z których wykonywano rowery. Dzięki temu są one coraz lżejsze i wytrzymalsze. Przeciętna waga rowerów, na których jechali zawodnicy w tegorocznym Tour de France, nie przekraczała siedmiu kilo!



Baron von Drais i jego pojazd



Dzięki poznaniu mechanizmu głodu i sytości umiemy stworzyć lek na otyłość

POSKROMIENIE ŁAKOMCZUCHA

Ta fałda na brzuchu może wcale nie jest taka widoczna. Tylko zamiast się schylać, trzeba ukucnąć, i nikt nie zauważy. A drugi podbródek? Trzeba pamiętać o tym, żeby do zdjęcia odrobinę podnieść głowę, i nie będzie widać. Ilu z nas ma takie refleksje, oglądając zdjęcia z wakacji? Oczywiście, że zamiast tego typu gimnastyki lepsza byłaby siłownia, ale kto ma na to czas? Najlepiej, by ktoś wymyślił tabletkę – łykam i chudnę.

Aż tak prosto nie będzie. Ale jest nadzieja dla grubasów. Warunek: nie bać się zastrzyków i przyjmować lek przez niemal całe życie.

Według badań opracowanych w zeszłym roku przez specjalistów z Akademii Medycznej w Gdańsku 52 procent dorosłych Polaków waży za dużo. Polacy to nie wyjątek w skali światowej – raczej ponura norma. Światowa Organizacja Zdrowia dawno uznała otyłość za epidemię.

Dodatkowe kilogramy zwiększają ryzyko nadciśnienia tętniczego, cukrzycy typu II, miażdżycy, zawału serca, udaru mózgu i niektórych nowotworów. Dlatego próby wynalezienia leku na otyłość to marzenie lekarzy.

Brytyjscy badacze twierdzą, że mają sposób na naszą słabość do jedzenia. Skuteczny lek bez skutków ubocznych. Kłopot

w tym, że trzeba będzie go przyjmować codziennie w postaci zastrzyków i stosować niemal przez całe życie. Na razie nazywa się nie-
zbyt elegancko – PYY₃₋₃₆. I choć budzi naprawdę spore nadzieje, świat medyczny stara się nie okazywać nadmiernego entuzjazmu. Już nieraz ogłaszał odkrycie leku na otyłość. Za każdym razem był to falstart. Teraz ma być inaczej.

Chudną myszy

Najbardziej spektakularną porażką była leptyna – hormon odkryty na początku lat 90.

Wykryto go u laboratoryjnych myszy, u których mutacja w genie kodującym wydzielanie tej substancji doprowadziła do tycia.

Gryzoniom podano leptynę i natychmiast straciły na wadze.

Na giełdzie poszły w górę akcje amerykańskich koncernów produkujących słodczyce. Entuzjazm nie trwał długo. Za pomocą leptyny z nadmiaru kilogramów udało się wyleczyć tylko myszy i troje ludzi.

Byli kuzynami, pochodzili z Turcji. Przez 10 miesięcy dostawali zastrzyki hormonu. Zrzucili niemal połowę z blisko 150 kilogramów tłuszczu, jakie każdy dźwigał. Ale udało się to dlatego, że mężczyźni w pewnym sensie przypominali... myszy. Ci Turcy mieli bardzo rzadko spotykaną u ludzi mutację genu, który czynił ich podatnymi na terapię leptyną. W ponad 90 procentach

przypadków ludzkie mutacje są inne od mysich i podawanie leptyny nic nie zmienia.

Odkrycie u człowieka genu kodującego leptynę ożywiło badania nad mechanizmem głodu.

Hormon sytości

Naukowcy dowiedzieli się, że chęć jedzenia zależy od hormonów. Zidentyfikowano najważniejsze. Hormon głodu wydzielany przez żołądek powoduje, że rośnie nam apetyt. Hormon sytości wytwarzany jest przez jelita – ma roboczą nazwę PYY₃₋₃₆. Jego stężenie rośnie w miarę jedzenia. Wraz z krwią dostaje się do mózgu i jest dla niego sygnałem od jelit: „To, co zjedzone, też musimy strawić”. Im bardziej ciężkostrawne rzeczy jemy, tym więcej PYY₃₋₃₆. Mózg włącza blokady do tej pory przez hormony głodu ośrodki sytości.

Przestajemy jeść do czasu, gdy stawimy to, co już pochłonęliśmy. Ale u otyłych wydzielają się zbyt mało hormonu, by na dłużej opanować głód.

Podając z zewnątrz hormon sytości, szukamy organizmu – wymyślił prowadzący badania nad PYY₃₋₃₆ Steve Bloom, szef Division of Investigative Science w Imperial College w Londynie.

Sprawmy, by myślał, że przed chwilą zjadł.

Sprawdził to na myszach. Po podaniu PYY₃₋₃₆ wydawały się najedzone. Na ludzi też zadziałało. Po niewielkiej dawce hormonu czuli się bardziej syty i jedli o jedną trzecią mniej. Efekt utrzymywał się prawie dobę. Brak skutków ubocznych.

Teraz trzeba ustalić optymalną dawkę i w miarę komfortowy sposób podawania hormonu.

PYY₃₋₃₆ to białko, jak insulina. Nie możemy go połykać, bo zostanie strawione. Trzeba aplikować je w zastrzykach. Dla utrzymania efektu trzeba długo przyjmować hormon. Po odstawieniu wróci głód – mówi Bloom.

Choć naukowcy są ostrożni – chyba wreszcie uda się okiełznać naszą słabość do jedzenia.

OLGA WOŹNIAK

NA PODSTAWIE „NEW SCIENTIST” NR 2407

MECHANIZM GŁODU

Raz wyhodowanych komórek tłuszczowych nie da się usunąć.

Przybywa ich tym więcej, im więcej dostarczamy organizmowi energii, której nie jest w stanie przerobić na bieżąco. A gdy powstaną – wciąż domagają się zapasów. Dlatego nawet po odchudzeniu mamy tendencję do tycia.

„Pusto, pusto, pusto!” – awanturują się komórki tłuszczowe. Budzą głód.

W mózgu znajdują się regiony odpowiadające za sytość i głód. Które mają działać, decydują substancje chemiczne (neuroprekaźniki)

uwalniane pod wpływem sygnałów dochodzących z układu pokarmowego.

Nad wszystkim czuwa leptyna – „hormon zadowolenia” wydzielany przez komórki tłuszczowe naszego ciała. Te nie oddają swoich zapasów bez walki. Gdy się odchudzamy i zużywamy wewnętrzny tłuszcz, zmniejsza się poziom leptyny w organizmie.

W mózgu podnosi się alarm. Żołądek uwalnia hormon głodu – grelinę.

Ta sprawia, że w mózgu tworzą się substancje stymulujące ośrodek głodu i blokujące ośrodek sytości. Jemy. Jelita, by nie ulec przeciążeniu wciąż przybywającym jedzeniem, stopniowo uwalniają hormon sytości PYY₃₋₃₆. On mówi mózgowi: „Stop, poczekaj”. Zostaje odblokowany układ sytości. Przestajemy jeść. Jeśli jednak przyjeśliśmy na tyle mało kalorii, że opustoszałe komórki tłuszczowe nie napełniły się z powrotem, poziom leptyny wciąż jest niski i historia się powtarza.

4 MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL DZIAŁAŃ TEATRALNYCH I PLASTYCZNYCH ZDARZENIA TCZEW-EUROPA 2003 5-7 września

Grupy teatralne z Chorwacji, Czech i Węgier, znane i debiutujące zespoły z Polski w spektaklach teatralnych, plenerowych, happeningach i akcjach ulicznych. Warsztaty artystyczne!

WYDARZENIE PO RAZ PIERWSZY W POLSCE: Teatro Lirico Sperimentale Spoleto (Włochy) GOŚCIE SPECJALNI: Cerna&Vanek Dance Bonn (Niemcy) Teatro a l'Avogaria Wenecja (Włochy)

TOURNEO TEATRO A L'AVOGARIA W POLSCE:
06.09.2003 Teatr Kameralny w Sopocie
07.09.2003 Festiwal ZDARZENIA w Tczewie
09.09.2003 Staromiejskie Centrum Kultury Młodzieży w Krakowie
10.09.2003 Teatr Rozrywki w Chorzowie
12.09.2003 Teatr Nowy w Warszawie

Dyrektor Artystyczny Festiwalu – **Halina Kasjanik**
Honorowy Patronat Artystyczny – **Józef Szajna**

ORGANIZATORZY:
Stowarzyszenie Integracji Humanistycznej PO-MOST w Tczewie
Urząd Miejski w Tczewie

PATRONI:
Waldemar Dąbrowski – Minister Kultury
Jan Kozłowski – Marszałek Województwa Pomorskiego
Zenon Ody – Prezydent Miasta Tczewa

PARTNERZY:
Ministerstwo Kultury, Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego, Starosta Tczewski, Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, Fundacja Kultury, Duński Instytut Kultury, Węgierski Instytut Kultury, Włoski Instytut Kultury, Centralne Muzeum Morskie, Teatr Wybrzeże, Festival dei Due Mondi (Spoleto), Burmistrz San Gemini

PATRONI MEDIALNI:
RZECZPOSPOLITA
AKTIVIST
Dziennik Bałtycki
Roznaja Swiat
TVP3

SPONSORZY:
re RESERVED
NBP
HOTEL Carina
acrobat wisefull

**[odjazd]****Dla milionerów**

Superwyczynowy samochód sportowy MERCEDES SLR McLaren pojedzie z prędkością 334 kilometrów na godzinę! Do pierwszej setki rozpędzi się w 3,8 sekundy. McLaren ma wydłużoną maskę drzwi, wyraźne boczne odpowietrzniki w nadkolach i skrzydłowe drzwi podobne do tych z legendarnego modelu SLR 300 coupé z 1955 roku. W salonach pojawi się jesienią. Ponad milion złotych

**[techno]****Kąpiel z niespodzianką**

Oto wymarzona wanna dla małych brudasów, którym nie w głowie kąpiel. Wystarczy wyświetlić „Kubusia Puchatka” na wbudowanym w jaccuzi 42-calowym plazmowym monitorze i zostawić uchylone drzwi do łazienki. System dźwięku przestrzennego Dolby Surround przeniesie dzieci w inny świat, więc pewnie nie zorientują się nawet, kiedy umyjesz im włosy. Niestety, wanna firmy LA SCALA nie pojawi się na rynkach europejskich.

[od rzeczy]**Zanim pojedziesz**

Niepozorny breloczek BREATH TESTER KEYCHAIN nie tylko zepnie klucze, lecz także zbada twój oddech, zanim wsiądziesz do samochodu. Wbudowany alkomat działa na baterie. Około 95 złotych
www.gadgetshop.com

**[pomysł]****Ze składaną szpilką**

Jeśli masz dość bicia szarą myszką, a nie potrafisz jeszcze chodzić na szpilkach, nie martw się. Brytyjska studentka Ella Kilgour zaprojektowała coś dla ciebie. Sandały DELIC mają schowany w podeszwie ośmiocentymetrowy obcas, który tuż przed randką można wysunąć i schować w drodze do domu, jeśli adorator zniknie z horyzontu. Być może buty trafią kiedyś do seryjnej produkcji, na razie o nich tylko pomarzyć.

**[zabawa]****Do ostrej jazdy**

Najnowszy wynalazek TRAIL SKATE najbardziej przypomina rolki – ma duże kółka i mocne ramy, do których przymocowane są wiązadła na buty. W takim sprzęcie można pędzić nawet po strasznych wybojach. Zamontowany przy pasku ręczny hamulec pomoże ci zahamować, kiedy cię poniesie. Około 1250 złotych. Techniki jazdy można się nauczyć na stronie www.terraskates.co.uk

[wylizanka]**PIĘĆ SPOSOBÓW...
JAK NIE ZWARIOWAĆ
W KORKU**

1. W drzwiach samochodu trzymaj zawsze zapasowy egzemplarz książki, której od miesiąca nie możesz skończyć w domu. Z powodu braku czasu, rzecz jasna (około 20 złotych za książkę).

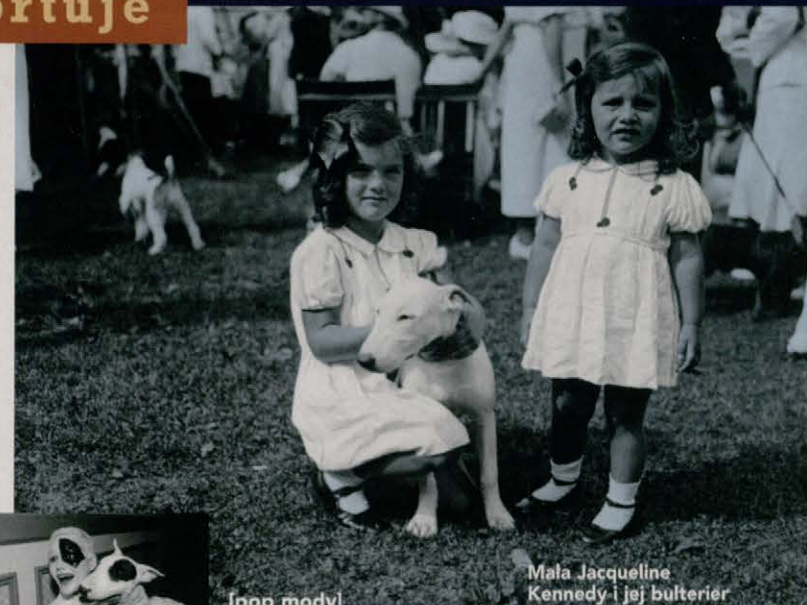
2. Jeśli nie możesz powstrzymać złości z powodu kolejnego spóźnienia do pracy, sięgnij po telefon i nadrob zaległości rodzinne. Zadzwoń do mamy albo do teściowej. A jak zdążysz, to do obu. Twoje mamy pokochają korki! (Minuta rozmowy – około 2 złotych).

3. W korku możesz też dorobić. Trzymaj w bagażniku ściągaczkę i płyn do mycia szyb. Jak tylko wywieszysz dłuższy postój, obkocz stojące przed tobą samochody. Rozładujesz napięcie i zarobisz na totolotka (płyn i ściągaczka – 8 złotych).

4. Zamów najnowszy model Jaguara XJ z zamontowanym telewizorem w desce rozdzielczej. Zamiast beczynnie siedzieć, obejrzysz wiadomości lub kawałek filmu, który wieczorem dokończysz w domu. (Około 300 tysięcy złotych)

5. Stojąc w korku, nie myśl za dużo, bo jeszcze wygrzebieś z pamięci opowiadanie Cortáзара „Południowa autostrada” o korku, który trwał tak długo, że kierowcy zaczęli w nim normalne życie. Rodziły się dzieci. Jeśli przerazi cię ta myśl, zacznij się pocieszać, że twój korek na pewno kiedyś się skończy. Uff.

Za spokój w korkach kierowcy zapłacą wysoką cenę
300 tysięcy 30 złotych!



Mała Jacqueline Kennedy i jej bulterier



Księżniczka Anna też uwielbia bulterier

[pop mody]**Bulterieri**

Rodzice zawsze strofowali mnie, że pies nie zabawka. Ani mi się śni utożsamiać psa z gadżetem. Są jednak wyjątkowe sytuacje, gdy czworonożny przyjaciel człowieka staje się po prostu modny. Jak bulterier, „psi gladiator”. Mały, ale byk (ang. bull). Sprytny, uparty, czasem niebezpieczny. Dla jednych piękny, dla drugih – szpetny. Co prawda do Polski nie dotarły nigdy reklamy Budweisera ze Spudsem MacKenziem (biały bulterier z czarną łatą na oku reklamuje to piwo od lat), który tę modę rozpętał, ale mieć bula to obecnie sztyk.

Czarny kot, biały bulterier

W latach 80. akcję literacką na rzecz bulterierów zaczął wyjątkowo popularny w Polsce pisarz Jonathan Carroll. Bulterier występował w „Krainie Chichów”, jego najslawniejszej powieści, a potem regularnie wracał (podobnie jak inne tematy i motywy, niestety) w kolejnych. „Dlaczego bulterier?” – tłumaczył swoją pasję Carroll. – Bo są brzydkie. Duże i brzydkie, odmienne od innych psów. Kiedy się widzi raz bulteriera, zawsze się już wie, co to jest”. Amerykański pisarz sam ma „od zawsze” psy tej rasy. Podobnie jego najzagorzalsi fani. Kiedyś podpisywał książki w Polsce i weszły fanki, którym bulterieri kazano zostawić pod drzwiami. „Zabij ich! – żartował wtedy Carroll. – I przyprowadź tego psa do mnie. Ja go wpuszczę!”. Miłośnikiem bulterierów był sir Walter Scott. Bulteriera miał Woodrow Wilson, prezydent USA, u nas ma przewodniczący Unii Wolności Władysław Frasyniuk. W Polsce z psami tej rasy paradują też wokalistka Fiolka i Zuza Ziomecka, naczelna miejskiego pisma „Aktivist”. Bulterier gra ważną rolę w „Babe: świnka w mieście” i w disneyowskim filmie „Niesamowita podróż”. W komedii „Czarny kot, biały kot” Kusturicy pojawiał się w postaci refrenu śpiewanego przez bogatego Cygana: „Jo se me pit bull terrier” (angielskiego bulteriera nie należy jednak mylić z amerykańskim pitbulem).

Twardy zawodnik

Znawcy psów chwalą bulterieri za inteligencję. Dobrze ułożone, nie sprawiają kłopotów, są wesołe i świetnie reagują na dzieci. Ale są też ulubioną

rasą raperów. Ostatnia płyta Naglego Ataku Spawacza, poznańskiej grupy hiphopowej, nosiła tytuł „Hip-hop, giwery i bulterieri”. Bulteriera ma Red, prezenter hiphopowy z MTV, rapuje o nim też Peja w „Moim mieście złą sławą owianym”: „A, Drużyna A / Uważaj szybko stary, jeśli nie chcesz młócki / To jest nieludzki, wielkopolski trójkąt bermudzki / Mamy pojebane mózgi, wołę gangster-skie fanaberie / Flaga, na niej wściekły bulterier”.



Do drugiej połowy XIX wieku stosowano psy do walk na arenie z niedźwiedziami, a potem bykami – stąd pochodzili przodkowie rasy. Dopiero brytyjski parlament zakazał organizowania tych walk, zeszyli więc do podziemia. Częściej niż na grubego zwierza organizowano zawody w zagryzaniu szczurów – z całym, bardzo skomplikowanym, zestawem zasad. Tu bulterieri okazały się trudne do pobicia. Miały nawet swoje tabele rekordów. W 1861 roku niejaki Jacko zabił 25 szczurów w minutę i 28 sekund. Podobno w życiu zagryzł ich półtorej tony. Zwinne i sprytnie bulterieri służyły również do walk psów. Za twórcę współczesnego bulteriera uważa się Jamesa Hinksa, XIX-wiecznego handlarza zwierząt, który skrzyżował bull and terriery (mieszanka buldoga i terierów) z dalmatyńczykami i białym terierem angielskim. Do Polski rasa prawdopodobnie trafiła w latach 70. Podobno przyjechała z NRD. Estetycznie to nie mój typ. Jest jednak parę cech, dla których przygarnąłbym bula. Kiedy pomyślę o tych hordach jamników na moim osiedlu...

BARTEK CHACIŃSKI

LUDOWA REPUBLIKA

TELEWIZJI

WOJCIECH ZEMBATY

– Wstydź się, panie Bush!
tak na wręczaniu Oscarów
grzmiał **MICHAEL MOORE**.
Satyryk, dokumentalista
i pisarz. Dla jednych
sumienie Ameryki,
dla drugih
– jej najgorszy wróg.
Dziś podbija Europę

Michael Moore
w czasie występu
scenicznego
w Londynie (2002 rok)
zamienił ulubiony
gadżet – karabin
– na laskę dynamitu

Oto najdziwniejszy talk-show w historii. Każdy odcinek „Brutalnej prawdy” zaczyna się melodią jak z „Gwiezdných wojen”. Dalej poważny wstęp: „Na początku była wolna prasa. Przy najmniej dobrze to brzmiało. Pod koniec millennium całe media kontrolowała piątka ludzi. Ale jeden człowiek był poza ich kontrolą. Jego i jego ekipę nazwano Ludową Republiką Telewizji. Ich misja? Przekazać ludziom brutalną prawdę”.

Tu na ekranie pojawia się twórca programu Michael Moore – i nie wiadomo, czy traktować go jeszcze jako komika. Bo w absurdalnie śmieszny sposób opowiada o rzeczach śmiertelnie poważnych.

ROZRYWKOWY DOKUMENT

W „Brutalnej prawdzie” Moore reaguje na bieżące wydarzenia. Kiedy prezydent Clinton wysłał do Iraku zespół fachowców, którzy mieli skontrolować tamtejsze arsenały zbrojeniowe, Moore ze spotkanych na ulicy Arabów stworzył własną komisję, którą posłał do amerykańskich baz wojskowych, by sprawdzić stan arsenałów USA. Przed Bożym Narodzeniem Moore zebrał grupę półniemych ludzi po tracheotomii (przeszli raka krtani) i pojechał z nimi do biurów Philip Morrisa i Reynoldsa – największych firm tytoniowych – by śpiewali w holu kolędy. Zasygnalizowano mu wyzysk pracowników koncernu Disneya? Wymyślił więc żółtego kurczaka Crackersa – wielką postać pluszowego superbohatera, „pogromcy przestępstw korporacyjnych”, z którym wspólnie pojechał do Disneylandu porozmawiać o całej sprawie z... Myszka Miki.

Kiedy ludziom bez polisy ubezpieczeniowej zaproponowano, by odpracowywali swoją szpitalną kurację, Moore wynajął ambulans, zatrudnił lekarzy, stanął pod szpitalem i zaczął udzielać ludziom pomocy. Pacjenci mający problemy z oddychaniem – w zamian za wyprasowanie spodni. Kobiocie o kulach – za pomoc w naprawie samochodu. A gdy do Moore’a zgłosił się śmiertelnie

chory cukrzyk, któremu firma ubezpieczeniowa nie chciała sfinansować przeszczepu trzustki, Moore zaaranżował pogrzeb tego człowieka przed siedzibą ubezpieczyciela (firma w końcu zapłaciła za operację).

Uprawia społeczny reportaż, ale zarazem robi wielki show. Z czynnym udziałem publiczności, ironicznie dobraną naiwną muzyką z lat 50., przebitkami na kroniki filmowe i animacje. W swoich „Zabawach z bronią” Moore daje przegląd amerykańskich inwazji i okupacji krajów Trzeciego Świata, podając przerażające liczby ofiar tych wojen przy uroczym akompaniamentem sentymentalnej ballady. W filmie „Roger i ja” ujęciem opustoszałych, popadających w ruinę dzielnic jego rodzinnego miasta Flint towarzyszy przepełniony optymizmem i nadzieją przebój zespołu Beach Boys. W chwilę potem słyszymy, że z powodu załamania się budżetu miasta i likwidacji służb komunalnych liczba szczerów znacznie przewyższyła miejscową populację ludzi.

KORPORACJE JAK MATRIX

Przeciwnicy zarzucają Moore’owi demagogię, manipulację i naginanie faktów. Rzeczywiście, jego programy i filmy przedstawiają fakty w nieco tendencyjnym, lewackim i antyglobalistycznym świetle. Można z nich wywnioskować, że zwalniani z pracy robotnicy nadal są ludźmi, natomiast ich pracodawcy, którzy odziedziczyli rodowe fortuny przemysłowe, przypominają bardziej Agenta Smitha z filmu „Matrix” niż istoty ludzkie.

Moore uwielbia cytować gołe fakty, które nazywa właśnie „brutalnymi prawdami”. Na przykład: „Roczne pensje pięciu członków rady nadzorczej rzeczony firmy ubezpieczeniowej wystarczyłyby na 437 przeszczepów trzustek”. Albo: „Szef Disneya zarabia 20 tysięcy dolarów na godzinę – nawet kiedy śpi”.

O politykach: „51 procent republikanów sądzi, że przyjmowanie w dzień lekarstwa przepisane na noc uczyni ich pracę przyjemniejszą”. Dalej: „45 procent Amerykanów uważa, że millennium nadeszłoby szybko, gdyby sprawą zajmowały się prywatne

firmy, a nie rząd". Wreszcie: „Ameryka jest ostatnim uprzemysłowionym krajem, który nie gwarantuje opieki zdrowotnej swoim obywatelom”. I tak dalej.

ZWYCZAJNY AMERYKANIN

Jeżeli istnieje stereotyp przeciętnego Amerykanina, to Michael Moore właśnie tak wygląda (lub – jak mówią jego przeciwnicy – na takiego pozuje). Jego zwalista postać zdradza słabość filmowca do pieczonych żeber, steków i sosów barbecue. Moore ma niedbały image, którego nieodłącznym elementem jest czapeczka bejsbolowa, najczęściej zespołu Detroit Tigers. Jego niemalże niechlujne ubrania nie wyszły spod igły wielkich krawców, dlatego też nie powinny otwierać się przed nim drzwi rezydencji, ambasad i korporacyjnych siedzib. Lecz te drzwi się otwierają. Być może ofiary Moore'a skłonne są pokazać się w telewizji nawet za cenę ośmieszenia.

O 49-letnim dziś Moore mówi się niekiedy, że jest największym postrachem korporacyjnych i politycznych elit USA. On podkreśla, że chce tylko, żeby ludzie bardziej angażowali się w to, co chcą zmienić w swoim kraju. Jego kruczata zaczęła się zresztą niewinnie.

DLA WYLUZOWANYCH

W 1972 roku w jego rodzinnym Flint przyznano prawo ubiegania się o urzędy publiczne każdemu obywatelowi, który ukończył 18 lat. Michael nie zastanawiał się długo – właśnie osiągnął pełnoletność. Postanowił kandydować do lokalnej rady oświatowej nadzorującej pracę szkół w mieście. Zwłaszcza że był niesfornym uczniem jednej z nich... Trzeba było zebrać podpisy. „Ale – pomyślał Moore – w otoczeniu samych upalonych trawką jest tylu, żeby bez trudu znaleźć grupę popierających mnie ludzi”.

Gdy poważni kandydaci walczyli ze sobą o głosy, na Moore'a zagłosował każdy, jak on sam to określił, „wyluzowany” człowiek ze szkoły. W rezultacie wygrał wybory. Nagle okazało się, że nauczyciele wiedzą, jak się nazywa, i okazują mu szacunek. Nic dziwnego – stał się ich przełożonym!

Szkolną lekcję praw obywatelskich Moore dobrze zapamiętał. Od tamtej pory, czy to pracując dla prasy, czy to działając jako satyryk, pisarz i nagrodzony Oscarem dokumentalista, przypomina Amerykanom, że władza należy się właśnie im – demokratycznej większości. Ciężko pracującym zjadaczom chleba, a nie korporacyjnym bossom i możnym tego świata.

Dokumenty zaczął kręcić po odejściu z pisma „Mother Jones”. Wyrzucono go stamtąd, bo odmówił publikacji artykułu krytykującego lewicową partyzantkę w Nikaragui. Pierwszy film Moore'a, „Roger i ja” z roku 1989, mówi o katastrofie masowego bezrobocia w jego rodzinnym Flint po decyzji koncernu General Motors o zamknięciu tamtejszych zakładów – pomimo ich rentowności – i przeniesieniu



Jeżeli istnieje stereotyp przeciętnego Amerykanina, to Michael Moore właśnie tak wygląda

produkcji do tańszego Meksyku. Moore był tu zaangażowany bezpośrednio – jego dziadek i ojciec pracowali w fabryce GM. W filmie Moore ściga Rogera Smitha, szefa koncernu, odpowiedzialnego za zwolnienie z pracy około 30 tysięcy mieszkańców Flint. Chociaż Smith nie udzielił mu odpowiedzi na pytanie, dlaczego zamknął fabryki, mówiły to fakty: chodziło o zyski, więcej zysków.

GEST ROBIN HOODA

Reżyser ma też skłonność do melodramatycznych gestów w stylu Robin Hooda. W filmie „The Big One” podejmującym problem

wielkich korporacji Moore spotkał się z jednym z szefów firmy Nike. Chciał wręczyć mu swoją prywatną nagrodę mieszącą – olbrzymi czek na 80 centów (bo tyle wynosi godzinowe wynagrodzenie w Meksyku). Gdy wydobył od biznesmena informację, że Nike korzysta z pracy indonezyjskich dzieci, zaproponował, że ją zatai, jeśli koncern wybuduje fabrykę we... Flint. Odpowiedź była odmowna.

Moore zaproponował więc zdziwionemu dyrektorowi wysłanie „stópki” – jeśli wygra szef Nike, Moore będzie musiał wpłacić czek na cele charytatywne, a jeśli wygra filmowiec – Nike wybuduje rzeczony fabrykę. Po nakręceniu materiału Nike pertraktowała z Moore'em, żeby nie prezentował szkodliwych dla niej informacji. Bez skutku.

Jedno jest pewne – filmowiec Michael Moore umie zrobić z człowieka dumia. Od przemysłowca zarządzającego zlikwidowaną fabryką słodczy uzyskał wypowiedź, że fabrykę zamknęto, ponieważ... przyniosła krociowe zyski umożliwiające reorganizację firmy. „Czyli gdyby pracownicy obijali się, to nadal mieliby pracę?” – zapytał Moore. Odpowiedź była twierdząca.

KRĘGLE PRZYCZYNA AGRESJI

20 kwietnia 1999 r. uczniowie Eric Harris i Dylan Klebold ze szkoły Columbia High w miasteczku Littleton urządzili masakrę, zabijając strzałami z karabinów kilkunastu innych uczniów. Narzędzia zbrodni zakupili bez kłopotów przez Internet. Sprawa wywołała debatę na temat przemocy i jej związków z amerykańskim prawem do posiadania broni.

W nagrodzonym Oscarem i Złotą Palmą w Cannes filmie „Zabawy z bronią” Moore próbuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Amerykanie tak często zabijają się nawzajem za pomocą broni palnej. Streszcza tu historię Ameryki w zło-

śliwej kreskówce utrzymanej w estetyce serialu „South Park”. Wynika z niej, że amerykańska przemoc ma źródła w paranoicznym strachu, którym prześlągnięta jest cała kultura. Potomkowie osadników zasiedlili Amerykę, ponieważ obawiali się tyranii i prześladowań. Teraz boją się Murzynów, komunistów i Arabów. To z powodu wrodzonego tchórzostwa Amerykanie domagają się prawa do posiadania broni, a konflikty rozwiązują za pomocą siły, strzelając do pracodawców, kolegów z biura i szkoły, współmałżonków, a także Irakijczyków.

Oryginalny tytuł „Bowling for Columbine” pochodzi od tego, że nastoletni mordercy

z Columbia High przed strzelaniną poszli grać w kręgle (ang. *bowling*). Dlatego Moore proponuje, z typową dla siebie ironią, by zarzucić oskarżać o tworzenie klimatu przemocy gry wideo, telewizję, Marilynę Mansona i rap-hop, oskarżyć... kręgle.

W najsłynniejszej scenie filmu Moore zakłada konto w banku i na miejscu otrzymuje – w ramach promocji – karabin wraz z amunicją. „Czy to nie jest aby niebezpieczne, pozwolić mi tak paradować z bronią w banku?” – pyta z uśmiechem obsługi banku.

CY BUSH JEST ANALFABETĄ?

Po 11 września 2001 r. Ameryka skonsolidowała się, a w społeczeństwie dominowała postawa patriotyczna. Właśnie miała się ukazać książka Moore'a „Stupid White Men”, ale wydawca, Random House, doszedł do wniosku, że jest zbyt radykalna. Kłopotliwy był rozdział krytykujący prezydenta USA, który właśnie wypracował sobie wizerunek męża opatrnościowego.

Autor nie zgodził się na wprowadzenie poprawek. Według Moore'a Random House nosi się nawet z zamiarem zniszczenia całego nakładu książki. Ostatecznie kampania marketingowa przeprowadzona w Internecie i oparcie udzielone Moore'owi przez czytelników oraz lobby bibliotekarzy umożliwiły ukazanie się książki w niezmięnionej wersji.

„Drogi George'u...” – zaczyna Moore drugi rozdział „Stupid White Men”. Czytamy w nim,

że to rodzinne koneksje, a nie zdolności i ciężka praca, pozwoliły Bushowi zasiąść w Gabinetie Ovalnym. W młodości obecny prezydent był alkoholikiem, aresztowano go nawet za jazdę po pijanemu, a mimo to został głową państwa. Wreszcie George jest domniemanym analfabetą, co bardzo niepokoi Moore'a. „Nie ma się czego wstydić, kłopoty z czytaniem mają miliony Amerykanów – pisze Moore. – Problem w tym, że jeśli masz kłopoty ze zrozumieniem skomplikowanych dokumentów, jakie dostajesz do podpisu jako Przywódca Większości Wolnego Świata, to czy możemy ci powierzyć na przykład nasze nuklearne tajemnice? Powiedz prawdę – kończy Moore – a przyjdę wieczorem poczytać ci do snu”.

Jednak najważniejszym argumentem przeciw Bushowi jest podejrzenie sądowego oszustwa, które miało zajść na Florydzie podczas decydującego etapu wyborów prezydenckich.

SĄSIAD MILIONERÓW

Podczas tegorocznych Oscarów, kilka dni po inwazji na Irak, odbierający statuetkę Moore publicznie oskarżył Busha o rozpętanie niesprawiedliwej wojny. – Jako dokumentaliści zajmujemy się prawdą, nie fikcją – mówił. – A żyjemy w świecie, gdzie wyniki wyborów to fikcja i powody, dla których ruszamy na wojnę, to też fikcja.

Zareagowały na to media. Nasiliły się oskarżenia Moore'a o oszołomstwo i manipulowa-

nie faktami. Polityczna komentatorka Debbie Schlusel pisze: „To Moore prowadzi fikcyjne życie”. Zarzuca Moore'owi, że pozuje na bohatera klasy robotniczej, a mieszka na Manhattanie w apartamencie za ponad milion dolarów (to Moore potwierdza: „Ci, którzy decydują o waszym życiu, są moimi sąsiadami” – pisze w „Stupid White Men”) i jeździ drogimi limuzynami (w rzeczywistości volkswagenem beetle).

I choć jego przemówienie na ceremonii oscarowej tygodnik „Time” nazwał głupotą, to Moore nie narzeka na brak fanów. Dzień po Oscarach widownia kinowa „Zabaw z bronią” w Ameryce się podwoiła. Jego „Stupid White Men” to najlepiej sprzedająca się książka *non-fiction* w USA. Jest też w czołówkach list bestsellerów w Niemczech i we Francji.

Czy zatem Moore to amerykańskie wcielenie Elżbiety Jaworowicz? Owszem, ale tak jak wszyscy w Stanach Zjednoczonych pracuje według sprawdzonej receptury: duży, dobrze zrealizowany show przede wszystkim. Do tego ma poczucie humoru.

WOJCIECH ZEMBATY, BACH

Film „Zabawy z bronią” wchodzi do polskich kin 12 września, wcześniej w telewizji Planete można zobaczyć cykl programów Moore'a „Brutalna prawda” (od 1 września) oraz filmy „Roger i ja” i „Michael Moore. People in the News” (oba 16 września).

Królikowski • Zamachowski • Olszówka

Ciało

W KINACH
OD 22 SIERPNIA

www.cialo.pl

PRODUCENT MARIUSZ ŁUKASIEWICZ, PRODUCENT WYKONAWCZY KOPRODUCENT AKSON STUDIO
SCENARIUSZ ANDRZEJ SZABAMONOWICZ, REŻYSERIA TOMASZ KONIECKI I ANDRZEJ SZABAMONOWICZ, ZDJEŚCIA TOMASZ MADEJSKI, MUZYKA PRWEŁ SKOPIŃSKI
WYSTEPIŁA: RAFAŁ KRÓLIKOWSKI, ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI, EDYTA OLSZÓWKA, TOMASZ KAROLAK, ROBERT WIECKIEWICZ, Cezary KOSIŃSKI
BRONISŁAW WROCŁAWSKI, MAJA HIRSCH, IZABELA KUWA, ERYKA KRAPIWIEKA, OLA RADWAŃKA, JACEK PIKUS, Cezary PIKUS, EDYTA JURGOWSKA
SCENOGRFIA I WYDZIAŁ BARBARA OSTAPCZYK, KOSTIUMY JAN KOSZCZUK, DŹWIĘK ANDRZEJ BONDAROWICZ, MONTAŻ JAROSŁAW BARZAN, KIEROWNICTWO PRODUKCJI PRWEŁ GABRYŚ

JOANNA GORZELIŃSKA

MONIKA

FIKA, WIĘC Z EKRANU ZNIKA

Nie wytrzymała, gdy dowiedziała się, że jej program decyzją szefów TVN trafił do TVN 24, która ma zaledwie jeden procent oglądalności. Składając rezygnację, Monika Olejnik powiedziała Mariuszowi Walterowi, że powinna była odejść już w zeszłym roku, po tym jak przesunięto jej „Kropkę” z 19.30 na późne godziny nocne.

– Zdarzało się, że robiła trzy wywiady jednego dnia: pierwszy rano, drugi o 15.00 w „Zetce”, kolejny w radiu o 17.00, a na koniec „Kropkę...” w TVN – opowiada jej kolega z Radia Zet. – Zastanawialiśmy się, jak to wytrzyma. Ale dla niej robienie wywiadów jest jak jazda samochodem lub chodzenie po ulicy – dodaje.

Przeciwnicy mówią o niej – za ostrą. Zarzucają jej napastliwy styl. Ale jedno przyznają wszyscy: ma dziennikarskiego nosa, gdy dzieje się coś ważnego, bohater sprawy jest u niej w studiu. To w jej programie podał się do dymisji minister Janusz Tomaszewski, kiedy okazało się, że jest oskarżony o współpracę ze służbami. Zamiast w Sejmie, gdzie ważyły się jego losy, siedział w studiu i udzielał Monice bardzo osobistego wywiadu. Gdy w Lesie Kabackim rozbił się samolot i Grzegorz Miecugow gnał do redakcji, żeby przygotować materiał, usłyszał w radiu: „Na miejscu katastrofy jest nasza reporterka Monika Olejnik”.

Dziennikarstwem zajęła się podczas studiów na zootechnice w warszawskiej SGGW. Zaczynała w redakcji rolnej Polskiego Radia, ale szybko przeniosła się do „Trójki”, gdzie została przez

18 lat. Robiła reportaże interwencyjne. Popularność przyniosły jej wywiady z politykami w „Salonie politycznym Trójki”. Od dwóch lat przygotowuje poranne rozmowy w Radiu Zet. Przez sześć lat prowadziła w TVN „Kropkę nad i”. Zdobyła wszystkie prestiżowe nagrody dziennikarskie, między innymi: Grand Press, Złoty Mikrofon i Superwiktora.

Przez bezkompromisowość i trudne pytania nie chcieli z nią rozmawiać prezydenci. – Kwaśniewski dwa i pół roku, a Wałęsa dwa lata – wspomina. Kiedyś, gdy w czasie audycji politycy nie dopuszczali jej do głosu, wstała ze słowami: „Panowie, ja wychodzę!”. Innym razem jej gość Leszek Miller nie chciał odpowiedzieć na pytanie – podziękowała mu za rozmowę i przerwała „Kropkę...” po kilku minutach. Poseł Unii Wolności Jerzy Wierchowicz powiedział kiedyś, że jednostką miary okrucieństwa kobiety wobec mężczyzny jest jeden olejnik.

Ważni rozmówcy często przed programem proszą ją, żeby o coś nie pytała. Jeden z premierów postawił warunek, że udzieli wywiadu, jeśli wcześniej pozna pierwsze pytanie. Usłyszał je tuż przed wejściem do studia: „Jak się pan czuje?”.

Chociaż słynie z nieprzeciętnej pamięci, ma słabość do zapisywania przed programem ważnych rzeczy na rękach. Numery telefonów przechowuje na stertach kartek, bez żadnego porządku alfabetycznego. I potrafi błyskawicznie spośród wielu kartek wygrzebać tę właściwą.

Nie zaśnie, dopóki nie jest w stu procentach przygotowana. Jak nie pracuje, wisi na telefonie.

Nie będzie już „Kropki nad i”!
MONIKA OLEJNIK odeszła z TVN. Miała dosyć kompromisów – w końcu przez sześć lat ciężko pracowała, by pozyskać widownię



Czyta wszystkie gazety, nawet w sobotę, kiedy mogłaby się wypaść. Czy teraz wreszcie się wyśpi?

Warszawka huczy, że Olejnik rozmawia już z Polsatem i telewizją publiczną. – Nie wyobrażam sobie, żebym poszła dzisiaj do prezesa Kwiatkowskiego i zapytała, czy przyjmie mnie do pracy – mówi dziennikarka. Bogusław Chrabota, dyrektor programowy telewizji Polsat, przyznał, że być może jego stacja rozmawia z Olejnik, ale on w tym nie uczestniczy. – Monika jest osobowością telewizyjną jak Oprah Winfrey. Każdy



Fot. Tomek Sikora

nadawca powinien się o nią bić i tyle – mówi. Zdaniem Roberta Kozyry, szefa Radia Zet, jej odejście z telewizji nie zmienia faktu, że Monika jest najlepszą polską dziennikarką i ma ogromny wpływ na życie polityczne w Polsce.

SZKLANA PUŁAPKA

JOANNA GORZELIŃSKA: Dlaczego odeszła pani z TVN?

MONIKA OLEJNIK: Nie zgodziłam się na przesunięcie „Kropki nad i” ze stacji ogólnopolskiej, jaką jest TVN, do stacji niszowej, jaką jest TVN 24. To dobra stacja, ale ja nie mam powodu tak drastycznie ograniczać mojej widowni. Nie mam też czasu czekać, że na przykład za dwa lata osiągnęłabym razem z całym kanałem TVN 24 oglądalność, którą już zbudowałam.

Czy łatwo było pani podjąć taką decyzję, otrzymując jednocześnie propozycję większych zarobków?

– Pieniądze to nie wszystko. Liczy się również szacunek dla mojej pracy i moich widzów. Przez sześć lat razem z widzami budowałam prestiż tej stacji. Dziś nie mogę powiedzieć tym, którzy mnie oglądają, że nie są dla mnie ważni, bo nie mają dostępu do kabla lub platformy cyfrowej.

Nie czuje się pani wykorzystana przez TVN?

– Fakty mówią same za siebie. Kilkakrotnie byłam traktowana przez kierownictwo TVN jak konik szachowy do sprawdzania różnych czasów antenowych. Największym wyzwaniem była walka o widownię „Wiadomości”. Mimo że konkurowałam o tę samą widownię, tych, którzy zainteresowani są polityką, wiele osób uważa, że „Kropka nad i” była jednym z ważniejszych i opiniotwórczych programów na polskim rynku telewizyjnym.

Teraz jednak pani program miał mniejszą oglądalność?

– Miał mniejszą, bo nadawany był grubo po godzinie 23, ale i tak miał lepszą oglądalność od „Monitora Wiadomości” nadawanego w podobnym czasie w publicznej „Jedynce” o wiele większym zasięgu.

Dlaczego szefowie TVN postanowili kolejny raz zmniejszyć widownię „Kropki...”, przesuwając ją do TVN 24?

– To dobre pytanie, ale raczej do nich. Siła „Kropki...” w TVN była podwójna, bo wzmacniały ją moje poranne rozmowy w Radiu Zet. Widać, że był to dobry pomysł, skoro telewizja publiczna, współpracując z publicznym radiem, skopiowała ten pomysł.

Kilka lat temu miała pani propozycję przejścia do telewizji publicznej?

– Trzy lata temu byłam już jedną nogą w telewizji publicznej, ale prezes Mariusz Walter przekonał mnie, że razem budujemy coś ważnego.

Nie będzie już „Kropki nad i”! Monika Olejnik zrezygnowała z pracy w TVN, gdy telewizja nie umieściła jej programu w nowej ramówce, tylko przeniosła go do TVN 24

W takim razie pozostaje pani Polsat?

– Ta decyzja jeszcze przede mną. Nie jestem w szklanej pułapce. Mam radio, które jest dla mnie bardzo ważne. Zawsze byłam człowiekiem radia. Moich codziennych wywiadów, teraz w Radiu Zet, słucha bardzo dużo ludzi i dla nich ważne jest tylko to, co mam do powiedzenia, a nie to, jak wyglądam. A wyglądałam całkiem nieźle. Nic złego w wakacje się ze mną nie stało. Nie jest również prawdą, że nie udało mi się operacja plastyczna i muszę się teraz ukrywać. To dotyczy innej z koleżanek, której bardzo współczuję.

Czy uważa pani, że przejście z „Trójki” do Radia Zet było słuszną decyzją?

– Myślę, że tak. „Trójka” się bardzo zmieniła i nie mogłabym uczestniczyć w robieniu z niej komercyjnego radia, w dodatku w stylu, który mi nie odpowiada.

A o Radiu Zet może pani teraz powiedzieć „moje radio”?

– Tak, to jest moje radio, ale zawsze będę miała sentyment do dawnej „Trójki” i do fanatycznych ludzi, z którymi ją robiłam. Pierwszą propozycję przejścia do Radia Zet dostałam jeszcze od Andrzeja Woyciechowskiego. Ale wtedy wiedziałam, że jesteśmy jak woda i ogień. Kuszono mnie kiedyś Radiem RMF FM, ale mój były szef Paweł Zegarłowicz stanął na głowie, by mnie zatrzymać.

Czy łatwiej być w Polsce politykiem, czy dziennikarzem?

– Mam wrażenie, że politycy są bardziej „solidarni” (szczególnie ci z SLD) niż dziennikarze.

Jakie jest pani zawodowe marzenie?

– Żeby środowisko dziennikarskie było fair wobec siebie.

Ma pani wizję siebie za 10 lat?

– Nie. Nigdy nie myślę tak perspektywicznie. Chciałabym mieć taką samą siłę oddziaływania na życie polityczne w Polsce jak prezydent Aleksander Kwaśniewski. Mam nadzieję, że Aleksander Kwaśniewski wywalczy dla swoich następców lepszą konstytucję z większymi uprawnieniami prezydentckimi.

Lubi pani władzę?

– Ja za władzą nie przepadam, ja władzę patrzę na ręce. Ale nigdy nie można mówić nigdy.

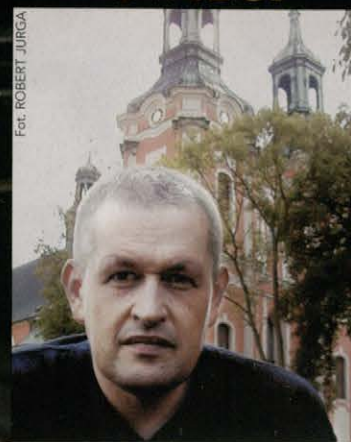
„Kropka nad i” miała najwyższą oglądalność

– 5,48 procent – w 2002 roku, gdy nadawana była w TVN o 19.30, tuż po „Faktach”. Przeniesioną na 23.20 w 2003 roku oglądało już trzykrotnie mniej widzów – 1,84 procent. Powtórki w TVN o 5.30 rano oraz o 20.15 w TVN 24 interesowały odpowiednio: 0,22 i 0,2 procent, czyli około 70 tysięcy osób.

Badania: AGB Polska

świecą lub spadają

ŚWIECI



**Cezary Zych
KIERUJE DAWNĄ**

**Marek Lechki
MOJE MIASTO
W MONTREALU**

„Moje miasto”, debiut fabularny Marka Lechkiego nakręcony w ramach cyklu „Pokolenie 2000”, zakwalifikowano do prestiżowego Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Toronto.

Film – poetycka opowieść o mieszkańcach pewnego bloku stojącego samotnie na skraju górnośląskiego miasta – w kraju zebrał już mnóstwo nagród. Na samym festiwalu w Gdyni w roku 2002 oprócz wyróżnień za scenariusz, muzykę i drugoplanową rolę kobiecą film otrzymał Nagrodę Specjalną Jury i Nagrodę Prezesa Zarządu Telewizji Polskiej. Rok później doszły wyróżnienia na festiwalach w Koszalinie, Tarnowie, Łagowie i Krakowie, gdzie młody reżyser dostał dyplom honorowy za „ciepłe spojrzenie na człowieka i jego tęsknoty”.

Marek Lechki ma 28 lat, pochodzi z Wołowa. Gdy nie udało mu się dostać do łódzkiej filmówki, uczył się we wrocławskim studium kształcenia animatorów kultury i bibliotekarzy. Wtedy zaczął kręcić pierwsze etiudy i krótkie filmy dokumentalne. Dopiero w 1998 roku rozpoczął studia na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego.

Festiwal w Toronto rozpoczyna się 4 września.

ŚWIECI

ŚWIECI



**Paweł
Dunin-Wąsowicz
DOBRY W KSIĄŻKACH**

Popularny warszawski dziennikarz, znany niegdyś z publikacji w „Machinie”, a ostatnio w „P”, został jednym z dyskutantów cotygodniowego programu telewizyjnego „Dobre książki”, zastępując w nim Witolda Beresia.

„Dunio” ma 36 lat. Skończył dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. Prowadzi wydawnictwo Lampa i Iskra Boża i drukuje nieregularny magazyn pod tym samym tytułem, pisze opowiadania. Jak dotąd jego największym odkryciem jest Dorota Masłowska, a „Wojna polsko-ruska pod flagą białą-czerwoną” – pierwszym sukcesem wydawniczym.

Dzięki temu mógł kupić aparat cyfrowy. Ostatnio krąży po Warszawie i namiętnie robi zdjęcia. „Dunio” jest także gitarzystą oraz – niestety, jak mówią jego przyjaciele – wokalistą w zespole Meble. Bardzo lubi jeździć na rowerze, a w mieszkaniu utrzymuje legendarny już bałagan.

Ma słabość do złych książek i zapomnianych autorów. Świetnie zna się na komiksach. Stworzył „Widmową bibliotekę” – słownik książek urojonych, czyli tych nieistniejących, występujących jedynie w innych książkach.

SPADA



**Kamil Kuzera
WŚCIEKŁY I ROZBITY**

Skład piłkarskiego mistrza Polski uszczupli się prawdopodobnie o jednego zawodnika. Obrońca Wisły Kraków będzie teraz sam potrzebował dobrego obrońcy.

W nocy z 14 na 15 sierpnia po zakrapianej imprezie piłkarze postanowili poszaleć samochodami po mieście. Kamil Kuzera prowadził renault mégane należące do bramkarza Michała Wróbla. W pewnym momencie Kuzera przestał panować nad pojazdem i uderzył w słup, potracając klubowego kolegę Huberta Skrzekowskiego. Zostawił rannego bez pomocy i uciekł. Policja podejrzewa, że był pijany.

Kamil Kuzera ma 20 lat. Trener Kasperczak miał z nim kłopoty już w zeszłym sezonie, gdy piłkarz złamał w bójkę rękę, za co w rundzie jesiennej został odsunięty od gry. Tym razem trener zapowiada definitywne usunięcie Kuzery z klubu. Na dodatek okazało się, że piłkarz niedawno stracił prawo jazdy za przekroczenie limitu punktów karnych. Kuzerę przed kilkoma dniami usunięto z młodzieżowej reprezentacji Polski. Teraz za spowodowanie wypadku i zostawienie rannego bez pomocy grozi mu nawet 10 lat więzienia.

Krew mnie nie interesuje

MARCEL ANDINO VELEZ

Przez 50 lat fotografował ludzkie tragedie. Robił to dla żadnej krwi meksykańskiej prasy brukowej. Ale zamiast taniej sensacji dostarczał tłumom dzieła sztuki. Dziś zdjęcia **ENRIQUE METINIDESA** podbijają światowe galerie

Wystudiowane, zakomponowane,
z fantastycznym światłem. Trudno
uwierzyć, że to nie filmowe fotosy



Powyżej: Adela Legarreta Rivas śmiertelnie potracona przez białego datsuna, aleja Chapultepec, kwiecień 1979 rok

Obok: 45-letni Antonio N. próbuje popełnić samobójstwo, skacząc z korony stadionu Toreo, 1971 rok

Na karteczce widnieje napis: „Adeli Legarreta Rivas nie udało się przejść przez ulicę. Była niedziela, 24 kwietnia 1979 r. Zginęła zmiażdżona przez białego datsuna. Aleja Chapultepec, róg Monterrey”. Nigdy nie dowiemy się niczego więcej o tej wytwornej, jasnowłosej kobiecie. Wiemy, że tego dnia starannie ułożyła fryzurę, nałożyła makijaż, zapięła na przegubie drogą złotą bransoletę, włożyła sz-

kowną sukienkę i wyszła z domu. Czy na ruchliwą aleję Chapultepec weszła zbyt zamyślona, by zauważyć niebezpieczeństwo? Nie wiemy. Wiemy tylko, że Adela Legarreta Rivas nie doszła tam, dokąd chciała dojść. Ile razy w życiu przechodziła przez Chapultepec? Kilkaaset, tysiąc, kilka tysięcy razy? Nie mogła wiedzieć, że teraz się nie uda. Że za chwilę na jej martwą twarz skieruje obiektyw aparatu Enrique Metinides.

Karteczki z oschłymi opisami zdarzeń towarzyszą niektórym zdjęciom Metinidesa, meksykańskiego fotoreportera, któremu poświęcono wystawę w londyńskiej Photographers' Gallery, czynną do 14 września. To już drugi pokaz zdjęć Enrique Metinidesa w Londynie. Rok wcześniej miała meksykańska galeria Kuri-manzutto pokazała je w Królewskiej Akademii Sztuki na wystawie prezentującej 15 galerii z najdalszych zakątków świata.

Zdjęcia Metinidesa wprawiły w osłupienie asystenta Henri Cartier-Bressona. Kupił kilka odbitek. Gdy pokazał je Cartier-Bressonowi, sędziwy mistrz nie mógł wyjść z podziwu. Mario Testino, czołowy fotograf mody, wykupił połowę zdjęć pokazanych w Akademii. Tak zaczęła się światowa kariera Enrique Metinidesa.

Jego prace zachwyciły też trójkę młodych kuratorów z warszawskiej Fundacji Galerii

Foksal, którzy w lipcu tego roku organizowali w Cieszynie wystawę „Ukryte w słońcu”. Wystawa towarzyszyła festiwalowi ambitnego kina odbywającemu się w mieście po raz trzeci. Joanna Mytkowska, Andrzej Przywara i Adam Szymczyk chcieli pokazać widzom festiwalu sztukę, która podważa nasze zaufanie do filmowej rzeczywistości. Dlaczego pokazali w Cieszynie zdjęcia Metinidesa? – One są jak kadry z filmu. Wystudiowane, precyzyjnie zakomponowane, z fantastycznym światłem. Patrząc na nie, trudno uwierzyć, że to się wydarzyło naprawdę. Widzowie myślą, że to tylko statysci, że krew jest sztuczna – odpowiada Andrzej Przywara.

TO PIĘKNE

Płytkę zawierającą kilkadziesiąt zdjęć przysłali do redakcji „Przekroju”. Oglądaliśmy je w grupie. Gdy na ekranie komputera ukazała się Ade-

Po prawej:
Zdjęcie
zatyłowane
przez Metinidesa
„Śniąc o garbusie”

Poniżej:
Wypadek na szosie
Meksyk-Querétaro,
maj 1961 rok



Metinides miał 12 lat, gdy opublikowano jego pierwsze zdjęcie w dzienniku „La Prensa”



„Prosimy do środka”
– tytuł tego zdjęcia
pochodzi od napisu
na drzwiach restauracji,
do której wjechał
chevrolet, lata 60.

la Legarreta Rivas, ktoś przechodzący obok, nie wiedząc, co to za zdjęcia, rzucił: – Ale piękne!

Zawstydziliśmy się. Dziś tak upozowane modelki reklamują biżuterię czy lakier do włosów w czołowych pismach poświęconych modzie.

– Wiesz, ale to jest PRAWDZIWE zdjęcie z wypadku. Ona nie żyje – ktoś próbował zagadać pełną konsternacji ciszę, która zapadła po słowie „piękne”. Trudno było się przyznać, że nas wszystkich zafascynowała prawda i piękno tych zdjęć. Patrzyliśmy zażenowani, jakbyśmy wszyscy ulegli przyzwyczajeniu, że piękno może być tylko łatwe i przyjemne, a cierpienie odrażające i okrutne. Tymczasem zdjęcia 69-letniego Enrique Metinidesa, niewysokiego, niezgrabnego człowieczka o rozbieganych oczach, noszącego niemodne garnitury, przywracają cierpieniu należną mu szlachetną formę. Niczym wielka sztuka minionych stuleci zdjęcia Metinidesa o dramacie ludzkiego istnienia mówią językiem piękna.

BROWNIE JUNIOR

Światowa kariera Metinidesa zaczęła się w momencie, gdy sam fotograf uznał, że czas na spoczynek. Od 1993 roku wiecie spokojny żywot emeryta, fotografując tylko w chwilach,

gdy tęsknota za zawodem chwyta go mocniej niż dolegliwości po przeżytym zawale.

Ale w Meksyku jego sława zaczęła się o wiele wcześniej. W zasadzie towarzyszyła Metinidesowi od pierwszego zdjęcia, które kupił od niego popularny dziennik „La Prensa”. Był rok 1946, Metinides miał niespełna 12 lat, a prosty aparat Brownie Junior otrzymał od ojca kilka miesięcy wcześniej. Co sfotografował mały Enrique jako pierwsze? – Po San Cosme jeździły tramwaje. By samochody nie wpadały na ludzi czekających na przystanku, zbudowano tam takie betonowe słupki. Codziennie wpadały na nie auta, a ja codziennie je fotografowałem – opowiada. Tak już zostało. Syn greckich emigrantów spędzał większość czasu z rówieśnikami, buszując po śródmiejskich ulicach meksykańskiej metropolii. Rodzice byli zajęci prowadzeniem sklepu fotograficznego, a syn biegał po mieście i pstrykał każdą napotkaną stłuczkę, każdego potrąconego przechodnia.

Najpierw jego pstrykaniem zainteresowali się policjanci z dzielnicowego posterunku. – Smyku, jak lubisz fotografować żelastwo, to jedź z nami na policyjny parking, gdzie zwożą wraki z całego miasta – miał podobno zagadnąć Metinidesa jeden z nich. Chłopak oczywiście

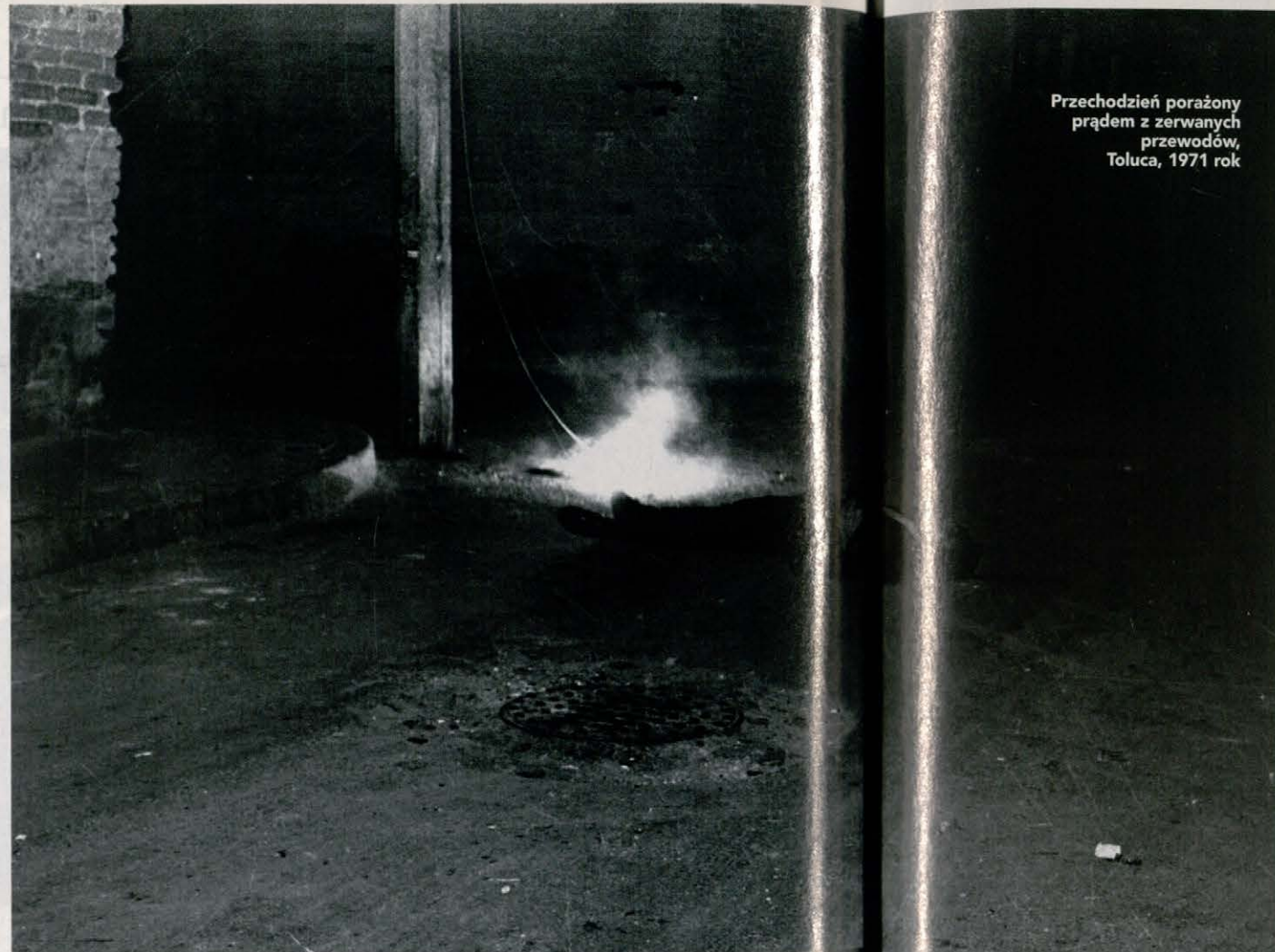
pojechał. Nie przypuszczał pewnie, że przyjdzie mu jeździć samochodami na sygnale przez następne 50 lat. Bo Metinides zawsze był pierwszy na miejscu wypadku. Przed innymi fotoreporterami. Zawsze znajdowało się dla niego miejsce w policyjnym radiowozie, w karetce pogotowia czy w wozie strażackim. 12-latką łatwo było zabrać na akcję, łatwiej niż obcego dorosłego. A Metinides szybko stał się maskotką wszystkich służb meksykańskiej stolicy. Nazwali go „el Niño” – „Dziecko”. Meksykańskie media do dziś piszą o nim Enrique „el Niño” Metinides.

12-latek na należącej do ojca maszynie do pisania wystukał sobie kilkadziesiąt razy: „Enrique Metinides, fotoreporter, telefon...” i te swoje wizytówki poroznosił po restauracjach, barach, sklepach i warsztatach w okolicy. Raz zadzwonił telefon. To był piekarz z pobliskiej cukierni: „Mały! Mamy tu pożądaną kraksę” – i Metinides przybiegł z aparatem, zanim dojechał na miejsce sławny wówczas fotoreporter z „La Prensya” Antonio Velazquez. To on poprosił smarkacza, by udostępnił swoje zdjęcia. Tak Metinides znalazł się na pierwszej stronie popularnego dziennika.

SMAK ŚMIERCI

„Kobieta oplakuje swego narzeczonego zaszytowanego przez rabusiów, którym próbował stawić opór. Park Chapultepec, 1995” – to zdjęcie Metinides zrobił już jako „emeryt”. Dziś, obok portretu Adeli Lagaretta Rivas i zdjęcia chłopaka zmiażdżonego w czerwonym garbusie, ta para w parku wywołuje najbardziej kontrowersyjne skojarzenia. Luksusowe, grube od reklam magazyny kolorowe – „Vogue”, „The Face”, „I-D”, „Nylon” – pełne są takich fotografii. Przy tej płaczącej dziewczynie i leżącym w trawie chłopaku powinny być dopiski z nazwiskami projektantów ich ciuchów i adresami butików. Każde z tych pism ma swoją ideologię. Każde inaczej traktuje modę i kulturę masową. Ale wszystkie już dawno postawiły na cynizm. Sesje mody aranżowane na wzór wypadków mają być kpina z hipokryzji konsumentów XXI wieku kompletnie zobojętniałych na dostarczane przez media obrazy cierpienia. Niepotrafiących odróżnić filmowej i reklamowej fikcji od prawdy. TVN – serial o psychopatycznych mordercach, Polsat – film o seryjnym zabójcy, TVP – ulubiony przez widzów program „997”, w którym rekonstruuje się sceny prawdziwej przemocy i prawdziwych zabójstw. Miliony Polaków co wieczór nurzają się we krwi. Tak samo inni mieszkańcy globalnej wioski. To z nich kpią sesje mody stylizowane na zabójstwa.

Ale zdjęcia Enrique Metinidesa nie kpią z nikogo. Na tym polega ich wyższość nad dekadencją przewrotnością kontrowersyjnych sesji mody. Przeznaczeniem zdjęć Metinidesa od początku była meksykańska *nota roja* – „prasa czerwona”. Nie chodzi tu



Przechodzień porażony prądem z zerwanych przewodów, Toluca, 1971 rok



Kobieta uratowana z katastrofy kolejowej zasnęła na kozetce centralnego oddziału stołecznego pogotowia Czerwonego Krzyża, 1967 rok

o lewicowe poglądy, lecz o upodobanie do krwawych historii i krwawych zdjęć.

Meksykańska prasa brukowa od początku swego istnienia zdecydowanie bardziej lubowała się we krwi i występku niż w plotkach o gwiazdach i zdjęciach dokumentujących ich bulwersujący styl życia. Tu nikomu nie zależało na artystycznych niuansach. Zdjęcia miały być dosłowne i przerażające. Tymczasem, choć trudno w to uwierzyć, na zdjęciach Metinidesa praktycznie nie ma krwi. – Krew mnie nie interesuje, interesuje mnie dramat, jakim jest życie – mówi Metinides. I opowiada, jakich metod używał, by po dotarciu na miejsce zdarzenia znaleźć zadowalający go kadr. Zadowolający, czyli taki, który nie odrze ofiary z jej godności. Który nie pokaże rozbrzyskanej krwi. – Najważniejsza myśl, jaka kotłuje mi się w głowie, gdy robię zdjęcia, to rodzina ofiary. Ta rodzina nazajutrz kupi gazetę z moim zdjęciem. Nie mogę ich zawieść. Jednocześnie chcę, by każdy, kto rano spojrzy na gazetę, poczuł to wzruszenie, które ja odczuwam, obcując z ludźmi, którzy przed chwilą stracili życie – mówi Metinides.

„Chciałem poczuć smak śmierci. Antonio N. 45 lat. Korona stadionu Toreo, Meksyk, 25 maja 1971” – tyle głosi karteczka przy trzech niesamowitych czarno-białych zdjęciach, jednych

Rodzina ofiary nazajutrz kupi gazetę z moim zdjęciem. Nie mogę tym ludziom sprawiać zawodu

z najbardziej przejmujących dzieł Metinidesa. Ażurowa stalowa konstrukcja. Na niej cienie trzech sylwetek odcinające się od zachmurzonego nieba. Krytyk amerykańskiego „Art Forum” napisał, że gest niedoszłego samobójcy kojarzy mu się z gestem Adama z fresku Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Tam Adam przyjmuje dar życia z wyciągniętej przez Boga ręki. Tu zdesperowany człowiek odrzuca dar życia z ręki ratownika. Wstrząsające porównanie, ale artystyczna siła tryptyku Metinidesa wytrzymuje taką analogię. Gdyby Metinidesa interesowała krew, gdyby był po prostu fotoreporterem z brukowca, tych trzech zdjęć nikt by nie zobaczył. Jako nieudane – przecież nie ma na nich trupa ani sensacji – wyrzuciłby je do kosza.

DOMOWA KOLEKCJA

Metinides jest samoukiem. Przyznaje, że wielki wpływ wywarły na niego amerykańskie filmy sensacyjne, które oglądał we wszystkich wolnych chwilach dzieciństwa i młodości. Więc to prawda – wiele zdjęć Metinidesa ma swój pierwowzór w filmowej fikcji. Uwielbiał filmy *noir*. One i ulica meksykańskiej metropolii to jego jedyna szkoła.

Odkąd zadebiutował jako fotoreporter, mocne życie nie wypuściło go ze swych kleszczy. Jako nastolatek poznał mroki stołecznych kostnic, w wielkim areszcie w dzielnicy Lecumberri obcował z najpotworniejszymi zbrodniarzami. Młodego fotografa obdarzył sympatią nawet najsłynniejszy morderca Meksyku „Sapo” (Ropuch), zabójca 136 osób na wolności i sześciu w zakładzie karnym.

Od najmłodszych lat Metinides należał do Czerwonego Krzyża i miał stałe miejsce w karetkach pogotowia. Nikt nie oczekiwał od niego, że na miejscu będzie się zajmował ratowaniem ofiar. Ale zrobiwszy swoje, Metinides nie gnał do redakcji, lecz zawsze włączał się do akcji. Kosztowało go to siedem złamań kości, kilkanaście oparzeń, w tym kilka poważnych, obrażenia czaszki. Fotografując pracę ratowników Czerwonego Krzyża, dostał zawału.

Nagle okazało się, że „el Niño” nie może więcej tak żyć. Że musi się oszczędzać. Że niepostrzeżenie się zestarzał. Nie miał czasu zbudować życia osobistego. Nie miał okazji pożyć czymś innym niż morderstwa, wypadki, eksplozje, kłeski żywiołowe. Jego małe mieszkanko wypełnia dziś kolekcja trzech tysięcy miniaturowych pojazdów policyjnych i wszystkich służb ratowniczych. Do tego

wielkie dossier zdjęć. Nie tylko własnych. Pilnie wycina z gazet i segreguje zdjęcia wszystkich katastrof. Na ścianach zawiesił kilkanaście płaskich ekranów telewizyjnych, na których cały czas śledzi doniesienia kanałów informacyjnych ze świata. Jeden ekran pokazuje obraz z kamery, która rejestruje, co dzieje się za oknem. Przy łóżku niewyłączany od lat odbiornik radiowy ustawiony na częstotliwość policyjną. Obok fotel, na którym tak jak kiedyś czeka koszula, spodnie i aparat z nawiniętym filmem.

Dziś już Metinides nie wybiega z domu, usłyszawszy wieść o nieszczęściu. Żałuje tylko jednego – że nie był na Manhattanie 11 września 2001 r. Ma całą dokumentację tamtego dnia. Zdjęcia, taśmy, wycinki.

Ktoś, kto tysiące razy patrzył w niewidzące oczy trupów, nie może już o tym zapomnieć. Enrique Metinides przeżył życie w krainie cienia. Nie może jej na starość opuścić i udać się na słoneczną emeryturę. Zbyt wiele zobaczył po tamtej stronie.

MARCEL ANDINO VELEZ

Zdjęcia dzięki uprzejmości galerii Kurimanzutto, Meksyk



Christian Holl, francuski kompozytor i łowca dźwięków, za pomocą drewnianych młotków przekształcił wapienne skały na Madagaskarze w zestaw grających gongów

WSZYSTKO JEST MUZYKĄ

W długie zimowe wieczory można nie tylko oglądać zdjęcia z wakacji, lecz także posłuchać wakacyjnych odgłosów. Jeśli oczywiście wcześniej pomyśleliśmy o ich zarejestrowaniu i przetworzeniu na dźwiękowy pejzaż

Na północy Madagaskaru, w rzadko odwiedzanej przez ludzi krainie Tsinghy, francuski kompozytor Christian Holl znalazł naturalny instrument muzyczny. W promieniu wielu metrów kwadratowych rozciągają się wapienne skały o kształcie ostrych igieł, niektóre z nich mają ponad 50 metrów wysokości. Układ terenu przypomina dywan nabity wielkimi gwoździami. Holl zainstalował wśród skał czule mikrofony kontaktowe. Czubki wapiennych igieł

mają różną grubość i uderzając w nie drewnianym młotkiem, można wydobyć całą gamę dźwięków. Z tych odgłosów, zmiksowanych później na przenośnym sprzęcie komputerowym, powstaje muzyka.

Christian Holl od dziecka komponował, śpiewał, nagrywał płyty. Tworzył tradycyjną muzykę do filmów dokumentalnych, fabularnych i do reklam. Cztery lata temu poważnie zachorował. Walka z nowotworem okazała się

KONRAD DULKOWSKI
FOT. DEMANGE FRANCIS/GAMMA/BE&W

doświadczeniem inicjacyjnym. Usłyszał – jak opowiada – szmery życia. Zaczął je zbierać i tworzyć z nich muzykę.

– Pewnego dnia w Nepalu, tuż przed wschodem słońca, jechałem na słońcu. Kornak powożący słońcem uderzał w mijane drzewa, żeby odstraszyć tygrysy. Wpadłem na pomysł, by dodać rezonujący dźwięk odbijanych gałęzi do utworu, nad którym pracowałem. Nigdy nie zapomnę tamtego doświadczenia – wspomina.

MUZYKANCY BEZ PAPIERÓW

– Wszystko może stać się dźwiękiem: podmuch wiatru wśród liści, winorośl pnąca się po pniu drzewa, kropla wody odbita od kałuży – przekonuje Holl. W dodatku taką muzykę może tworzyć każdy. Dzięki upowszechnieniu coraz bardziej wyrafinowanej techniki *fieldrecording*, czyli nagrywanie i przetwarzanie odgłosów otoczenia, stał się hobby wielu osób, niekoniecznie zawodowych muzyków – tak jak wielu ludzi robi pamiątkowe zdjęcia z wakacji, chociaż nie marzy o karierze zawodowego fotografa.

Podróżnik Bartek Pogoda zarówno fotografuje, jak i rejestruje brzmienie odległych zakątków świata. Minidisc, do tego najprostszy mikrofon stereofoniczny i w jego kawalerce na warszawskiej Pradze rozbrzmiewa gwar targowiska w Rio de Janeiro, śpiew muezina z Maroka czy mówiąca po hiszpańsku papuga, którą spotkał na jednej z wysp u brzegów Ameryki Południowej.

Kilkaset złotych wystarczy na kupno amatorskiego sprzętu do nagrywania. Do tego mikrofon, najlepiej stereofoniczny. I słuchawki. Tak zaopatrzeni możemy wyruszyć na połów dźwięków.

Potem przychodzi czas na montaż nagrań. Dzisiaj możliwości techniczne przeciętnego domowego peceta biją na głowę to, co mieli do dyspozycji pionierzy muzyki konkretnej.

Uważa się, że miejscem narodzin muzyki bez instrumentów był Paryż. W roku 1948 Pierre Schaeffer stworzył tam „Etiudę na kole” wykorzystującą odgłosy pociągów jako instrumenty muzyczne. Nagrania dokonano jeszcze na płycie ceramicznej. Magnetofon co prawda wynaleziono już w roku 1936, ale jego konstruktorzy – Niemcy – zazdrośnie strzegli tajemnicy budowy. I to właśnie oni pierwsi tworzyli w sposób, którego odkrycie przypisuje się Schaefferowi. Niemiecki kompozytor i filmowiec Walter Ruttmann nagrał 11-minutowy „film dla uszu” pod tytułem „Weekend”. Zaczynał się dźwiękami kuranta obwieszczającego fajrant, potem słyszał było wyjazd za miasto, piknik.

Mimo że od nagrania pierwszych dzieł muzyki konkretnej minęło już ponad pół wieku, nadal wielu ekspertów odmawia jej statusu muzyki jako takiej. Znaczący zawsze stawiali granice pomiędzy tym, co można w muzyce, a czego nie wolno. W muzyce kościelnej bardzo długo nie tolerowano trąb ani głosów kobiecych, a jeszcze w XIX wieku saksofon nie był uznawany za instrument muzyczny. Na polskich uczelniach zajęcia z muzyki konkretnej są rzadkością, a wielu specjalistom nadal przez gardło nie przechodzi, by „to” nazwać muzyką.

– Dostępność techniki sprawiła, że tworzyć może każdy, nie oglądając się na zdobyte certyfikaty, lecz jedy-

nie wykorzystując własną wrażliwość – mówi kompozytorka Lidia Zielińska. – Dla mnie to jest przepiękne.

NAGŁOŚNIĆ MRÓWKI

– Dźwięk jest nawet tam, gdzie wydawałoby się, że go nie ma – mówi Kamil Antosiewicz. Kamil, Patryk Zakrocki i Vion, czyli grupa EA, odkryli tę prostą prawdę kilka lat temu, podczas pobytu w Paryżu. Spacer po sklepach muzycznych, pełna torba płyt. Głód nowych brzmień i żadnego odtwarzacza. Usiedli na ławce w parku i spłynęło na nich olśnienie. Wystarczyło tylko zamknąć oczy i słuchać. Głosy bawiących się dzieci, rozmowy starszych ludzi w niezrozumiałym języku, przelatujące gołębie, odległy huk metropolii.

– Po godzinie czułem się tak, jakbym przesłuchiwał kilka naprawdę dobrych płyt – opowiada Kamil.

Po powrocie kupili podstawowy sprzęt do nagrań. Powstały pierwsze utwory. Niedługo potem można było posłuchać EA w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej. Improvizowali, puszczając każdy swoje nagrania, zmieniali je na żywo za pomocą elektronicznych przetworników. Z odgłosów ulicy powstawały muzyczne kolaże, zaskakujące, niepokojące.

– Można robić bardzo narracyjne rzeczy, jak film niemal – tłumaczy Patryk Zakrocki. – Przykładowo bierzemy odgłos zawiasów zamykanych drzwi. Każdy wie, że na końcu usłyszy trzaśnięcie, a my zamiast tego serwujemy mu na przykład odgłos spadającej kropli. To budzi percepcyjny zamęt, przyciąga uwagę, rodzi emocje. A o to właśnie chodzi w sztuce, prawda?

W warszawskiej kawalerce rozbrzmiewa gwar targowiska w Rio de Janeiro lub śpiew muezina z Maroka



Specjalnymi mikrofonami Christian Holl nagrywa szum wiatru i (poniżej) szelest liści, wśród których pełnie wąż. Amatorom wystarczy mniej wyrafinowany i dużo tańszy sprzęt

Kamil: – Zdawałoby się, że rośliny żyją w ciszy. Tymczasem można zbierać ładunki elektryczne z ich liści i przetwarzać je na dźwięki. Można nagłośnić życie mrówek i to brzmi naprawdę intrygująco.

Patryk stara się nagłośnić psa. Właścicielka patrzy osłupiała, jak do jej pupila zbliża się chłopak z mikrofonem. Czworonóg także nie dowierza i na wszelki wypadek szczeka, odskoczywszy na bezpieczną odległość. – Wszystko zepsuł, chciałem nagrać jego węszenie – narzeka Patryk.

CZYJE SĄ DŹWIĘKI?

Kolekcjonowanie dźwięków nie zawsze jest bezpieczne. Christian Holl stara się wyszukiwać na świecie naturalne, dzikie miejsca. Próbuje się wtopić, jeśli to tylko możliwe, w otoczenie. – W środkowej Afryce – opowiada – znalazłem się kiedyś w rozpaczliwej sytuacji. Siedziałem ukryty z mikrofonem wśród gałęzi drzewa, do którego podeszła gromada słoni. Zauważyły mnie, obwąchały. Nie okazałem lęku ani agresji. Poszły dalej.

W mieście na zbieraczy dźwięków czyhają inne pułapki. – Mnie wyrzucono z galerii handlowej – opowiada Vion. – Podobno trzeba mieć pozwolenie na

nagrywanie w sklepie. Na nic zdały się tłumaczenia, że chodzi mi tylko o efekt szumu przewalającego się tłum kupujących. – Czy właściciele galerii z powodu płacenia czynszu mają prawo własności do dźwięków, jakie tam się rozchodzą? – pyta retorycznie.

Nagrań muzyki konkretnej próżno szukać w sklepach muzycznych. W warszawskim empiku ekspedientka wskazuje półkę z muzyką relaksacyjną: odgłosy morza i deszczu od dżdżu po burzę zaprawione nijaką elektroniczną muzyczką. A gdzie nagrywane przez kilku zapaleńców głosy polskich ptaków? Gdzie bałtyckie foki szare uwiecznione na krążku przez Projekt Karpaty Magiczne? Gdzie twórczość wielu wybitnych przedstawicieli elektronicznej awangardy? Nie ma. Grupa EA rozpadła się, ale jej członkowie nadal tworzą na własną rękę. Gdzie są te nagrania? Na pewno nie na sklepowych półkach. Zamknięty obieg płyt wyznaczają entuzjaści zamawiający je przez Internet i jedna rodzima wytwórnia – Vivo Records.

Dlatego proszę nie liczyć na to, że dzięki wakacyjnym nagraniom staniecie się gwiazdami muzyki. Choćby to były wakacje na Madagaskarze.

KONRAD DULKOWSKI

DLA NARWAŃCÓW I WAPNIAKÓW

 Pływanie pontonem po górkim strumieniu? To dla wapniaków – uważają fani rozrywki o nazwie *hydrospeed*.

Hydrospeed polega na spływie dziką, wzburzoną rzeką na niewielkiej desce poliuretanowej. Deska ma specjalne uchwyty na ręce. Trzeba położyć się na niej na brzuchu, a nogi cały czas muszą pozostawać w wodzie. – Czulem się, jakbym za moment miał roztrzaskać się o skałę – opisał w Internecie jeden z hydrospeedowców. – A za chwilę leciałem głową prosto w przepaść.

– Ale adrenalinka! – zachwycił się jeden z jego wirtualnych rozmówców.

Wytrawny hydrospeedowiec powinien mieć na sobie piankę neoprenową, która chroni przed niskimi temperaturami, oraz neoprenowe buty i kask, bo przy spływie obicia i otarcia o skały są nieuniknione.

– Miałem siną całą lewą nogę. Ale odjazd – chwali się inny internetowy rozmówca. – Ale następnego dnia znów wleźłem na dechę.

Trzeba umieć pływać i mieć dobrą kondycję fizyczną. Instruktorzy tego sportu

nie radzą próbować go „białym kolnierzykiem”, którzy dopiero co wyrwali się z biurka.

W Polsce jedyną rzeką nadającą się do tego typu zabawy jest Dunajec, ale wielbiciele *hydrospeedu* polecają Austrię, Szwajcarię, Włochy i Słowenię.

Jeśli jednak ktoś nie czuje się na siłach rzucić się z głową prosto w nurt rzeki, pozostaje mu stary, wypróbowany *rafting*, czyli spływ pontonowy. Instruktorzy zalecają ubranie się w piankę i niepełny makalny skafander ze ściśle zapiętymi rękawami oraz kask. Żeby uchronić się przed śmiercią lub trwałym kalectwem, wielbiciele *raftingu* muszą mocno walczyć. Od siły ich rąk zależy, czy nie roztrzaskają się o skały lub czy ominą przepływające pnie zwalonych drzew.

W Polsce spływy raftingowe organizowane są na Dunajcu. Zabawa trwa przeciętnie cztery godziny. Fani tego sportu zaliczają trasę do łatwych. Najlepszą przygodę można przeżyć ich zdaniem w Wielkim Kanionie Kolorado. (saj)



Z MALOWANEJ SKRZYNI

 Najtrudniejszy jest oberek – wymaga, szczególnie od chłopów, krzepy, a od wszystkich zwinności, wprawy i poczucia rytmu. Ale są i łatwiejsze tańce – krzyżok, kontro, walczyk, kozak czy wiwat. Przy dźwiękach kapeli złożonej ze skrzypiec, bassetli, bębenków, dud, a czasem nawet barabana, nawet najbardziej sceptyczni i odporni na swojskie klimaty nie wytrzymują i ruszają w tany.

W stołecznym Muzeum Etnograficznym zakończyły się niedawno „Warsztaty tańców tradycyjnych z obszaru Polski Niższej” organizowane przez warszawski Dom Tańca. Domy Tańca działają w wielu miastach, próbując spod PRL-owskiego formalizmu odgrzebać zapomnianą radość autentycznej zabawy ludowej. Nie potrzeba haftowanych strojów ani szczególnych okazji, wystarczy chęć nauczenia się paru prostych kroków. Chociaż – jak się okazuje – najtrudniej jest przełamać psychiczny opór przed włączeniem się w korowód lub do kó-



leczka. Ale w tym akurat organizatorzy potrafią pomóc. Zatańczył nawet nasz fotoreporter, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru.

Bywalczy uważają, że najfajniejsze są imprezy świąteczne. Teatr Wiejski w Węglach koło Olsztyna próbuje reanimować zapomniane obrzędy wielkanocne czy bożonarodzeniowe. A w noc sobotkową nad jezioro w Węglach przyjeżdżają ludzie z teatru, przy pierwszych dźwiękach skrzypiec zbierają się miejscowi i przyjezdni. Która panna nie ma wianka, pędzi w pole zrywać kwiecie. Gdy zapada zmrok, każda dostaje świeczkę w specjalnym papierowym stateczku. Wtedy kawalerowie zostają z kapelą przy ognisku, a dziewczyny, śpiewając tradycyjną pieśń, idą na drugą stronę stawu. Tam puszczają wianki i wracają w korowodzie zwanym Kapustą na tańce i poczęstunek. Impreza trwa, dopóki muzyki dają radę. Ci, którzy byli, zgodnie twierdzą: tańce ludowe nie są do oglądania, ale do tańczenia! (kami)

GUZIK NOŻNY

 Dwie bramki (z poprzeczką i siatką, a jakże), precyzyjnie wytyczone boisko z autem, polem karnym i bramkowym, po 10 zawodników w polu i dwóch bramkarzy. Każda drużyna z wyraźnie wypisanymi nazwiskami graczy i emblematami klubu. Dziś na „stadionie” Andrzeja Leeds Utd. zmierzy się z Interem Mediolan.

Zawodnicy są jednakowego wzrostu – są zrobieni z kapsli. Bramkarze, lekko dociążeni monetami zatopionymi w plastelinie, tak jak reszta graczy noszą koszulki z godłem, nazwiskiem i numerem. Zasady gry są proste: dopóki piłka odbija się od zawodnika danej drużyny, jej właściciel ma prawo pstryku. Rolę piłki odgrywa biały dwutarczowy guzik od pościeli. Gdy w wyniku uderzeń i rykoszetów guzik wylądował wewnątrz

kapsla, mamy do czynienia z główką. W takim momencie gracz może nawet wjechać z piłką do bramki. Jeśli natomiast piłka osiądzie okrzemkiem na krawędzi kapsla, wiadomo – ręka. W takiej pozycji można tylko wybijać auty.

Wytrawni menedżerowie, czyli właściciele drużyn, tak potrafią pstryknąć swoim graczem, że ten przeskakuje (bez faulowania) zawodnika przeciwników i upada na piłkę, posyłając ją w pożądanym kierunku. Jedynym kapslem, którym można poruszyć poza właściwą kolejką, jest bramkarz. Mecz trwa 2x30 minut. Gra potrafi zjednoczyć mieszkańców obydwu końców osiedla, na co dzień zajadłe rywalizujących na prawdziwym boisku... (filo)



W warszawskim klubie Piekarnia na specjalnym torze wyścigowym kapsle są kolarzami

Nie wszystko jest tym, czym się zdaje

B A S E N

SWIMMING POOL

reżyseria **François OZON**

Ludivine SAGNIER
Charlotte RAMPLING



w kinach od 5 września
www.gutekfilm.com.pl



CD już w sprzedaży



Nic nam nie podarowała

Uprzejmie proszę o pilne zamieszczenie sprostowania (dotyczy nr 29/3030 z 20 VII 2003, artykułu Panów Macieja Tyśnickiego i Bartka Chacińskiego „Urodzin nie będzie”). Na s. 34. czytamy: „Gdy zwiedzała po raz pierwszy Filharmonię Krakowską, gdzie miały odbywać się obchody, zastała toalety w żenującym stanie. Wyremontowała je na własny koszt”. Pieniądze na remont sanitariatów dostaliśmy z Urzędu Wojewódzkiego Krakowa. Pani Elżbieta Penderecka nigdy nic nie podarowała Filharmonii Krakowskiej! Bardzo proszę o sprostowanie, w opinii niektórych krakowian stałam się niewdzięcznicą (od publikacji wyżej wymienionego artykułu), ponieważ nie podjęłam się odpowiedzialności finansowej i prawnej za festiwal K. Pendereckiego we wrześniu 2003. Propozycję otrzymałam 5 lipca 2002 r. Z poważaniem

DR ANNA OBERC,
dyrektor naczelny Filharmonii
im. K. Szymanowskiego
w Krakowie

Romek not so GUTek!

Ludzie dzwonią do mnie do biura i prywatnie, pytają się, dlaczego SOLOPAN nie reaguje na to, że Gutek w różnych wywiadach podpisuje się pod naszymi filmami. I rzeczywiście, pracownicy naszego biura pokazali mi wywiad w „Newsweeku” i najnowszym numerze „Przekroju” i pytają: „Jak można?”; albo Gutek coś tak przekręca, albo to dziennikarze tak „tryskają wiedzą”, tak czy inaczej coś mija się z faktami. Więc może dobrze by było pewne fakty podkreślić. Chyba wszyscy wiedzą, że to SOLOPAN 13 lat temu jako pierwszy w Europie Wschodniej niezależny dystrybutor zaczął działać w Polsce. Od 1991 roku ma na swoim koncie – nieszkromnie mówiąc, ale to fakt – więcej nagrodzonych: Złotymi Palmami, Oscarami, Lwami, Niedźwiedziami itd., filmów niż ktokolwiek w Polsce (coś, co oczywiście można sprawdzić). Każdy na pewno też pamięta, kto sprowadził do Polski film „Tańczący z wilkami”, i nie był to Roman Gutek. To, że w swoim czasie, kiedy wszyscy chcieli mi podstawić nogę, Ty się zgłosiłeś do mnie z pomocą w dystrybucji tego filmu – za co jestem Ci wdzięczny – ale to chyba nie powód, aby go przedstawiać jako Twój film w Polsce. Dowiaduję się także – wywiad z Tobą w „Newsweeku” – że to podobno Twoją zasługą jest, że polska widownia poznała Kusturicę. Przecież Ty nie byłeś dystrybutorem żadnego jego filmu! Czy też podobno masz wyłączność na filmy Lyncha

czy kogoś innego w Polsce. To ciekawe: akurat wszystkie filmy tego reżysera, które mi się podobały, jak: „Dzikość serca”, „Człowiek słoń” czy też „Głowa do wycierania”, to SOLOPAN rozpowszechniał w Polsce, a nie inny dystrybutor. Gdy chciałeś grać „moje” filmy na Twoim festiwalu w Cieszynie czy też wcześniej w Kazimierzu Dolnym, udostępniłem je Tobie, i to na bardzo preferencyjnych warunkach, ale to chyba nie znaczy, że to są filmy „Gutek Film”? Innym razem, gdy robiłeś przeglądy takich reżyserów, jak: Jim Jarmusch, Woody Allen, Gus Van Sant, Wim Wenders czy też David Lynch, to SOLOPAN udostępniał Tobie ich filmy, do których ja mam wyłączne prawa. Ktoś z mediów może tego czy tamtego nie wiedzieć, czy nie sprawdzić, ale Ty wiesz. (...) Świat się jednak nie kończy na Gutek Film; Von Trierze, Greenawayu i Kaurismakim, za którymi zresztą, jak wiesz, nie przepadam. Są tacy, których ja wolę, jak: Altman; Kusturica; Bertolucci; Loach; Zonca; Kitano; Campion, Joel & Ethan Coen i wiele, wiele innych, których to nie Ty sprowadziłeś do Polski. (...) Jeżeli w następnym wywiadzie, którego udzielisz w jakimś tam „A5” lub „Playgirl”, będziesz twierdził, że: „Underground”, „Fortepian”, „Gracz”, „Barton Fink”, „Hana-Bi”, „Festen”, „Truposz”, „Celebrity”, „Spaleni słońcem”, „Buena Vista Social Club” czy też „Cztery wesela i pogrzeb” – to twoje filmy tylko dlatego, że były między innymi grane w kinie

Muranów, to będziesz saczyć Jacka Danielsa SOLO w Wenecji, bo się jakiś tam PAN na Ciebie wkurwi. Pozdrawiam

JACEK SZUMLAS

Od redakcji

Na życzenie matki dziecka, którego zdjęcia zamieściliśmy w „Przekroju” w numerze 30., publikujemy niniejsze przeprosiny: „Przepraszamy dziecko, którego zdjęcia umieściliśmy bez zgody jego przedstawiciela ustawowego przy artykule Joanny Gorzelińskiej »Tresowanie do życia« w »Przekroju« nr 30/3031”.

Dostojna Panna Myszka

Dawno nie czytałem tak wspaniałego artykułu o Oldze Boznańskiej (nr 32 „Przekroju” z dnia 10 sierpnia br.). Zebrane przez autorkę fakty z życia „Panny Myszkę” są odkrywcze i mało znane. Artykuł połączony z licznymi reprodukcjami jest wart najwyższej pochwały. Kto obcuje z prawdziwą sztuką, nie musi sięgać do opracowań już lewicowych i nie wszystko donoszących z życia tak dostojnej malarki. Materiał ten w rażący sposób odbiega od pozostałych materiałów zamieszczanych w różnych pismach o naszych twórcach. Dalej trzymać się tego kursu, by pismo „Przekrój” stało się modne na cały nasz kraj. Tego życzy 70-letni stały czytelnik od czasów manifestu lipcowego wydania. Ad multos annos! Łączę wyrazy szacunku!

KAZIMIERZ BIBRZYCKI

„Przekrój”
wydaje polecenia
kulturalne

NADCHODZI CZARNA WOLNOŚĆ

Legendarne Black Uhuru to najbardziej popularna grupa drugiego pokolenia reggae. Ich nazwa pochodzi z języka angielskiego i suahili, w tłumaczeniu – Czarna Wolność. W 1984 roku jako pierwsi twórcy reggae sięgnęli po nagrodę Grammy, pokonując między innymi samego Boba Marleya. Dawali koncerty na całym świecie w towarzystwie takich grup, jak The Rolling Stones, The Clash, Talking Heads czy The Police. Przez redakcję prestiżowego magazynu „Rolling Stone” ich album „Red” został umieszczony na 24. miejscu na liście stu najlepszych albumów lat 80. Ich brzmienie ochrzczono mianem *cutting edge* (tnącego ostrza), za sprawą świetnej sekcji rytmicznej (tworzyli ją znani z własnych nagrań Sly Dunbar i Robbie Shakespeare). Czarna Wolność to również fenomenalne harmonie wokalne stworzone od lat pod okiem Duckiego Simpsona (na zdjęciu), który wielokrotnie zmienianym składem odnosił kolejne sukcesy. Dziś z nowym, energetyzującym wokalistą prowadzącym Andrew Beesem, wraz z muzykami, którzy wcześniej pracowali z takimi sławami, jak Gregory Isaacs, Tupac Shakur czy James Brown, Black Uhuru powraca – do Polski przyjadą na jeden koncert. Będzie można usłyszeć między innymi hity: „What is Life?”, „I Love King Selassie” czy „Emotional Slaughter”, znakomitą dawkę przedniego roots reggae. (BB)

BLACK UHURU, JOINT VENTURE SOUND SYSTEM
31.08., klub Proxima, Warszawa

Black Uhuru



CYBORG W AUSCHWITZ

Dla młodych polskich komiksarzy, autorów antologii „Wrzesień”, wojna nie jest już świętością – raczej pretekstem do uprawiania fantastyki

Ztematyką wojenną mierzą się autorzy, którzy tamten potworny czas mogą znać nawet nie z „drugiej”, ale raczej z „trzeciej ręki” – zapowiada we wstępie wyjątkowej antologii komiksowej „Wrzesień” jej 35-letni redaktor Tomasz Kołodziejczak. Prace jego rówieśników i „młodszych braci” otwierają nam oczy na to, jak bardzo zmieniło się od czasów „Klossa” postrzeganie historii.

Przyjaźń polsko-radziecka

W latach 70. – okresie rozkwitu polskiego komiksu – II wojna światowa była jednym z głównych – jeśli nie najczęstszych – tematów rodzimych opowieści obrazkowych. Oprócz komiksowych adaptacji telewizyjnych seriali „Stawka większa niż życie” i „Czterej pancerni i pies” ukazywał się cykl zeszytów „Podziemny front” poświęcony bohaterom Gwardii Ludowej, do wojennych wydarzeń nawiązywały często nowele drukowane w magazynie „Relax”. Oglądane dziś rażą nie tylko graficzną niechlujnością – naznaczone były piętnem prosowieckiej propagandy i główne ich zadanie polegało na utrwalaniu obowiązującej w PRL wersji historii.

O drukowanych w „Relaksie” komiksach wojennych pisał z ironią Stanisław Barańczak w drugoobiegowym KOR-owskim piśmie literackim „Zapis” – że jego ośmioletni syn nauczył się z nich „wielu ciekawych faktów z historii najnowszej”. „Komiks »Barykada na Woli« (dzieło zrodzone w wyraźnej męce twórczej przez rysownika nazwiskiem Parzydło) wpoi w umysł mojego malca przekonanie,

Poniżej: Kadry z „Blok nr 7” Piotra Kowalskiego



Po prawej: „Burza” Krzysztofa Gawronkiewicza wyróżnia się na tle całej antologii pod względem artystycznym



że wrześniowa obrona Warszawy była dziełem przede wszystkim klasy robotniczej, która wielkodusznie zawiesiła na ten czas akcje odwetowe wobec burżuazji” – kpił Barańczak w felietonie „Blurp” (tekst według zbioru „Książki Najgorsze”).

Wizja ułana-niedobitka

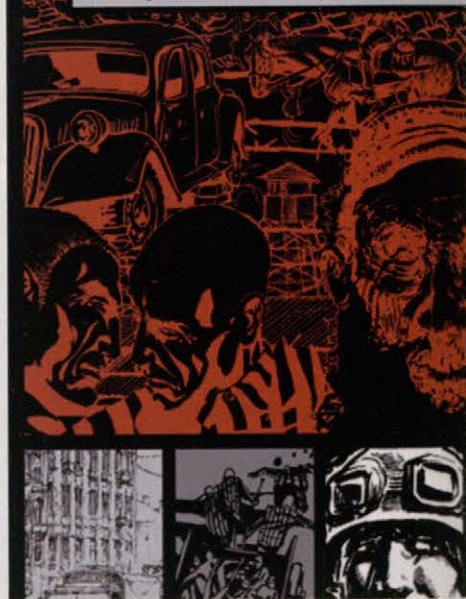
Chęć zapelnienia tych białych plam i odkłamywania wojny w komiksie pol-

skim wyraźnie pojawia się w kilku pracach spośród 17 zamieszczonych we „Wrześniu”. W „Pamięci” Jacka Kowalskiego i Davida Prescotta ułan-niedobitek obserwuje serdeczne powitanie wojsk hitlerowskich i sowieckich dzielących między siebie ziemie podbitej Rzeczypospolitej.

„Ucieczka anioła” rysowana przez Przemysława Trucińskiego do scenariusza samego Kołodziejczaka przed-

WRZESIEŃ

antologia komiksu polskiego
wojna narysowana



W „Ostatnim ułanie” Michalskiego do końca nie wiadomo, czy na czołgi szarżował zagubiony ułan, czy wampir



Po lewej: Nagradzana w Angoulême „Kaczka” Jacka Frąsia

Powyżej: Fragment „Burzy” Parowskiego i Gawronkiewicza

stawia AK-owskiego bohatera katowanego po wojnie przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa (nazwisko bohatera i scena samospalenia w celi to nawiązania do postaci XIX-wiecznego patrioty Karola Levittoux, który w ten sposób właśnie popełnił samobójstwo w Cytadeli Warszawskiej).

Także w stylizowanym nieco na mangę „Przebiściu” Ziuta (Wiesława Skupniewicza) bawiące się już po woj-

nie w powstanie dzieci oburzają się na aresztowanie przez UB jego bohaterów, których znają przecież osobiście.

Twórcze fałszowanie

Jeżeli jedni autorzy zajęli się odkłamywaniem historii, to druga – równie pokazna – grupa wzięła się do twórczego fałszowania. Wydarzenia wojenne stają dla nich się pretekstem do fantastycznych scenariuszy.

Oto w „Blok nr 7” Piotra Kowalskiego śledzimy losy schwytanego w ulicznej łapance niemowy, który trafił do obozu koncentracyjnego. W finałowej scenie tenże niemowa okazuje się cyborgiem, który zwyciężym w tytułowym bloku potwora żywiącego się ludzkim mięsem, dzięki czemu więźniowie mogą uwolnić się z obozu.

„Stille nacht” Pawła Miedzińskiego i Marcina Mielickiego opowiada o monstrancji, w której ukryto tkankę umożliwiającą sklonowanie Reichsführera SS.

Finezyjnie narysowana przez Krzysztofa Gawronkiewicza do scenariusza Macieja Parowskiego (redaktora naczelnego „Nowej Fantastyki”) „Burza” to typowa historia alternatywna, w której we wrześniu 1939 roku Niemcy zostali pokonani dzięki szybkiej akcji zachodnich aliantów, a przechadzający się rok później po niezniszczonej Warszawie Witkacy z Gombrowiczem snują przypuszczenia, co by się mogło zdarzyć w wypadku naszej klęski.

Wreszcie w „Kaczce” – noweli komiksowej nagrodzonej trzy lata temu na festiwalu we francuskim Angoulême – Jacek Frąs opowiada o uciekających warszawskimi podziemiami powstańcach, którzy napotykają tam Złotą Kaczkę. Nie dość, że nie otrzymują od niej żadnej pomocy, to zostają przez nią zadenuncjowani hitlerowcom!

Dystans 60 lat

„Blok nr 7”, „Stille nacht” i „Burza” to komiksy w warstwie graficznej realistyczne, Frąs zaś pokusił się na do-

datek o takie zniekształcenie swoich bohaterów, że przypominają bardziej kukielki z lalkowego teatryku niż ludzi. Wreszcie „Ostatni ułan” Jacka Michalskiego – rysowany ekspresjonistyczną manierą. Szturmujący niemiecki czołg polski kawalerzysta twarz odsłania dopiero po obrzuceniu go granatami – widzimy potworną maskę i nie wiemy, czy jest ona efektem ich wybuchu, czy też na czołgi szarżował nie ułan, lecz wampir!

Wyjawszy Parowskiego, wszyscy twórcy komiksów zebranych we „Wrześniu” to dwudziestoparo- i trzydziestoparolatowie. Dla coraz większej części z nich wojna przestaje być narodową świętością. 60-letni już dystans powoduje, że zaczyna zrównywać się z każdym innym pretekstem do uprawiania swoistej fantastyki. Aczkolwiek we „Wrześniu”, obok fantastyki, ciągle można znaleźć konwencjonalne historie o wojennym okrucieństwie i bohaterstwie – jak „Wieża” Orzona i Urbańskiego (o harcerzach broniących wieży spadochronowej) czy „Jej oczy” Nowakowskiego i Franzblaua (o komorach gazowych).

Czy Frąs czytał Mastertona?

„Wrzesień” to już druga w tym roku antologia nowego polskiego komiksu, co może świadczyć tylko o renesansie gatunku i docenieniu tego zjawiska przez wydawców. Choć wydany z mniejszym rozmachem (w przeważającej większości czarno-biały), zrozumiały tylko dla rodzimego czytelnika, album ten jest przedsięwzięciem bardziej uduchowionym niż opublikowana parę miesięcy temu antologia „Piekielne wizje”, w której młodzi polscy komiksarze z eksportowymi ambicjami adaptowali horrory brytyjskiego pisarza Grahama Mastertona.

Ale kiedy oglądałem jeszcze raz „Kaczkę” Frąsia, nie mogłem pozbyć się wrażenia paradoksu – że mogła mu w swoim czasie wpaść w ręce pewna powieść Mastertona właśnie, wzgardzona skądinąd przez twórców „Piekielnych wizji” – „Dziecko ciemności”. Traktuje ona bowiem o mutancie wyhodowanym w XIII wieku przez zakon tajemników, używanym przez Krzyżaków jako wunderwaffe pod Grunwaldem, zdobytym przez Jagiellę i zamurowanym w podziemiach Warszawy. W powieści Mastertona uwolnili tego potwora w 1944 roku przypadkowo właśnie AK-owcy...

PAWEŁ DUNIN-WASOWICZ

„WRZESIEŃ. WOJNA NARYSOWANA. ANTOLOGIA KOMIKSU POLSKIEGO”, red. Tomasz Kołodziejczak, Egmont Polska, Warszawa 2003

KRÓLESTWO ZA CEZARA



Georg Friedrich Haendel i człowiek, który idealnie zrozumiał jego intencje – Marc Minkowski

● Proszę się nie bać! 3,5-godzinna opera barokowa (można słuchać na raty) to rozkosz dla ucha. Ten „Juliusz Cezar” jest wart grzechu. I każdych pieniędzy

Już od pierwszych taktów wstępnej uwertury nowe nagranie Marca Minkowskiego paraliżuje. Dynamika i tempo akcji w połączeniu z perfekcją i całkowitą kontrolą wykonawczą sprawiają, że trzy i pół godziny spędzone z operą Haendla mija błyskawicznie, przynosząc rozrywkę na najwyższym poziomie. Minkowski, nie po raz pierwszy zresztą, odtworzył prawdziwy haendelski teatr – nakreślił wyraziste postacie, brawurowo przeprowadził intrygę, nie zapominając o pięknie partii wokalnych i eksplodującej orkiestrze.

Zapomniana opera

Historia „Juliusza Cezara”, najpopularniejszej opery Haendla, to ciąg paradoksów. Operę wykonano po raz pierwszy 20 lutego 1720 r. w King's Theatre w Londynie. Sukces był ogromny, zwłaszcza że w partiach antycznych kochanków wystąpiły największe ówczesne gwiazdy operowe – sopranistka Francesca Cuzzoni (Kleopatra) i kastrat, słynny alt koloraturowy Francesco Bernardi znany jako Senesino (Cezar).

W Londynie operę zagrano 38 razy. Po raz ostatni w XVIII wieku wystawiono ją w Hamburgu w 1737 roku, by ignorować ją przez dwa stulecia.

O genialnej operze przypomniano sobie dopiero w 1922 roku podczas festiwalu w Getyndze. Od tamtej pory „Juliusz Cezar” święcił tryumfy na wszystkich scenach operowych świata, choć zawsze w wersjach karykaturalnych, dalekich od historycznej prawdy. Po raz pierwszy po bożemu i w zgodzie z intencją kompozytora przedstawił operę René Jacobs, nagrywając ją w 1991 roku dla Harmonii Mundi. W minionej dekadzie, epoce renesansu oper Haendla, nikt nie porwał się na kolejną wersję jego arcydzieła. Nagranie Jacobsa budziło respekt, a pod wieloma względami pozostawało atrakcyjne.

Kto podniesie rękawicę?

Minkowski w nowej produkcji stawia poprzeczkę jeszcze wyżej. Jego „Cezar” – choć nie dyskwalifikuje nagrania Jacobsa – jest znacznie bardziej czarujący i lepszy wokalnie. Minkowski, podobnie jak Jacobs, obsadza główne partie śpiewaczkami, rezygnując z eksploatawanych głosów męskich (fałsystów). Jego solistki tworzą prawdziwy „dream team”. Cezara śpiewa reżyserka Marijana Mijanović, zaś Kleopatrze Magdalena Kožená, która odgrywa tutaj rolę życia. Rzymian reprezentują jeszcze dwie panie – Anne Sofie von Otter (porywający Sekstus) i Charlotte Hellekant (liryczna Kornelia). W roli Ptolemeusza świetny Bejun Mehta.

Muzycy z Luwru grają brawurowo. Minkowski potrafi zmobilizować zespół, utrzymać na najwyższych obrotach, wykrzesać charakterystyczny stan ciągłego napięcia. Ta wersja „Juliusza Cezara” została nagrana w listopadzie ubiegłego roku podczas dwóch koncertów w wiedeńskim Konzerthaus. Nie było ingerencji studia – żadnych dogrywek, nakładek, uzupełnień. Stuprocentowe nagranie live. Sto procent artystycznej normy. Ciekawe, kto i kiedy podniesie rękawicę rzuconą przez Minkowskiego?

JACEK HAWRYLUK

GEORG FRIEDRICH
HAENDEL,
„JULIUSZ CEZAR”,
SOLIŚCI, LES MUSIENS
DU LOUVRE,
DYR. MARC MINKOWSKI
ARCHIV/UNIVERSAL

Koncerty

● 29.08 WWO – Luban Śląski, Amfiteatr ● 29.08 Kult – Bielsko-Biała, Błonie ATH ● 30.08 Coolio (USA), Fenomen Pezet, Kasta, Mor W.A., Grammatik – Warszawa, Hala Expo XXI ● 30.08 Ost-Rock-Reggae Festival – m.in. Brygada Kryzys, Bakshi ● 30.08 Rei Ceballo & Calle Sol – Jazz na Starówce, Warszawa

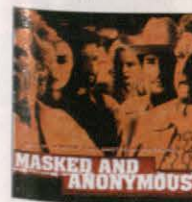
Gotan Project przywędrowali do nas wraz z rosnącą modą na fuzje elektroniki z rytмами z Ameryki Południowej, a także na składanki z elegancką muzyką do modnych lokali typu „Buddha-Bar”. Ta francusko-argentyńska grupa połączyła nowe klubowe brzmienia z tradycyjnym rytmem tanga. Odkurzyła i przywróciła muzyce popularnej bandoneon (odmiana akordeonu) i... zrobiła międzynarodową karierę. Świetnie przyjęto rok temu jej płytę „La Revancha del Tango”, na której gra własne utwory, ale też przetwarza motywy znane z kompozycji Astora Piazzolli czy Gata Barbieriego. A w listopadzie ubiegłego roku ściągnęła na koncert w klubie Stodoła tłum zainteresowanych. Sierpniowy występ w Sopocie zaprezentował ich z kolei szerszej, telewizyjnej publiczności. Teraz zagrają jeszcze oddzielny duży koncert w warszawskiej Sali Kongresowej – już 4 września. (BC)

TANGO W KONGRESOWEJ



BOB DYLAN I INNI
FROM THE MOTION PICTURE
„MASKED AND ANONYMOUS”
(SONY)

SŁABY FILM, DOBRE PIOSENKI



BOB DYLAN I INNI
FROM THE MOTION PICTURE
„MASKED AND ANONYMOUS”
(SONY)

Dla fanów Dylana nie ma wątpliwości: kupujemy. Choć z ośmiu piosenek mistrza tylko połowa trafiła z filmu na album. Resztę płyty wypełniają ekumeniczne (Szwecja, Włochy, USA...) wersje jego mniej i bardziej znanych utworów. Rozpoczynając płytę „My Back Pages” po japońsku to rodzynek wart całości. Rapowane „Like a Rolling Stone” po włosku dowodzi, że Dylan jest wiecznie inspirujący. Artysta jest w dobrej formie, żal tylko, że film (mimo gwiazd: Penélope Cruz, John Goodman, Jeff Bridges, Bob Dylan) okazał się kłęską.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Bilety na Placebo Cztery pierwsze osoby, które między 10.00 a 11.00 29 sierpnia zadzwonią do „Przekroju” pod numer

tel. (0-prefiks-22) 584-22-96, otrzymają bilet na koncert brytyjskiej grupy Placebo, która wystąpi 6 września na warszawskim Torwarze

SKOK W NISZĘ



RENI JUSIS
„TRANS MISJA”
Pomaton EMI

Na „Trans Misji” Reni Jusis objawia się jako fetyszystka starych syntezatorów

● Reni Jusis próbowała zdobyć sławę wśród mas, a zdobyła... szacunek koneserów

Czasem porażka dobrze robi. Większość osób, które znam, skreśliła Reni Jusis po jej pierwszych dwóch albumach jako „tę, której nigdy się nie uda”. To znaczy: nie uda się sukces sprzedażowy, bo są inne lepsze wokalistki, a nie uda się artystyczny, no bo przecież to muzyczna konfekcja. Nieprawda. Reni znalazła dla siebie niszę – styl. W tej chwili jedno można o niej powiedzieć z pewnością – na firmamencie polskich wokalistek jest tą najbardziej stylową. Dba o image i pilnie śledzi to, co się dzieje na Zachodzie, w modzie, ale również muzycznie. Dowodem był wtórny, choć nowoczesny trzeci album „Elektronika”, a w jeszcze większym stopniu jest nim nowa płyta „Trans Misja”.

To przede wszystkim zestaw świetnie dobranych, modnych elektronicznych brzmień retro. Chwilami rzecz przywodzi na myśl europejskie electro wzorowane na latach 80. (Peaches, Miss Kittin), a chwilami odnosi się do tego, co robiono na styku funku i hip-hopu 20 lat temu (Herbie Hancock, Grandmaster Flash). Jak dla mnie jest trochę za miękkie, za mało punkowego ognia, który decyduje o atrakcyjności odświeżonego electro w całej Europie. Ale pora docenić długą drogę, jaką przebyła Reni od schlebienia masowym gustom po skuteczniejsze próby dotarcia do klubowej publiczności. Tu nawet sama Reni odważnie chwyciła za syntezator.

BARTEK CHACIŃSKI

AMERYKA W POLSCE

Pierwszy raz mamy udział aż czwórki amerykańskich raperów i didżeja zza oceanu w polskim albumie. Zarazem to jedna z pierwszych w Polsce produkcji z kręgu turntablizmu, gatunku, który z gramofonu czyni instrument solowych popisów. Płyta wrocławskiego didżeja hiphopowego Kut-O to prawdziwa sensacja – w przeciwieństwie do innych gramofonowych szaleństw te nagrania, z „Talkin’ About” i „Nazis” na czele, mogą się spodobać szerszej publiczności. Tytuł wzięty ze starej płyty Komedii znów firmuje artystyczny sukces.

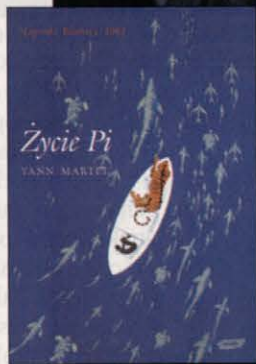
BARTEK CHACIŃSKI

KUT-O
„ASTIGMATIC”
(BLEND/ROCKERS)

OKO W OKO Z TYGRYSEM



FOT. TERENCE BYRNES



● Jak napisać zupełnie nieprawdopodobną historię tak, żeby wydawała się prawdziwa? **I jak stać się samcem superalfa, przed którym zwierzę pochyli głowę?** Po lekturze tej powieści inaczej spojrzycie w oczy swojemu kotu

YANN MARTEL
„ŻYCIE PI”,
PRZEL. ZBIGNIEW BATKO,
Znak, Kraków 2003

U mieszcę chłopca w łodzi z tygrysem – pomyślał Yann Martel. I tak powstała bestsellerowa powieść „Życie Pi”. Historia dość dziwnej pary dryfującej po Oceanie Spokojnym odniosła piorunujący sukces, sprzedano już ponad milion egzemplarzy. Powieść króluje na listach bestsellerów, a w zeszłym roku Martel otrzymał za nią nagrodę Bookera. Pi kojarzy nam się z „liczbą Pi” – tak sądził również bohater Martela, który nosił egzotyczne imię Piscine (koledzy

zwali go „Pisur”). Wymyślił więc sobie bezpieczny skrót – Pi. Skąd wziął się tygrys na łodzi? Tylko oni dwaj ocaleli z katastrofy statku. I ten wygłodniały tygrys, zwany Richardem Parkerem, nie zjadł chłopca przez niemal rok. Martel grzecznie zbadał obyczaje zwierząt. W londyńskim zoo na spotkaniu z dziennikarką „Guardiana” fachowo rozmawiał na temat diety dzikich zwierząt. Można mu więc chyba wierzyć, gdy pisze o zwyczajach tygrysa. Pi był synem właściciela zoo i znał się nieco na tresurze. Zwierzę

Yann Martel w dniach 13–19 września odwiedzi Warszawę, Łódź, Poznań, Wrocław i Kraków

ta potrzebuje hierarchii – zawsze musi wiedzieć, jaka jest ich pozycja wobec człowieka. Dlatego treser musi odprawić rytuał dominacji, trzeba na przykład patrzeć im bez lęku w oczy i wydawać przy tym przenikliwe dźwięki. W ten sposób człowiek ustawi się w pozycji samca superalfa, czyli najważniejszego w stadzie. Dobrze też, żeby oznaczył swój teren mocem. Wtedy wszystko między nim a zwierzęciem będzie jasne.

„Jezusie, Mario, Mahomecie, Włoznu, jak dobrze cię widzieć Richardzie Parkerze” – zakrzyknął Pi na widok tygrysa, który wdrapywał się na łódź. Pi nie był szczęśliwym Hindusem. Zamiast sportem, jak jego brat, Pi pasjonował się religią. Stał się jednocześnie chrześcijaninem, muzułmaninem i hinduistą. Jego ojciec, „świecił jak gałka lodów”, zupełnie zbaraniał, kiedy syn oznajmił mu, że chce się ochrzcić, i chce mieć też dywanik modlitewny – jak prawdziwy muzułmanin. Pi nie mógł zrozumieć oburzenia dorosłych. Przecież chrześcijanie to tacy muzułmanie bez turbanów, a islam zdał mu się po prostu „jogą dla beduinów”. Pewnego dnia przypadkowo spotkali się trzej duchowni przekonani, że Pi jest wiernym praktykującym ich religię. I każdy wyciągnął jeden palec w górę. – Tylko jedna droga jest prawdziwa! – zagrmie. A chłopiec myślał swoje. Dla niego nie było sprzeczności, religie mówiły o tym samym, choć za pomocą różnych historii. Na środku oceanu odprawił więc swoje połączone praktyki.

Powstała książka niezwykle, nie tylko ze względu na egzotycznego bohatera – tygrysa, jakby rodem z „Księgi dżungli” Kiplinga. Z „Życia Pi” promieniuje czysta siła opowieści. Martel, poszukując swojej historii, doszedł aż do religii. – Dobra religia jest jak dobra powieść – zawiesza naszą niewiarę – tłumaczy. Początkowo jego książka może wprowadzić w zakłopotanie. Księgarze i recenzenci wahali się, czy zaliczyć ją do książek o zwierzętach, do powieści przygodowych, czy może do książek religijnych.

Pi przeżył siedem miesięcy ze swoim wrogiem, którego zaczął traktować wręcz jak przyjaciela. Jego obecność pozwoliła mu przetrwać. Niestety, po powrocie nikt nie wierzy w historię z tygrysem. Pi opowiada więc inną wersję wydarzeń: „Prawdziwa jest ta, w którą uwierzyć” – i nie wiadomo do końca, czy mówi o tygrysie, czy może o religii. Prawdziwy jest sam fakt opowiadania. I prawdziwa jest przyjemność czytania.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

FANTASTYCZNE ŻYCIE W ZSRR

Ukazała się kapitalna
autobiografia Bułyczowa



FOT. AP



KIR BULYCZOW
„JAK ZOSTAĆ
PISARZEM FANTASTĄ”,
PRZEL. EWA SKÓRSKA,
Pisarzyński i S-ka,
Warszawa 2003

70-letni Kir Bułyczow jest, po braciach Strugackich, najbardziej znanym u nas rosyjskim fantastą. Tłumaczono u nas zarówno jego fantastykę dziecięcą, jak i tę dla dorosłych. W tym kilka tomów opowiadań rozgrywających się w Wielkim Guslarze, z których kojarzymy go przede wszystkim. To wymyślone przez Bułyczowa miasteczko na rosyjskiej prowincji, nawiedzone przez niesamowitości najczęściej kosmicznego pochodzenia, było tłem dla kaskadowej satyry na sowieckie społeczeństwo.

Odpowiedź na zawarte w tytule wspomnieniowej książki Bułyczowa pytanie „Jak zostać pisarzem fantasta” jest prosta – wystarczyło pożyć w ZSRR. Pisarz naprawdę nazywa się Igor Możejko, jego pseudonim literacki składa się z imienia żony i panieńskiego nazwiska matki. Historia jego rodziny to typowe dzieło rosyjskiej inteligencji, ofiar stalinowskich czystek, mieszkańców „komunalek”, których – jak jego dziadka – gotowi byli wykończyć donosem sąsiedzi żądni dodatkowego metrażu. Ale jest to jednocześnie historia niesamowitych karier jego rodziców (matka była między innymi... komendantem twierdzy w Szlisselburgu).

Może właśnie nauczony ich doświadczeniem Bułyczow nie wstąpił ani do KPZR, ani do Związku Pisarzy? A z propozycji pracy w dyplomacji zrezygnował, nie chcąc zgolić brody.

Kapitałne są opisy zachowań sowieckich specjalistów na budowach w Birmie i Iraku, dokąd Bułyczow jeździł w młodości jako tłumacz. Trwogę budzi tak zwana afera numizmatyczna z lat 70., w którą był zamieszany jako kolekcjoner. Nie dość, że zamknięto w więzieniu zbieraczy monet i medali, to jeszcze ogłoszono odgórnie, że numizmatyka jest zajęciem wstecznym, a filatelistyka postępowym. A przecież za Stalina wytracono w Sowietach właśnie filatelistów.

Bułyczow swoje wspomnienia kończy rozważaniami o amerykańskiej dominacji kulturalnej po rozpadzie ZSRR i – na szczęście – powolnym tej dominacji zwalczaniu w ostatnich latach. I rzeczywiście, nie jest tak źle, skoro i w Polsce wydaje się jego nowe powieści, w których fantastyczna groza ma swe źródła już nie w głupocie bolszewików, lecz okrucieństwie współczesnych mafijnych watazków.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

● Choć dużo tu krwi,
to książka nie tylko dla facetów



ALESSANDRO BARICCO
„BEZ KRWI”,
PRZEL. HALINA KRALOWA,
Czytelnik, Warszawa 2003

Alessandro Baricco to we Włoszech prawdziwa gwiazda. Dzięki powieści „Jedwab” – historii nieszczęśliwej miłości żonatego Francuza do tajemniczej Japonki – autorowi „City” udało się też zdobyć międzynarodowy rozgłos. Jego czwarta wydana po polsku książka „Bez krwi” doskonale wpisuje się w siatkę pamięciowych obsesji Baricco, bo – jak mówi jeden z jego bohaterów – „Dorośli mają pamięć, mają poczucie sprawiedliwości, często znajdują upodobanie w zemście”.

Na farmę Manuela Roki przybywa czterech mężczyzn. Pierwsza część książki powinna się spodobać wielbicielom „Wściekłych psów” Quentina Tarantino: na niecałych 30 stronach mamy dwa trupy – Rocę i jego syna – oraz jednego ranego. Bilans to nie wszystko, śmierć poprzedza długa sekwen-

FARMA ŚMIERCI



FOT. ULF ANDERSEN/GAMMA/REX

cja psychicznego i fizycznego znęcania się nad ofiarą, która niegdyś sama była katem. Z jatki cudem ocaleje dziewczynka. Jej poświęcona jest druga część. Nina jako dorosła kobieta kolejno unicestwia oprawców ojca. Zostaje już tylko jeden. Czy Nina wpisze się w ciąg wiecznie odradzającej się zemsty? Autor trzyma nas w niepewności do ostatniego zdania.

MARCIN PIESZCZYK

POWRÓT MUSIEROWICZ

Małgorzata Musierowicz, autorka słynnej „Jeźdźcy”, jeszcze dwa lata temu zarzekała się, że „Kalamburka” będzie ostatnią książką z popularnej serii powieści o rodzinie Borejów.

Tymczasem jeszcze tej jesieni ukaże się „Język Trolli”, 15. część sagi rozgrywającej się w poznańskiej dzielnicy Jeżyce.



FOT. ELŻBIETA LEWY

Blagania czytelników zostały wysłuchane. Zresztą ich udział w powstawaniu kolejnych części był znaczny – podsuwali pisarce pomysły rozwoju akcji.

Książki Musierowicz są fenomenem na rynku. Co roku wydawnictwo Akapit Press wznowia kolejne tytuły „Jeźdźcy” w nakładach od 5 do 15 tysięcy egzemplarzy. (JS)

● LARA SIĘ NIE STARA



W niektórych scenach Angelina Jolie gra, jak przystało na laureatkę Oscara

W pierwszym filmie o Larze Croft jedyną atrakcją była **Angelina Jolie**. W dwójce są **jeszcze niezłe fajerwerki**, a jeśli w trzeciej części dodadzą do tego sensowny scenariusz – może wreszcie powstanie dobry film...

REŻ. JAN DE BONT,
UIP-ITI, premiera 29 sierpnia

Film o straszliwie długim tytule „Lara Croft Tomb Raider: Kolebka życia” to druga już porażka w starciu Hollywoodu z kultową grą komputerową „Tomb Raider”. Jej szalona popularność była zasługą dobrych scenariuszy, nie mówiąc o tym, że wielu graczom podobała się już sama idea absolutnej fizycznej kontroli – za pomocą kilku klawiszy – nad piękną kobietą. Tymczasem pierwsza ekranowa adaptacja „Lary” („Lara Croft: Tomb Raider” z roku 2001) okazała się nudną opowieścią pełną nieprzekonujących efektów specjalnych. Nie pomógł jej nawet powiększony biust Angeliny Jolie. Ale wyniki kasowe były na tyle obiecujące, że producenci zdecydowali się nakręcić kolejną część.

I oto mamy drugi film, w którym Angelina nie zakłada już (jak przysięga w wywiadach) specjalnego, podopiecznego tu i ówdzie, stanika. Przeszkadzałaby jej w znacznie bardziej skomplikowanych niż poprzednio scenach akcji. Są one dziełem reżysera Jana De Bonta („Speed”, „Twister”), który dowiódł, że świetnie czuje kino akcji, ale też w „Speedzie 2” pokazał, że gdy brakuje mu dobrego scenariusza, kręci pełne fajerwerków nudne filmy. I taka, niestety, jest „Kolebka życia”. Niby Angelina w niektórych scenach wygląda, jak przystało na jedną z najseksowniejszych aktorek świata, a w innych gra, jak przystało na laureatkę Oscara; niby de Bont dokonuje cudów na ekranie, zmuszając swą bohaterkę do akrobacji

równie skomplikowanych jak w grze, ale co z tego? Właściwie to większość tych momentów możemy zobaczyć w dwuminutowej reklamówce i bez żalu udać się na inny film. Drugi „Tomb Raider” to żalosne popłuczyny po wspomnianym już „Indianie Jonesie”, acz bez jego magii, radości i humoru. Lara ciąga nas za sobą od Grecji, przez Daleki Wschód, po Afrykę, ale poza widoczkami nic z tego nie wynika. Mityczny artefakt, którego szuka – puszka Pandory – został tu tak zniekształcony (by nie rzec wybudzony), że aż człowiek zaczyna tęsknić za „Xeną – wojowniczą Księżniczką”. Ona też przekształcała mity w popkulturową papkę, ale przynajmniej robiła to zabawnie.

KAMIL M. ŚMIAŁKOWSKI

Precz z hollywoodzkim **terroryzmem!**

Pani lubi makabrę? – takie pytanie usłyszała podróżniczka Olga Stanisławska, gdy stanęła na kongijskiej granicy, u wrót świata, w którym trwa krwawy konflikt. Stanisławska błyskawicznie zrozumiała, że pewnych granic się nie przekracza, i wycofała się z ogarniętej wojną części Afryki. Twórcy „Łez słońca” przeciwnie – uznali, że afrykańskie konflikty etniczne, morderstwa i rzezie to wymarzona sceneria dla tandetnego romansu między **Monicą Bellucci** i **Bruce'em Willisem** (na zdjęciu). Ona jest lekarką, on komandosem, który ma za zadanie wyciągnąć ją z nigeryjskiej dżungli, w której szaleją rebelianci. Ale i ów romans, i gadki o demokracji i Bogu to tylko pretekst – prawdziwym tematem filmu jest bowiem przemoc. Fuqua dosłownie terroryzuje widzów naturalistycznymi obrazami śmierci sąsiadującymi z pięknymi obrazami egzotycznej natury. I właśnie dlatego, zanim wybieracie się na ten film, zastanówcie się, czy rzeczywiście lubicie makabrę.

● ŁZY SŁOŃCA

REŻ. ANTOINE FUQUA,
UIP-ITI, premiera 22 sierpnia



● I TWOJĄ MATKĘ TEŻ



Diego Luna, Maribel Verdu i Gael Garcia Bernal

Cierpki
smak
przyjaźni,
miłości,
seksu
i śmierci

Ciesz się swoją młodością – nakazuje Pismo, więc mężczy bohaterowie filmu cieszą się nią, ile wlezie. Ale wakacyjna wyprawa, na którą zabiorą starszą od siebie kobietę, nieoczekiwanie dla nich samych zamieni się w podróż inicjacyjną. Dane im będzie poznać cierpki smak przyjaźni, miłości, seksu i – *last but not least* – śmierci.

Podobna przeprawa czeka widzów filmu – od beztrojskiej komedii hormonalnej po bliskie spotkania z pytaniami fundamentalnymi. To właśnie za przewrotną grę z konwencją i głupotą młodości scenariusz autorstwa braci Cuaron wyróżniono nominacją do Oscara. Sukces „Matki” sprawił, że Alfonso otrzymał i przyjął propozycję wyreżyserowania trzeciej części przygód Harry'ego Pottera. Robić „Pottera” po czymś takim! Dziecinada! DVD raczej nie zachwyci zbieraczy dodatków. Ot, ledwie zwiastun i parę rachitycznych wywiadów. Ale istotą tej płyty jest jeden z najlepszych – bez wątplenia – filmów ostatnich lat.

REŻ. ALFONSO CUARON,
Meksyk 2002, Vision

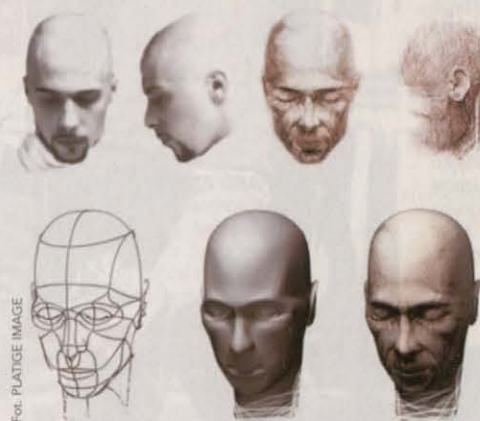
BARTOSZ ŻURAWIECKI

● KATEDRA [DVD]

Nominowany do Oscara animowany film „Katedra” **warto zobaczyć** w wersji DVD

Przyznaję, że po raz pierwszy oglądałem „Katedrę” w telewizji. Teraz tego żałuję, bo dopiero wersja DVD z idealnym obrazem i dźwiękiem pozwala docenić technologiczne zaawansowanie tej produkcji. Jeśli ktoś nie widział w kinie – polecam. Poza tym do sześciominutowego oryginalnego filmu doczepiono tu kilkadziesiąt (!) minut bonusowych materiałów. Reportaż o powstawaniu filmu to statyczny monolog Tomka Bagińskiego

REŻ. TOMEK BAGIŃSKI,
Platige Image 2003



opowiadającego z za komputera, jak się robi nowoczesną animację. Mało porywające. Całość staje się ciekawsza, gdy płytę z filmem włożyć do komputera – to otwiera kolejne możliwości, szczególnie dla fanów i osób zainteresowanych zaplecem warsztatowym przedsięwzięcia. W wersji limitowanej płyty towarzyszy estetyczna książeczka z fragmentami opowiadania Jacka Dukaja „Katedra”, od którego wszystko się zaczęło.

BARTEK CHACIŃSKI

KUNA JUŻ SIĘ SKRADA



Fot. P. POKRYCKI/REPORTER

Do niedawna mówiło się o niej „mama Macusia” – Izabela Wińska grała bowiem w serialu „Klan” matkę upośledzonego chłopca i właśnie z tą rolą kojarzona ją najczęściej. Poza tym pokazała się w epizodach w „Długu”, „Torowisku” i w „Historiach miłosnych”. Związana jest z warszawskim Teatrem Polskim.

Dziś 33-letnia aktorka wyrasta na prawdziwą muzę młodych reżyserów skupionych wokół mistrzowskiej szkoły Andrzeja Wajdy. Za-

grała w filmach między innymi: Denijala Hasanovicia, Andrzeja Saramonowicza, Rafała Wińskiego i Agnieszki Pateli. Przy jednej z etiud pracowała z nią Iwona Siekierzyńska. – Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy – opowiada – pomyślałam, że to nijaka postać, tymczasem Iza okazała się niezwykle utalentowaną, inteligentną i dojrzałą aktorką. Ma w sobie rzadką w tym zawodzie gotowość do ryzykowania, odwagę, by pójść na całość.

Reżyserom bardzo odpowiada nieefektywna uroda ich muzy – idealnie pasuje do współczesnych filmów, historii o zwyczajnych ludziach.

(MASA)

TYLKO JEDEN RAZ
INTERAKTYWNY WIECZÓR Z DAVIDEM BOWIE'M
GRAJĄCYM NA ŻYWO UTWORY Z NOWEJ PŁYTY REALITY
8 WRZEŚNIA 03 godz. 21.00. BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY!

Multikino WARSZAWA, AL. KEN 60
tel. (22) 543 52 22

szczegóły transmisji: www.sonymusic.pl





BYŁ JAZZ

Dramat, nostalgiczna opowieść o czasach, w których granie jazzu było przeświadczeniem. Falek przypomina losy Melomana, grupy założonej przez Jerzego „Dudusia” Matuszkiewicza. To właśnie jej członkowie razem z grupą studentów łódzkiej Filmówki tworzyli prawdziwą, kolorową bohémę artystyczną w ponurej epoce stalinizmu. W rolę jazzmanów wcielił się między innymi: Michał Bajor, Andrzej Grabarczyk i Jerzy Gudejko – oczywiście standardy i improwizacje wykonuje za nich dyskretnie grupa Old Timers. Autorem świetnych zdjęć do „Był jazz” jest Witold Sobociński, były Meloman.

REŻ. FELIKS FALK
TVP1, 23.15



WOODY GUTHRIE

Dokument, opowieść o człowieku, bez którego nie byłoby Boba Dylana, Bruce’a Springsteena i innych amerykańskich bardów. Autor pierwszych protest songów opowiadających o ciężkiej doli robotników i Wielkim Kryzysie bez żalu porzucił żonę i dzieci i wyruszył na 25-letnią wólcę przez Stany. Krytycy do dziś słyszą w jego muzyce stukot kół pociągu i warkot ciężarówek.

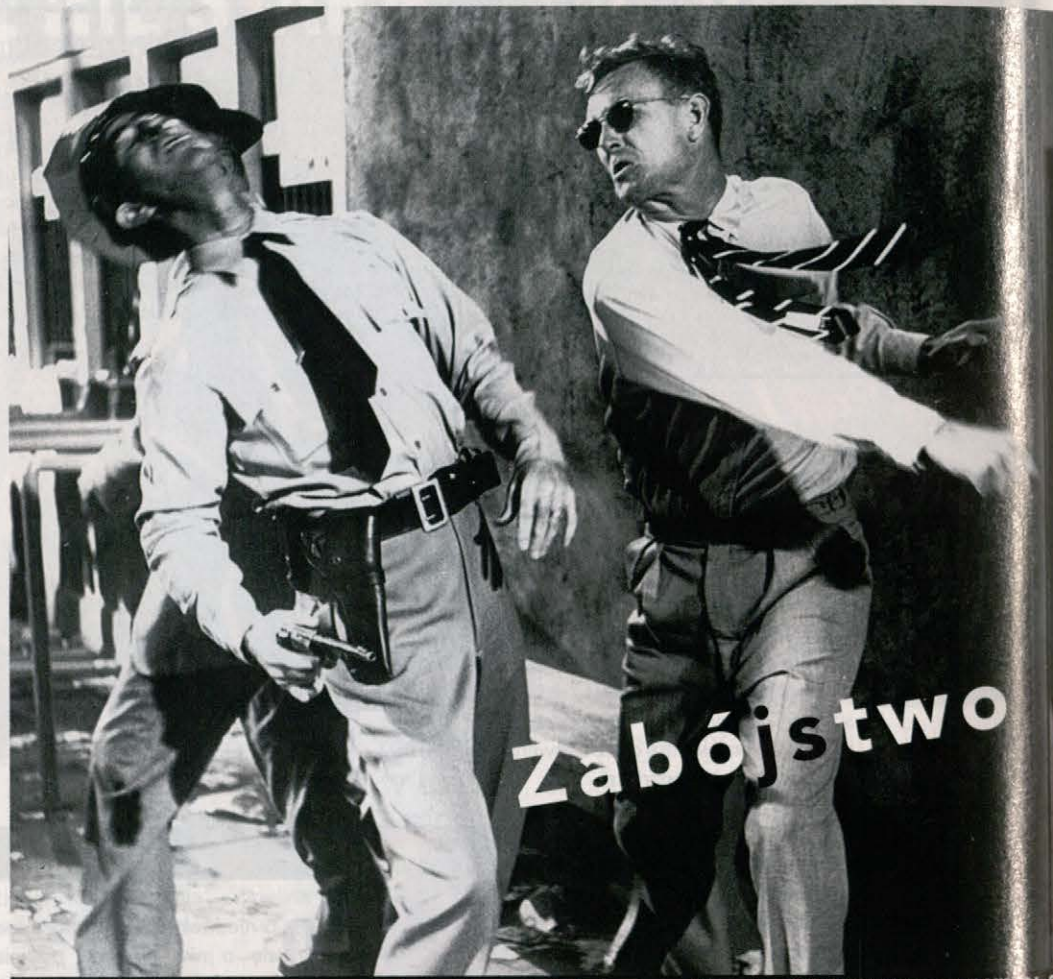
REŻ. PAUL LEE
PLANETE, 21.45



NIWYGOJNY ŚWIADEK

Thriller. Tytułowy świadek to kobieta (Anne Archer), która widziała, jak zginął jej znajomy. Teraz, ścigana przez bandytów i chroniona przez zastępcę prokuratora (Gene Hackman), jedzie do sądu zeznawać. Tłuką się przez całe Stany pociągami, a my, pasażerowie PKP, wiemy, że taka podróż może dostarczyć naprawdę ekscytujących wrażeń. Nawet jeśli przedziały nie są wypchane płatnymi zabójcami.

REŻ. PETER HYAMS
POLSAT, 21.15



Johnny (Sterling Hayden – z prawej) planował napad stulecia, ale ma kłopoty. PONIEDZIAŁEK, ALE KINO!, 20.00



POCIĄG ŻYCIA

Tragikomedie. Reżyser i zarazem scenarzysta filmu (sam pochodzenia żydowskiego) zasłyszal kiedyś historie, która posłużyła za kanwę jego opowieści: oto na początku lat 40. grupa rumuńskich Żydów, dowiedziawszy się, że naziści pociągami wywożą ich rodaków na śmierć, postanawia stworzyć wielopiętrową mistyfikację i zorganizować... własny transport. Tyle że zamiast do któregoś z obozów zagłady ich pociąg ma pomknąć przez ZSRR do Palestyny. Żydzi uczą się niemieckiego, szyją hitlerowskie mundury i zdobywają fałszywe dokumenty. Niestety, niektórzy za bardzo wczują się w swoje role...

REŻ. RADU MIHAILEANU
TVP1, 20.15



UNDERGROUND

Zrealizowana z nieprawdopodobnym rozmachem tragikomedie, w której reżyser zamknął kawał historii rodzinnej Jugosławii. I to zamknął dosłownie, bo w piwnicy. Siedzą w niej obywateli, „nieistniejącego kraju” przez całe lata utrzymywani w przekonaniu, że na zewnątrz wciąż trwa II wojna światowa. Pod ziemią toczą zwyczajne życie, pobierają się, kłócą, rodzą dzieci i produkują broń. Kusturica nasycił swój film odniesieniami do współczesnych losów Bałkanów, wątkami politycznymi, ale też malarstwem i muzyką (autorstwa Gorana Bregovicia). „Underground” przyniósł reżyserowi Złotą Palmę w Cannes w 1995 roku. Wkrótce po jej odebraniu Kusturica zarzekał się, że był to jego ostatni film. Jak powszechnie wiadomo, słowa nie dotrzymał.

REŻ. EMIR KUSTURICA
TVP1, 23.15



WSZĘDZIE, BYLE NIE TU

Dramat, gratka dla wszystkich, którzy otaczają kultem filmy Wayne’a Wanga. Wprawdzie we „Wszędzie, byle nie tu” nie ma nawet śladu specyficznego klimatu „Dymu” i „Brooklyn Boogie”, ale to więcej niż niezły hollywoodzki film, do tego z równie niezłą obsadą. Susan Sarandon i Natalie Portman grają matkę i córkę, które opuszczają dziurę w Wisconsin, by zacząć lepsze życie w Beverly Hills. Nastolatka buntuje się przeciw egoistycznej, jak sądzi, decyzji matki i nie chce robić kariery aktorskiej. Natalie Portman początkowo nie przyjęła roli ze względu na rozbieraną scenę miłosną. Susan Sarandon oświadczyła zaś, że bez Portman nie zagra. Studio nie miało wyjścia i tak przerobiło scenariusz, by młodziutka aktorka nie musiała pozbywać się ubrania.

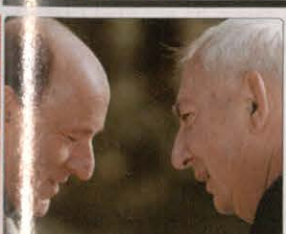
REŻ. WAYNE WANG
POLSAT, 20.45



MEJOWIE I ŻONY

Komediodramat, 13. i ostatni wspólny film Woody’ego Allena i Mii Farrow. Małżonkowie zagrali w nim partię, która zszokowała rozstaniem przyjaciół zastanawia się nad sensem i trwałością własnego małżeństwa. Dochodząc do niewesołych (choć to przecież komedia) wniosków. Premiera „Mejów i żon” zbiegła się z rzeczywistym kryzysem w związku Allena i Farrow, który zakończył się rozwodem i skandalem związanym z romansem reżysera z adoptowaną córką Soon-Yi. Paradosem ów skandal sprawił, że film Allena cieszył się w USA wyjątkowym jak na kino tego reżysera powodzeniem.

REŻ. WOODY ALLEN
ALE KINO!, 20.00



PODRÓŻ

Teatr. Piotr Mikucki nie bardzo radził sobie w filmie (vide upiorny „Gluchy telefon” z Maciejem Orłosiem), za to sprawdził się jako reżyser teatralny, spec od kameralnych współczesnych historii. Właśnie taka jest „Podróż”, dramat psychologiczny autorstwa Geralda Auberta, opowieść o wspólnej weekendowej wyprawie dwóch Francuzów, ojca i syna, do Dachau. Ojciec był więźniem tego obozu, dziś chce odsłonić przed synem kawałek swojej przeszłości. Weekendowy wypad zamienia się w dramatyczną podróż w przeszłość, która na zawsze zmieni relacje między mężczyznami. W rolę ojca i syna wcielili się Gustaw Holoubek i Piotr Fronczewski. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że ten duet to prawdziwa gratka.

REŻ. STANLEY KUBRICK
ALE KINO!, 20.00



SZKOŁA BICIA

Dokument. – To jest jak pierwszy pocałunek – mówi 14-letnia dziewczynka. Zwierza się, że nie musiała się tego nigdzie uczyć, umiejętność...

ność... bicia przyszła sama. Biją i okradają rówieśnicy – w takim samym stopniu chłopcy i dziewczynki. Kilku wyrostków z dumą opowiada o swoich wyczynach, pretekstem do przemocy może być wszystko: „zły” wygląd, krzywe spojrzenie itp. Maltretowanie odbywa się w toalecie, szatniach, na boisku, pod bokiem nauczycieli. W dniu, w którym media będą pokazywać białe bluzeczki, roześmiane buzie dzieci i przemówienia minister edukacji, Athena Sawidis alarmuje: jedna trzecia uczniów uważa się za ofiary przemocy w szkole.

REŻ. ATHENA SAWIDIS
TVP2, 21.00



ZABÓJSTWO

Kryminał, który rozstrawił nazwisko Stanleya Kubricka. Trzeci film początkującego reżysera był przełomem w jego karierze, uznany za jeden z najlepszych czarnych kryminałów lat 50. otworzył Kubrickowi drzwi do wielkiej kariery. Krytycy zachwycali się sugestywnym, mrocznym klimatem „Zabójstwa”, świetnym aktorstwem (w roli głównej Sterling Hayden – w walce o rolę pokonał samego Jacka Palanca), nowatorską formą (nieliniarna narracja). Sama historia nie należy do specjalnie nowatorskich – pewien bandyta przygotowuje misterny plan skoku doskonałego na tor wyścigów konnych. Stawką są dwa miliony dolarów.

„Zabójstwo” otwiera przegląd filmów Kubricka w „Ale kino!”, przed nami jeszcze „Ścieżki chwały”, „Dr. Strangelove” i „2001: Odyseja kosmiczna”.

REŻ. STANLEY KUBRICK
ALE KINO!, 20.00



POWIEW NOCY

Psychologiczny. Gorzkie podsumowanie francuskiej rewolty 1968 roku, po której została tylko pustka, poczucie przegranej i garść pseudo-intelektualnych frazesów. Bohaterką opowieści są chorzy na melancholię Helene (świetna Catherine Deneuve – właśnie dla niej warto zobaczyć „Powiew nocy”) i jej rówieśnik Serge. Odwołując się do tamtych gorących czasów, Garrel – należący zresztą do pokolenia ‘68 – odwołuje się również do nowofalowego stylu,

w jakim wówczas robiło się filmy. I tak jak dawna euforia zamieniła się w depresję, a idealści skończyli jako groźnicy, tak dziś nowofalowa konwencja drażni swoją manierycznością i pustką. Pytanie, czy Garrel rzeczywiście zdaje sobie z tego sprawę...

REŻ. PHILIPPE GARREL
TVP1, 23.45



CO GRYZIE GILBERTA GRAPE’A?

Dramat, bardzo melancholijnie i zarazem nieodparcie śmieszna opowieść o zwykłym życiu zwykłych (choć nie do końca) ludzi z prowincji. Tytułowy Gilbert (Johnny Depp) gryzie się z wielu powodów: jest jedynym opiekunem rodziny, czyli dwóch siostr, upośledzonego brata (Leonardo DiCaprio) i chorebnie otylej matki (Darlene Cates). Jego monotonne życie zmienia się, gdy wkracza w nie podróżująca po kraju pewna siebie Becky (Juliette Lewis). „Co gryzie...” jest jednocześnie filmem o inicjacji, o rodzinie i o marzeniach, filmem jak na Amerykę nietypowo skromnym i prostym. Tego europejskiego ducha chcieli w niego pochodzący ze Szwecji reżyser Lasse Hallström i operator Sven Nykyst.

REŻ. LASSE HALLSTRÖM
TV4, 00.00



YO! MTV RAPS

Premiera nowego programu muzycznego poświęconego wyłącznie hip-hopowi. Jego prezydentem został jeden z czołowych polskich hip-hopowców O.S.T.R., czyli „Ostry”. W trwającym godzinę magazynie będzie prezentował nowości hiphopowe, przeprowadzał wywiady i relacjonował muzyczne wydarzenia. Jednocześnie z „Yo! MTV Raps” ruszają programy „Yo! MTV Freestyle” (w czwartki o 20) i „Yo! MTV Lista” (notowania w niedzielę o 17). Ten pierwszy poświęcony jest hiphopowemu stylowi życia, drugi zaś to po prostu hiphopowa lista przebojów.

MTV POLSKA, 20.00

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V P., 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25.
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:

Piotr Najsztub

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:

Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:

Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:

Marcin Baran, Magda Gódlorowska,

Maria Świętlik (zastępca)

ASYSTENTKA:

Anna Romotowska

KULTURA:

Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,

Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek,

Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz,

Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:

Wawrzyniec Smoczyński (szef), Joanna Gorzelińska,

Filip Kobodziński, Andrzej Łomanowski,

Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Max Suski,

Maciej Tyśnicki, Paweł Wierczok, Michał Wójcik

NAUKA:

Jan Stradowski (szef), Piotr Stanisławski, Olga Woźniak

ROZRYWKA:

Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn,

Małgorzata Łaska, Agata Loth,

Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:

Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:

Tomasz Kniolek (szef), Marcin Kapica,

Marcin Kędryna, Olga Piłśniak, Marek Szczepański,

Bogdan Kręzel (fotograf)

KOREKTA:

Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej,

Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:

Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRODUKCJA:

Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

PRZYGOTOWALNIA:

Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:

Alan Jawor

SEKRETARIAT:

Iwona Chmielewska

EDIPRESSE

WYDAWCA:

EDIPRESSE POLSKA S.A.

UL. WIEJSKA 12, 00-480 WARSZAWA,

TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,

FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:

Zbigniew Napierala

WICEPREZES:

Krzysztof Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:

Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:

Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:

Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:

Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU

I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:

Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:

Krzysztof Zowczak-Jastrzębska, Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:

Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:

Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:

Adriana Olczak, Marta Sztkana

BIURO REKLAMY:

Aleksandra Trojnar – dyrektor,

Anna Orłowska – zastępca dyrektora,

Artur Dudek, Jagna Federowicz,

Maciej Grelik, Bartek Kluczyński,

Marzena Kiedrzyńska (Kraków)

Warszawa, ul. Wiejska 12

tel. (0-prefiks-22) 584 22 95, 584 22 96

faks (0-prefiks-22) 584 22 98

DRUK:

WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADOZYMI

PAPIER: OKŁADKA – NOVAPRESS 90 G,

PRODUKT – STORA ENSO

SKROPE – GALERIE ONE 45 G

PRODUKT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY

Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska

TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30

FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 32

PRZEPISY:

PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE

NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEPISY:

PRZEPISY:

INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,

FAXS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNecie

WWW.EXPORTIM.COM

FAXS/TEL. +46-8-6639963

Dziennik z krainy
PAZŁOTKA
DOROTA MASŁOWSKA

Robaczywa podszewka

Byla kiedyś, kilka lat temu, w Rumunii. Był to kraj jakiejś ponurej turystyki, której oddawali się jego mieszkańcy. Wszystko wędrowało, ludzie jechali na wozach, a wokół nich jak demony kłęby głodnych, parzących się jedne z drugimi psisk. Tak to pamiętam. W te dni ciągle padał deszcz. Pół kraju to były pola. Od czasu do czasu pośrodku pola siedziała stara baba pilnować. Nad głową trzymała w wyciągniętych rękach siatkę foliową przed deszczem.

Pamiętam to wrażenie, że życie tam nie jest stacjonarne, nie ma osiedli, domów, kościołów, tylko wszystko przemieszcza się bezwładnie w jakimś odmiecie, eskortowane przez kłębowiska psów.

Przypominam sobie to z okazji „Sercątka” Herty Müller* i nie jestem pewna, czy są to moje prawdziwe odewnętnięcia wspomnienia, czy to po przeczytaniu tej książki jestem skłonna z całym przekonaniem dorysować jeszcze do nich coś i pustoszące stacje benzynowe diabły jako ssaki lądowe w środowisku naturalnym.

„Podczas modlitwy wszyscy się drapią, pisze Lola w swoim zeszycie. Zawsze w niedzielę szła rano do kościoła. Także ksiądz się drapie. Ojciec nasz, który jest w niebie, pisze Lola, a pchły są w całym mieście”.

Ta książka jest napisana, jakby mówiło grubym głosem jakieś smutne, zwyrodniałe, nadmiernie widzące dziecko. Zdania krótkie, proste i niewzruszone jak komunikaty na dworcu, a jednocześnie tak poetyckie, że można by je wszystkie podkreślić ołówkiem. To, co się dzieje, jest upiome, ale to nie jest onanizujący się koszmar w stylu Nicka Cave’a, tylko koszmar ascetyczny i komunistycznie zgrzebny, mało spektakularny i codzienny. Krew pita z filiżanek przez pracowników rzeźni, świńskie ucho przyszłego prześcieradła, dziewczyna wieszająca się

w szafie na pasku od sukienki koleżanki. To są dla mnie prawdziwe zdarzenia tej książki, ja bym tak ją streszczała. To jest ciche i skromne piekło w obrazkach. Wszystko, co się dzieje, skierowane jest w dół, dzieje się tylko po to, żeby skończyć się źle i żeby było jeszcze gorzej.

Rzadko zdarzają się tak perwersyjnie ponure książki. „Sercątko” jest trochę jak „Sklepy cynamonowe” wywinęte na lewą stronę, na jakąś poprzecieraną, niedożywną, robaczywą podszewkę. Obfitość i płodność przybierają w nim znak ujemny, rozjuszonej w płodności Thui odpowiada gwałcona przez robotników i dorocznie zachodząca w ciążę karlica, trzepoczącym oczom Adeli – malowane sadzą, kruszące się rzęsy dziewcząt z akademika.

Opowieść kołysz się pomiędzy upiornym realizmem a jakimiś onirycznymi obrazkami z dzieciństwa. Jakby narratorka zamykała oczy i ryglowała się przed rzeczywistością, a w środku nie znajdowała wcale schronienia. „Ojciec trzyma cmentarze w dole szyi, tam gdzie między kołnierzykiem koszuli a brodą znajduje się grdyka. [...] Dlatego dziecko zjada później wszystkie sliwki z kieszeni. Każdego dnia, kiedy ojciec patrzy na dziecko, skrywa ono w brzuchu prawie już drzewa. Dziecko je i myśli, że to po to, żeby umrzeć”.

Przed emigracją do Niemiec Herta Müller nie miała w komunistycznej Rumunii możliwości publikacji – i uważam to za słuszne ze strony władzy – to, że ludzie rodzą się i żyją w piekle, to nie znaczy, że powinni od razu o tym wiedzieć.

*Herta Müller „Sercątko”, przeł. Alicja Buras, Czarne, Wołowiec 2003

www.przekroj.pl/maslowska



FOT. BOGDAN KRZEL

Daję słowo

JERZY BRALCZYK

Sam

Gdy jestem **sam**, innych nie ma. Ciebie też. Może zwłaszcza Ciebie. Gdy coś robię **sam**, nie wyręczam się nikim. „**Sam** przy tym pracowałem, jest w tym i mój udział!” – z innymi to byłbym, ale **sam** robiłem, uczestniczyłem czynnie. Ale też: „**Sam** to zrobiłem, tymi rękami. **Sam** to wymyśliłem, to moje!” – to już **sam** tylko robiłem, bez nikogo. **Sam**.

Kiedy jestem **sam**, nikt mi nie przeszkadza. **Sam** o sobie stanowię. Ale człowiek **sam** jak palec (albo jak koleś w łocie – coś za dziwnie ironiczne samotności!) nie ma za dobrego. **Sam** o tym wiem. Raz samotność to **sam** smak, liczba jeden jest w **sam** raz, ale innym razem ten **sam** człowiek wolałby nie być **sam**. Woli z innym. Na przykład **sam** na **sam**. Wtedy **sam** wie, że z jednej strony nie jestem **sam**, ale z drugiej jestem właśnie **sam** przeciw temu drugiemu. Jeden **sam** i drugi **sam**. Inaczej, gdy jestem **sam** na **sam** z Tobą...

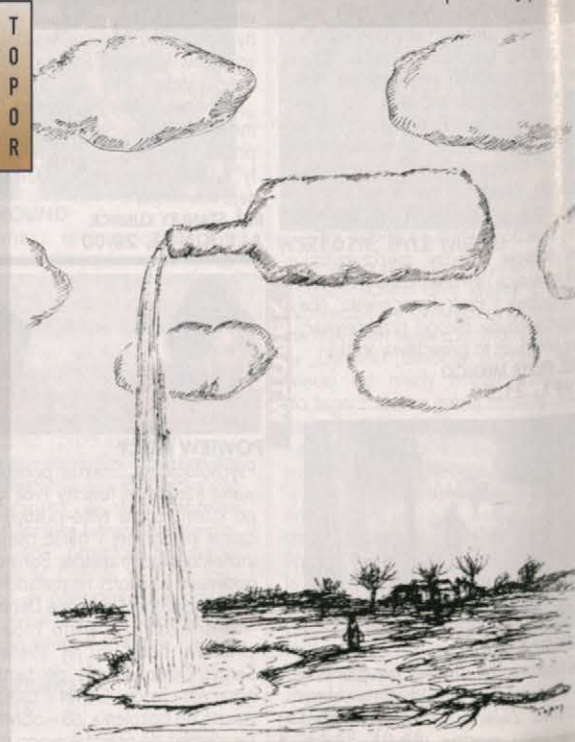
Dolki, w które **sam** wpadałem; spóźnienia, którymi **sam** sobie szkodziłem; garb, który mi **sam** z uczenia wyrósł – **sam** sobie jestem winien i **sam** muszę z tym sobie radzić. Ale **sam** mam udział i w wielu dobrych rzeczach. **Sam** w sobie w końcu nie jestem znów taki do niczego. Czasem na przykład **sam** z siebie coś robię i **sam** z siebie jestem zadowolony.

Jak **sam** się nie pochwałę... Zresztą pod tym względem każdy taki **sam**. A w końcu **sam** się znam najlepiej. **Sam** wie, co jest wart. Tak sobie **sam** z siebie żartuję.

No, starczy, przerywam, póki czas. W **sam** czas. **Sam** nie lubię, jak się o sobie mówi, a tu **sam** tyle mówię. Ale w końcu jak **sam** to **sam**. Jak to piszę, to jeszcze nic, **sam** sobie piszę. Ale potem będę to musiał **sam** przeczytać! I nie będę **sam**, bo inni też mogą przeczytać...

Sam nie wiem, może **sam** pomyśl pisanie o „**sam**” nie był najlepszy...

www.przekroj.pl/bralczyk



Dziennik z placu
INWALIDÓW
ZBIGNIEW MENTZEL

Czysta perwersja

Przez cały dzień lało jak z cebra, wobec czego przeczytałem książkę pod tytułem „Życie seksualne Immanuela Kanta”. Do akurat tej lektury zabierałem się z dwóch powodów. Po pierwsze, z życzliwości dla wydawcy (Słowo obraz terytoria), który i moją rzecz nigdy nie ogłosił. Po wtóre, z ciekawości, co tam da się powiedzieć na temat, który nie istnieje. Immanuel Kant, jak wiadomo, w ogóle życia seksualnego nie prowadził, umarł jako bezdietny kawaler, nigdy nie miał też kochanki ani kochanka, w każdym razie biografom wielkiego filozofa niczego w tej kwestii nie udało się ustalić.

Autor wykładów, z których składa się książka, francuski myśliciel Jean-Baptiste Butul (inne jego pisma się nie zachowały), nie twierdzi bynajmniej, iż było inaczej i że on dopiero odkrył, z kim Kant stracił cnotę. Przedmiotem wykładów jest asceza filozofa, nie zaś jego rozwiązłość, pomijając, ma się rozumieć, czystą perwersję w postaci pociągu metafizycznego, a więc, jak powiada Butul, „zagładania pod spódnię Bytu”.

Jeśli chodzi o same wykłady, to okoliczności, w jakich zostały wygłoszone, są z pewnością bardziej zwariowane niż ich treść. Słuchaczami wykładów byli emigranci niemieccy, którzy po ucieczce z rodzinnego miasta Kanta, Królewca, zdobytego w roku 1945 przez Armię Czerwoną, i po pełnej zdumiewających przygód wędrówce osiedlili się w Paragwaju, zakładając tam Nowy Królewiec, osobliwą kolonię, gdzie postanowili żyć na sposób Kanta: ubierali się jak Kant, jedli jak Kant i spali jak Kant, co szczególnie w tym ostatnim punkcie wymagało od nich wiele zachodu; Kant chodził spać do sypialni, której okna musiały być przez okrągły rok zamknięte, między łóżkiem a wygodką przeprowadzony miał sznurek, którego kurczowo się trzymał, wstając w nocy za potrzebą, przed zaś snem wykonywał szereg dziwacz-

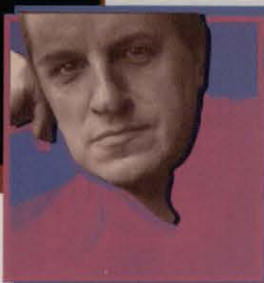
nych gestów, aby owinąwszy się szczerle koldrą, spać jak w kokonie.

Zaproszony przez niemieckich maniaków na wykłady Francuz wyjaśnił im, że naśladować we wszystkim Kanta, popadając w sprzeczność z istotą kantyzmu, który

wprawdzie był sztuką życia, ale nie był zbiorem porad i przepisów rodem z magazynu ilustrowanego, których wystarczy się trzymać, aby żyć szczęśliwie.

Dla Kanta pytanie nie brzmi: „Jak osiągnąć szczęście?”, ale: „Jak być godnym szczęścia?”. Naśladować we wszystkim kogokolwiek urąga ludzkiej godności, zaś uroić sobie, że wystarczy wstawać codziennie, jak Kant, o piątej, fajkę wypalać o szóstej, kielich węgryna wychylać przed obiadem, a rozumu od tego przybędzie – to już czysta głupota. Czy kolonia Nowy Królewiec po wykładach Butula przestała istnieć? Nic mi o tym nie wiadomo. Chyba nie.

www.przekroj.pl/mentzel

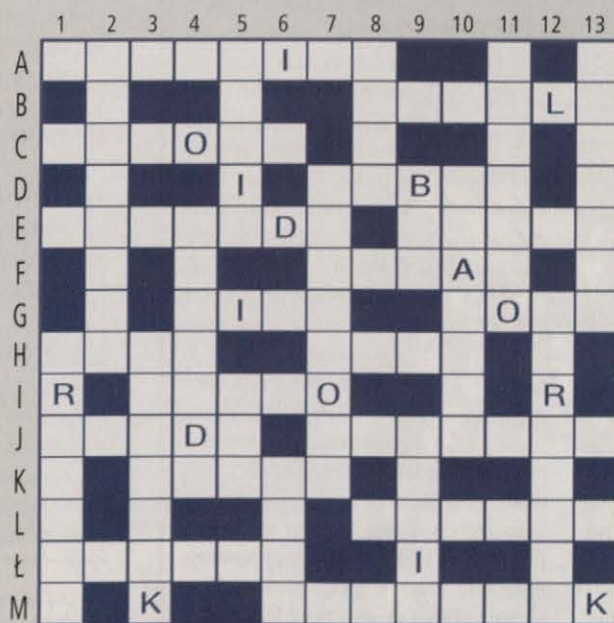


FOT. MAREK SZCZEPANSKI

JOLKA nr 35

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

K12 - G2 / L3 - I10 - A11 / M1 - I6 A7 - E10 - F4 - L11 / F7 - A1 / K9 - J3 - G6 - B2 - L8 - M11 - E12 - C3 / C5 - H12 - K1 - K5 - H8 - M6 - I4 - J13 / A13 - E5 - J12 / G10 / L13 - J9 - E4 / E12 - D11 - H1 - I5 - B5 - E2 - B9 - C1 - D2 - D13 / F2 - A5 - C8 - F13 - J11 / A8 - E9 - E3 - L10 / A3 - H3 - J10 - C13 - M8 - E5 - D7 - L1.



ROZWIĄZANIE JOLKI NR 31: PIĘKNOŚĆ JEST ŻE TO COŚ SZAROPAPUŻASTEGO (z „Rozmowy duchów” Placyda Jankowskiego).

Rzędami: sukces, paciorek, myśl, Oktawian, warsztat, grota, klasa, urok, kwef, losoś, smola, bambetle, bezdroża, rtęć, hibiskus, zgiełk.

Kolumnami: splawik, lamperia, komórka, składnia, zjawia, splot, Bocki, kamuflaż, Scott, marsz, gołąb, podwórko, sztucce, żelastwo, śledzik.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 29 nagrody wylosowali: Maria Chejło, Warszawa; Bożena Kret, Dąbrowa Górnicza; Teresa Laskowska, Piotrków Trybunalski; Maria Matyszkiewicz, Sosnowiec; Janusz Pyska, Klimontów. Gratulujemy!

WYRAZY 8-LITEROWE:
• raz naczelnym, raz psowaty
• poliamidy na pupę i lydy
• pociechę buchnie
• nie tylko panie trzymają w nim błyszczki
• jęknij w kanapie

WYRAZY 7-LITEROWE:
• wiekowiec wieku
• biodrowe szaleństwo
• romantycznie i straszno!
• z forte piano wyczaruje
• uzależniony od materii
• obrażone na nonajrony
• mniej niż belka wg św. Mateusza
• lak na służbie

WYRAZY 6-LITEROWE:
• sięga popod Sopot
• rdzy jest jako agar bakteriom
• w etiologii schrupania
• dobry odzew na zły PIN

WYRAZY 5-LITEROWE:
• z bąkami

W solankach
• wyładował (Houston, Tranquility Base here)
• chwyt spod piórka Christy
• patrzysz – jest! przecierasz oczy – nie ma!
• globtroterka groszorbaba
• salon z prasą i... niemiecką bronią palną
• wampy w światłach rampy
• zuch na kółkach

WYRAZY 4-LITEROWE:
• listopadowa leizna
• nie opuszczajcie go, ryby, żaby, raki!
• kopcerczaki bażanta

WYRAZY 3-LITEROWE:
• bez vivanta w Géancie
• jeżeli ssakiem



BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Clinton mityczny

Othello i inne miały dziwne nazwy, lecz wiele zalet. Nie miała się ich filoksera, pełniły się obficie i dawały mnóstwo przyzwoitego jak na tamten czas wina.

Owszem, tu i ówdzie skarżono się, że zbyt wiele w nich aromatów zwierzęcych, a nawet że wprowadzają pijących w błąd, powodując, że zaczynają mamrotać do siebie czy ganiać po wawozach w poszukiwaniu świętego Graala. Szczepki te były w istocie hybrydami i ciążył nad nimi złowieszczy mit szaleństwa, którym do dzisiaj dyskwalifikuje się wszelkie odmiany winorośli niebędące właściwą vitis vinifera – czyli cabernetem, merlotem i innymi odmianami

obecnymi na naszych stołach. Zarzuty te przybrały na sile w latach 20., gdy dzięki postępowi chemii tradycyjne szczepki francuskie odzyskały wigor i zdrowie oraz pojawiły się pierwsze oznaki nadprodukcji. W 1934 roku władze zakazały dalszego uprawiania amerykańskich hybryd. Chłopi jak zawsze podrapali się w głowę, splunęli na ziemię i zapomnieli o tym, co usłyszeli; mijaly lata, Clinton i Othello nadal owocowały, wino nadal pachniało nieco lisem, ale w wawozach smakowało.

Powiadają, że we Francji wina nie robi się z winogron, lecz z dekretów. W 1954 roku władza ponownie nakazała wy-

rwanie wszystkich amerykańskich odmian, tylko rodzinom chłopskim pozwolono zachować parę rzędów na własne potrzeby. W Owernii do dzisiaj powstaje muzealne wino z gron Clintona (ten szczep uprawia się jeszcze we Włoszech); nie próbowałem go, lecz ma ponoć ciekawy smak. Spożywanie Clintona, wyobrażam sobie, musi być fascynującym pićciem Historii, nawet jeśli pachnie ona nieco lisem. Doprawdy, jak na Historię nie jest to najgorszy zapach.

www.przekroj.pl/biencyk



KRZYŻÓWKA nr 35



POZIOMO:

1. STRANIŚKAW DLA PRZYJACIOŁ
8. RÓWNOWAŻY I RÓWNO WAŻY
9. ŚNIADANIE NA TRAWIE
10. MĘSKA MIARKA
11. SZEFEK ROKITY
12. STAN PO KLĘSCIE
14. KRZYK PORANKA
17. SPIENIONA TRZODA

19. LUBI SETKI

20. NIET, STRIELALI
21. ODBIJA MU SIĘ ZAJĄCZKIEM
22. PRZY LUDZIKU W NOTESIKU

PIONOWO:

2. PODDANIE
3. KONIEC SIEDZENIA
4. ENERDOWSKI PRZYSMAK
5. BANK NA

GLINIANYCH NOGACH

6. DRUTWAFEL
7. DWIE KWARTY
13. POJEMNIK NA WELONY
14. FASOLA MAGNETYK NA
15. PRZED GOLENIEM
16. WYWYŻA KOBIEC
17. MOWA SŁANGOWA
18. PRYSKA Z GARNIA

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 31

- Poziomo: 1. buldog 4. rokoko 7. rękoczyn 8. drzewo 9. wyrostek 10. kwarc 13. znicz 18. wazelina 19. lustro 20. robactwo 21. ekonom 22. kopara
- Pionowo: 1. borowik 2. lekarz 3. gazeta 4. randka 5. kasztan 6. krawiec 11. warunek 12. rentgen 14. idiotka 15. znajoma 16. kworum 17. czubek

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 29 nagrody wylosowali: Renata Banaszewska, Poznań; Barbara Herman, Gdańsk; Ryszard Malik, Straszyn; Karolina Szpak, Wrocław; Dariusz Zdaniwicz, Gdańsk. Gratulujemy!

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 7 września (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki Jonathana Coe „Dom Snu” (Prószyński i S-ka).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 35 lub Krzyżówka 35.



PIÓRO

POLSKI

Wariacje na temat kanapek



TADEUSZ PIÓRO

Kanapki bez sufitu i podłogi

Potkałem się kiedyś z opinią, że powszechnie znany hamburger nie jest w istocie hamburgerem, tylko kanapką z kotletem, prawdziwy zaś hamburger to dwa mielone kotlety, pomiędzy które włożono ser, pomidory i tym podobne. „Prawdziwemu” hamburgerowi nie towarzyszy bułka. Zszersze mówiąc, nie wiem, co gorsze – „prawdziwy” czy ten z lokalnego typu fast food. Chodzi jednak nie o to, ale o nazewnictwo. Czy pozbawiona podstawy bądź podłogi i sufitu z chleba lub bułki kanapka pozostaje kanapką?

Wyobraźmy sobie taką sytuację: plastry bakłażana smarujemy oliwą i pieczemy na ruszcie lub obtaczamy w mące i smażymy w oleju. Kiedy ostygną, kładziemy na jeden z nich gruby plaster pomidora, ten smarujemy kozim serkiem i na wierzch kładziemy drugi plaster bakłażana. Kanapka to czy niekanapka? Można się spierać, lecz tylko dla zabicia czasu. Ważne jest to, że kanapka/niekanapka smakuje wybornie.

Jak zaklasyfikować plastry świeżej mozzarelli, pomiędzy które włożyliśmy liście szalwii, po czym obtoczyliśmy w cieście i usmażyli na głębokim oleju? Ser należy pokroić w plastry centymetrowej grubości, a następnie w kwadraty o boku trzycentymetrowym. Pomiędzy dwa takie kawałki wkładamy trzy listki szalwii, obtaczamy w cieście zrobionym ze szklanki mąki, szczypty soli, jednego żółtka, trzech łyżek wytrawnego białego wina oraz ośmiu łyżek zimnej wody. Po wymieszanii wszystkich składników ciasto powinno odpocząć przez parę godzin, a tuż przed zanurzeniem w nim sera należy ubić na sztywno jedno białko i delikatnie wcielić je w masę. Usmażone na złoto kanapki/niekanapki

trzeba starannie odsączyć na papierowych ręcznikach i posolić. Mogą towarzyszyć tym z bakłażana, a do jednych i drugich przyda się chłodne, żwawe białe wino.

Następny przykład będzie trudniejszy, podamy bowiem rybę na grzance. Cztery dzwonka halibuta lub dorsza należy najpierw upiec w wysmarowanym oliwą, żaroodpornym naczyniu w temperaturze

175 stopni. Przed pieczeniem dzwonka ryby solimy, posypujemy pieprzem i nacieramy czterema łyżkami soku z cytryny zmieszany z dwiema łyżkami wody, zaś pieczemy je pod przykrywką, choćby z folii aluminiowej, około 20 minut. Musimy dopasować chleb do rozmiaru rybich dzwonek – jeśli są duże, potrzebny będzie chleb nazywany często wiejskim lub zakopiańskim. Podczas gdy ryba się piecze, przygotowujemy sos. Dwie

cienko pokrojone cebule szklimy w kilku łyżkach oliwy, dodajemy dwa drobno posiekane ząbki czosnku, po chwili posypujemy łyżką mąki oraz łyżeczką słodkiej papryki, dodajemy szczyptę kajenu lub ostrej papryki oraz łyżkę przecieru pomidorowego. Wlewamy szklankę czerwonego wina i szklankę wody i gotujemy na małym ogniu przez 15 minut. Cztery kromki chleba smażymy w oliwie na złoto, po obu stronach. Na każdej z nich układamy dzwonko ryby (najpierw starannie odcedzonej lub odsączonej z soków, które wypuściła podczas pieczenia) i polewamy sosem. Ten rodzaj kanapki jemy, używając noża i widelca.

Stosownym zakończeniem takiej procesji kanapek byłby zupełnie jednoznaczny melon, którego również można jeść nożem i widelcem.

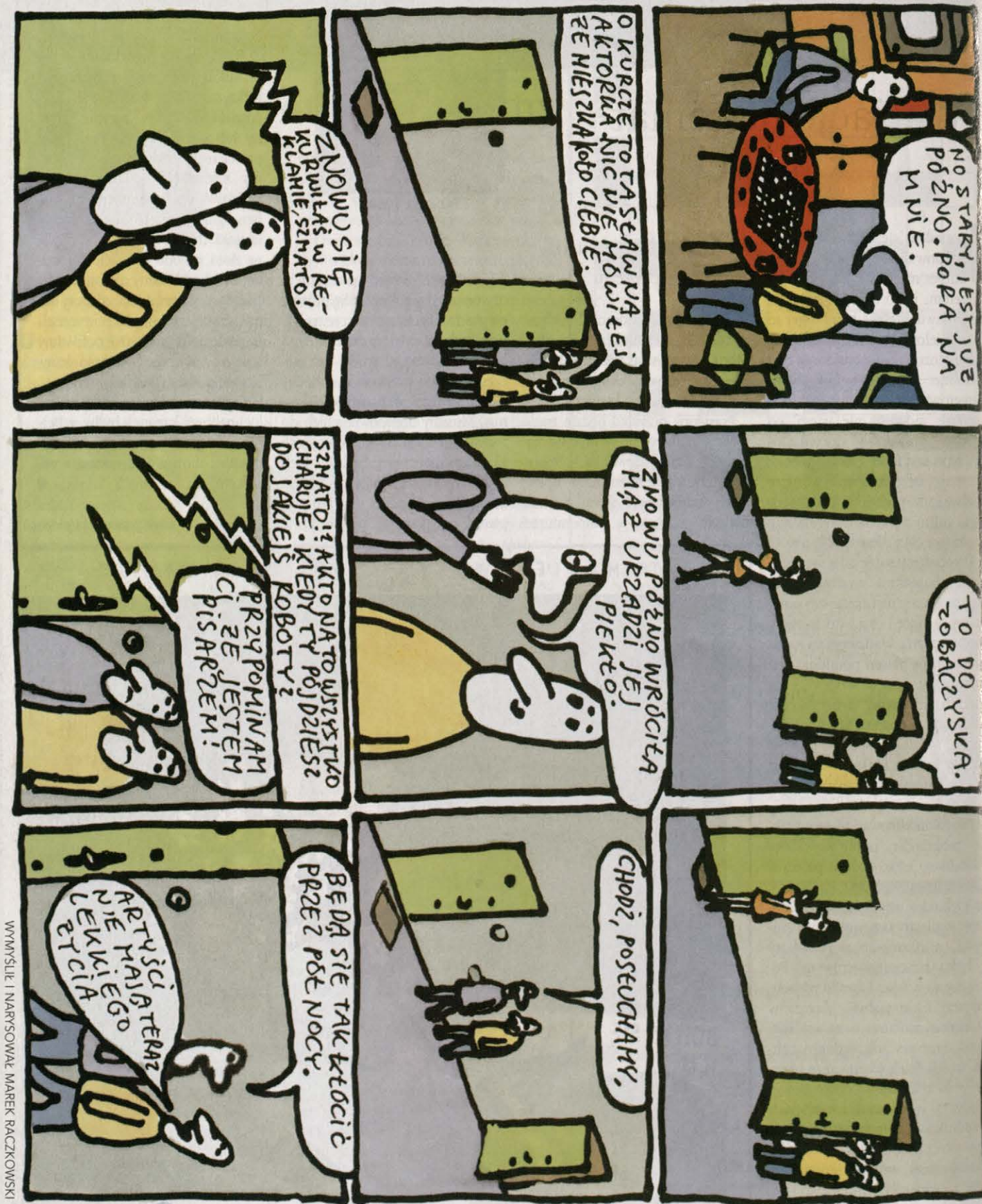
www.przekroj.pl/pioro

MACIEJOWSKI

ĆWIERĆ STRONY GRATIS



STĄD WYCHODZĄ, BOIMY SIĘ ICH



WYMIŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

raczej RACZKOWSKI

w sprzedaży od 14 sierpnia

W najnowszym wydaniu **DOM&WNĘTRZE**
prezent: „HABITANIA” – najlepszy hiszpański magazyn
o urządzaniu wnętrz



+

W NUMERZE:



HISZPAŃSKIE PRZEDMIOTY
W POLSKICH SKLEPACH



DOM ARCHITEKTA
HERNANA GOMEZA



ŚRÓDZIEMNOMORSKIE
POTRAWY

Fot. P. Antonów, R. Lipski, K. Pajewski



PRZY GDY STAWIŁAM Z ŁOZĄ.

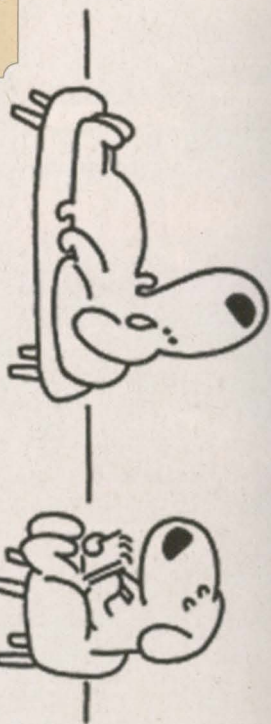
Antyprawo sportu
Jak wygrałeś, znaczy, że tamci byli słabsi. Ale wygrać ze słabszymi to żadna frajda.

Antyprawo odwiedzin
Niektórzy potrafią od razu przyjąć z rewizją.

Antyprawo zakupów
Ilość wydanych pieniędzy jest wprost proporcjonalna do czegośkolwiek.

Antyprawo
Andrzej Włodarski

Z głowy...
Krzysztof Bilicy
LEPIEJ BYĆ
AUTOREM NIECZYSTYMI
NIŻ NIECZYTELNIAMI.



Rys. BARSOTTI/NEW YORKER

nadesłane

DLUGODOSTANSOWCY
„Super Express” (z 29 lipca) ogłasza konkurs na pierwszego Europejaka.

„Beata i Robert Czapkowsky z Kłewek już podjęli decyzję: – Zrobimy wszystko, żeby nasz dzielnik urodził się 1 maja 2040 roku”.

Wtedy mamy wstąpić do NATO-ty?
(Nadesłał NN z Warszawy)

DOLCE WITA

JAKIE LATA UWAGA PANI! ZA NAJSZCZĘŚLIWSZĄ

dekada	1955	1967	2000	2003
lata 40.	0,9	1,0	0,8	0,7
lata 50.	3,5	4,9	3,2	3,1
lata 60.	13,2	16,8	12,7	8,9
lata 70.	35,5	37,1	35,2	26,8
lata 80.	32,2	35,1	36,4	29,9
lata 90.	21,1	30,2	33,1	30,7
lata 2000-2003	17,3	32,6		

I kto powiedział, że zwykłe surowo oceniamy współczesne czasy? Według „Przeglądu” (z 10 sierpnia) w 1995 roku aż 21,2 procent respondentów uważało lata 90. za szczęśliwe...
(Nadesłała Marzena Grybowska z Sopotu)

Rodzina Obłych WZORY NA POŚCIELI

Państwo Obli kupują pościel w intuicyjne ozdoby. Od razu pierwszej nocy po zakupie postanawiają ją wypróbować. We śnie widzą wzory na pościeli. Układają się w konstelacje, które rozpadają się i tworzą nowe wzory. Rano do pokoju rodziców wchodzi syn Obły.
– Jeszcze śpić? – dziwi się.
Obli patrzy na niego. To przecież ich syn. Zresztą nieważne, kto to jest. Na pewno też polubi wzory na pościeli.
Paryk Tajak

Rys. PAULUS MAZUR



KINOcenzura
a i z m k a s u r k a

„Czas Apokalipsy. Powrót”.
Dramat antywojenny
Występuje:
PUKOWNIK KILGORE
– Czujcie! To napalm. Nic tak nie pachnie. Kocham zapach napalmu o poranku...
(paauu)

Cóż, dostaję sygnały, że mam parę dodatkowych minut, więc chciałbym z tego miejsca pozdrowić rodzinę oraz rząd Stanów Zjednoczonych, dzięki któremu jestem tutaj i mogę cieszyć się elektrycznym obrazem zniszczenia i śmierci.

W lte: Wycięc samolotów zruca jeszcze więcej napalmu, wybuchy w Dolby Surround.
Płynne kolory by Technicolor.
THE END (The Doors)

Pejzaż sierpniowy

Jacek Kaczmarski

Po ciężkim śnie senna Ziemia poranną mgłą się obmywa. Świt na jej widok oniemiał: tak nagle – nieobrydlawa?

W harmonii łąka i słońce, stóg siana, dziewczę i chłopiec...
Wakacje klasy rządzącej.
Politycy na urlopie.

Można otworzyć gazetę i nawet przełknąć śniadanie! Czyżbyśmy – inną planetę dostali na zamieszkanie?

Nikt się w zeznaniach nie płacze, nikt butów nie brudzi na tropie...
Wakacje klasy rządzącej.
Politycy na urlopie.

Nareszcie serce i rozum w wyśnionej są równowadze, jak zwykle, kiedy się godzą ze sobą – Służba i Władza.

WAKACJE KLAS RZĄDZĄCEJ
POLITYCY NA URLOPIE!
– Gdzie pianę z ust swych wysączę?
– Komu teraz dokopię?

Nazbyt nie dręczę się przecież, wiem, że czas szybko upływa i jesień w lecie się plecie, i kończy się chwila szczęśliwa.

Politycy! Już po wakacjach! Nie czas wspominać urlopy! W ferii ponurych atrakcji prowadźcie nas do Europy!